

**William Golding**

**PAPIEROWI LUDZIE**

**/tłumacz. Małgorzata Golewska-Stafiej, Leszek Stafiej /**

## ROZDZIAŁ I

Zorientowałem się od razu, że to jedna z tych nocy. Alkohol - nieważne, taki czy inny - wygasał już w mózgu, pozostawiając coś w rodzaju osadu rozdrażnienia, niejasne poczucie niepokoju czy nawet skruchy. Nie było to - nie, z pewnością nie było - żadne zapicie się czy zalanie. Stosując odpowiednią argumentację byłbym w stanie przekonać każdego, że moje wieczorne spożycie zmieściło się w rozsądnych granicach, z uwzględnieniem obowiązków pana domu: angielski pisarz podejmuje profesora literatury angielskiej zza oceanu. Mógłbym także powołać się na fakt, że to przecież moje pięćdziesiąte urodziny i że celebrowaliśmy, cytuję, jeden z owych długich europejskich posiłków, które leżą u podstaw naszej cywilizacji, koniec cytatu. (Prawdę mówiąc, nie wiem, czy to cytat. Nazwijmy to powiedzeniem obiegowym). Ale niezmordowany badacz mego charakteru - czyli ja sam - nie dałby się na to nabrać. Picie zaczęło się przecież podczas lunchu. To był ten pierwszy, fatalny krok zapowiadający okres suszy między godziną czwartą a piątą, kiedy człowiek czuje się nie tylko usprawiedliwiony, lecz popychany, ponaglany czy wręcz przymuszany procesem rozpoczętym w południe, do tego, by godzinę szóstą, odpowiednią do zaproponowania gościowi drinka, przesunąć na piątą, a tę z kolei... i tak dalej. Jeżeli nawet mogłem pogratulować sobie 5tbnia trzeźwości o wpół do czwartej nad ranem, to i tak większość ludzi uznałaby ów znikomy triumf za porażkę.

A czekało mnie śniadanie w towarzystwie młodego, nudnego profesora Ricka L. Tuckera! Na myśl o nim poderwałem się na łóżku i natychmiast z jękiem opadłem na pościel. Dobrze przynajmniej, że nie przyjechał z żoną, bo jak nic zacząłbym się do niej przystawiać albo, w najlepszym wypadku, zachowywałbym się dwuznacznie. I pewnie pilibyśmy dalej To znaczy ja piłbym dalej, wykorzystując okazję, lub z nudów, w każdym razie zaprzepaszczając wysoką pozycję moralną, czyli abstynencję, która nie dalej jak w ubiegły poniedziałek zdawała się tak nienaruszalna.

No i jeszcze jedno: czarna dziura w mojej pamięci minionej nocy, dokładnie od momentu, gdy długi letni wieczór przeszedł w noc. Niezbyt duża czarna dziura - zaledwie smuga, między piciem po kolacji a... tak, teraz była mniejsza, mówię o czarnej dziurze, bo na samym jej skraju przypominam sobie, że sięgnąłem po kolejną butelkę, otworzyłem ją mimo ich protestów, a potem... Właśnie, co potem? Zbadałem gardło, usta, głowę, żołądek. Nic nie wskazywało na to, że posunąłem się z tą piątą butelką zbyt

daleko. W przeciwnym bowiem razie moja głowa byłaby... żołądek byłby... a czarna dziura byłaby...

I właśnie wtedy - gdyby mi się chciało przewertować tę stertę dzienników, tam na dworze, którą zamierzam spalić, to mógłbym podać godzinę i datę - uderzyła mnie pewna myśl. Otóż picie można nazwać alkoholizmem dokładnie od momentu, kiedy czarna dziura staje się jego nieodłączną częścią. Pamiętam, że w przerażającej jasności wczesnego poranka pomyślałem, iż ten symptom świadczy również o nieuleczalności choroby. Stanowi przecież część działania umysłu, a więc procesu uniwersalnego. Usiadłem w łóżku; usiadłem bardzo powoli.

Okno jaśniało migotliwie. Przeniosłem się teraz w nowy stan emocjonalny, być może kolejny symptom: doznałem uczucia suchej, twardej rzeczywistości, osaczającej mnie zewsząd jak armia niewyraźalnych praw, która potrafi z czasem wywołać niewysłowione koszmary, znane ze wszystkich relacji narkomanów. Nietrudno było sobie wyobrazić, że właśnie ta suchość i ponurość jest monstrum, które na razie pozostaje niewidzialne i które, jak to sobie uświadomiłem w nagłymi', przyplynie desperacji, nigdy nie sranie się widzialne, je' zdołam temu zapobiec! Będę zwalczał czarną dziurę, będę zwalczał na plażach, w barach i klubach, w restauracjach i w kawiarniach, w podróży, w domu, w każdej przeklętej a rozkosznej butelce, z nadzieją, że w końcu doznam trochę rozkoszy bez zapłaty lub też rozkoszy w spokojnym, trzeźwym świetle dnia zamiast tego suchego i twardego osaczenia - bałem się, pamiętam, że się bałem, że ogarnęło mnie głębokie przerażenie. Nie, nie, protestowałem zwracając się w stronę jaśniejącego okna, nie może być przecież aż tak źle! Ale wróciły do mnie słowa mędrca. Pamiętaj, że wszystko, co może przydarzyć się człowiekowi, może przydarzyć się tobie!

Wziąłem się w garść. Nie istnieje żadne uniwersalne zabezpieczenie. Czarna dziura? Być może, ale każdy gorzko trzeźwiejący człowiek przede wszystkim podejmuje próbę zgłębienia jej, dostrzega jakieś światełko tu czy tam, aż w końcu dziura jawi się co najwyżej jako przypadek roztargnienia, które powinno się potęgować z roku na rok, w miarę upływu lat wieku średniego. Rozsądek podpowiadał mi, że narzędzie znajduje się blisko, niemal w zasięgu ręki. Wystarczyło zejść na dół, zbadać c-mery puste butelki i jedną częściowo opróżnioną, przywołać ducha Holmesa czy Maigreta i zrekonstruować okres między kolacją a pójściem do łóżka na podstawie materiału dowodowego w postaci szklanek, butelek czy na

i wet rozlanego trunku, chociaż - litości! - może jednak nie rozlanego, i wtedy powinienem znaleźć tę piątą, nadal pełną, najwyżej odkorkowaną...

W tym momencie usłyszałem, jak Elizabeth z sennym westchnieniem przewraca się na sąsiednim łóżku. Ona by wiedziała - o tak, z całą pewnością. I bez wątplenia dowiem się wszystkiego w niewłaściwym czasie. Ale nie ma sensu budzić jej i pytać. Najlepszy sposób na poznanie prawdy to wymknąć się na dół w szlafroku i pantoflach, tak, z latarką, którą zawsze trzymam przy łóżku, gdyż okolica słynie z awarii sieci elektrycznej. Nie mogę też ulec własnej pijackiej potrzebie zacierania śladów. Muszę przesłuchać butelki. A jeżeli okaże się to konieczne, wysliznąć się kuchennymi drzwiami - nie,

krótszej będzie przez ciepłarnię - dostać się do kubła, pojemnika na śmieci, śmietnika, z amerykańska *ashcan*, z francuzka *poubelle*, czy jak go tam jeszcze zwa, i krótko mówiąc, przeliczyć puste butelki. Bo prawdę rzekłszy, przestałem już wierzyć w tę pełną, choć odkorkowaną butelkę. Byłby to cud, a cuda, jeśli się nawet zdarzają, to nie mnie. Ale czułem tak wielkie osłabienie, raczej umysłu niż ciała, że myśl, iż mógłbym przypadkiem obudzić Elizabeth, przekształciła perspektywę wstania z łóżka w próbę woli, jakby chodziło o skok do zimnej wody. Nigdy nie lubiłem zimnej wody.

Nagle decyzja jak gdyby podjęła się sama. Spadła podgumowana pokrywa pojemnika na śmieci stojącego przed kuchennymi drzwiami i nie wiadomo dlaczego akurat to sprawiło, że wszystko stało się jasne. Nie byłem już skruszonym pijakiem. Byłem oburzonym właścicielem.

Szanowny Panie! Jak długo jeszcze pod pozorem światłej ochrony przyrody mamy znosić plagę tych nieprzyjemnych stworzeń, narażając się przy tym na ryzyko zarażenia chorobą uznaną niegdyś za zwalczoną? Szanowny Panie, słuszna jest troska, szanowny panie, szanowny panie...

Cholerne borsuki. Wygrzebałem się z łóżka nie zważając już, czy obudzę Elizabeth. Jedyłą broń palną, jaką miałem w domu, stanowiła wiekowa, lecz silna wiatrówka, w której posiadanie, wraz z puszką nabojów, wszedłem w okolicznościach zbyt nieistotnych i skomplikowanych, by zasługiwały na odnotowanie. Pisarz - nie, znany pisarz, nie, do licha! Wilfred Barclay strzela do borsuka. Czy prawo tego -nabrania? Wydane kiedyś tam, za króla Jana lub w czasach niezbyt mu odległych? Czy nie wolno zastrzelić borsuka na własnej ziemi? W mojej głowie zapanował niezwykle ład, kac odpłynął cudownie na dalszy plan. Czułem się rozgrzeszony. Niewykluczone, że sprawiła to możliwość zabicia czegoś, ten dziedziczny ziemiański przywilej. Owinąłem się w szlafrok, wsunąłem stopy w pantofle. Ruszyłem chyłkiem w dół po schodach, minąłem drzwi gościnnego pokoju, za którymi w *letto matrimonicle* spał samotnie nasz gość.

Wyciągnąłem strzelbę z kredensu przy kominku w jadalni, złamałem. Załadowałem. Przeszedłem na palcach do cieplarni, otworzyłem drzwi i wyjrzałem zza węgła.

Wtedy pojawił się problem. Jak strzelać do borsuka, jeżeli widać go tylko jako nieznaczne zgrubienie pojemnika na śmieci? Zwierzak opierał się łapami o krawędź, łeb miał spuszczone i chciwie, odrażająco przeszukiwał nasze odpadki. Wylizywał zapewne resztki pasztetu, być może przeżuwał starą skórkę z bekonu albo kość od szynki. Dzika zwierzyna kwalifikująca się zapewne do uśpienia gazem, tyle że przez odpowiednie służby. A przecież (czy rzeczywiście w powietrzu panował wyjątkowy chłód jak na tę porę roku?) borsuki są groźne - nie tylko jako nosiciele chorób, ale groźne czynnie: zębowo i pazurowo. Czy zraniony borsuk atakuje? Czy rozdrażniony borsuk albo borsuk z małymi (czy był -r. małymi?) skoczyłby mi do gardła? Sytuacja wcale nie taka prosta. W dodatku absurdalna. Miałem na sobie starą pizamę, a pasek szlafroka ścisnął mnie nieco powyżej miejsca, gdzie powinny ścisnąć spodnie od pizamy, gdyby ich gumka nie była zbyt wysłużona. Spodnie zachowywały się tak jak zawsze, bez względu na warunki. Kiedy traciłem na wadze - spadały; kiedy przybierałem na wadze - spadały. W jednej ręce trzymałem nabitą strzelbę, w drugiej latarkę, zabrakło trzeciej do spodni, które nagle zsunęły się pod szlafrokiem i ledwo zdążyłem je przytrzymać ścisnąjąc kolanami. Nie była to chyba sytuacja dogodna, by stawić czoło szarżującemu borsukowi. Z niepokojem poznałem w tym wszystkim palec swojego osobistego nemezis, ducha farsy.

Od strony pojemnika dobiegł nowy odgłos. Zacząłem posuwać się do przodu w skomplikowany sposób, ze strzelbą w jednej ręce, podczas gdy druga, obejmując częściowo latarkę w kieszeni, przytrzymywała jednocześnie spodnie. Gwałtowny podmuch wiatru poruszył głośno gałęziami drzew w sadzie. Dotarłem do pojemnika w momencie, gdy borsuk, prawdopodobnie zaniepokojony tym nagłym hałasem, przerwał myślowanie i zastygł w bezruchu. Spojrzałem na niego i wtedy on podniósł głowę i wydał z siebie jedyny prawdziwie "zduszony okrzyk", jaki kiedykolwiek udało mi się usłyszeć poza literaturą. Okrzyk stanowił początek wysokiego dźwięku, który w komiksach wyraża się zgłoskami "ykh" lub "ekh". Ujrzałem przed sobą, ponad przeciwną krawędzią pojemnika, rozświetloną jutrzenką twarz profesora Ricka L. Tuckera.

Powinienem poczuć zażenowanie, ale nie poczułem. Zanudzał mnie z całym natręctwem i wścibstwem, traktując mnie jak zawodową strawę. I oto złapałem go na czymś wprost niewyobrażalnym. Odezwałem się bardzo głośno. Jeżeli nawet obudzi to

cały świat - sugerowały moje decybele - to dlaczegoż miałbym przemilczać fakt, że złapałem profesora zwyczajnego literatury angielskiej na przetrząsaniu mojego pojemnika na śmieci?

- Pan musi być bardzo głodny, Tucker. Przykro mi, że nie nakarmiliśmy pana lepiej.

Nie odezwał się. Zauważyłem za jego plecami, że drzwi do kuchni są otwarte. Nie miałem wolnej ręki, żeby je wskazać, wobec tego podniosłem strzelbę w nakazującym geście, który spowodował zaciśnięcie mojego palca (odwykłego ostatnio od broni palnej) na spuście. Strzelba wypaliła z hukiem, który za dnia nie byłby głośniejszy niż strzał korka, lecz o świcie zabrzmiał niczym pierwsza salwa w dniu lądowania aliantów w Normandii. Tucker wydał być może kolejny zduszony okrzyk, ale ja słyszałem tylko wystrzał, jego echo i wrzask całego ptactwa w okolicy.

Obrócił się i niezdarnie jak borsuk ruszył do kuchni. Podążyłem za nim szurając nogami, zapaliłem światło, zamknąłem drzwi i postawiłem przy nich wiatrówkę. Opadłem na krzesło po jednej stronie kuchennego stołu, a on, jakby zamierzał przeprowadzić ze mną kolejny wywiad lub ciąg dalszy poprzedniego, opadł na krzesło po przeciwnej. Groteskowość sytuacji, w jakiej się znalazłem, i moja niezdarność sprawiły, że rozdrażnienie przerodziło się we wściekłość.

- Na miłość boską, Tucker!

Policzek miał zabrudzony jakimś jedzeniem, a na wierzchu dłoni marmoladę i fusy herbaciane. Widać było wyraźnie, że grzebał - otwierał nawet plastikowe worki wystawione dla śmieciarza czy, jak sam by to ujął, dla Zakładu Oczyszczania, w ramach naszego wiejskiego święta, jak to zazwyczaj określam. W prawej ręce trzymał kłęb zmiętych papierów, papierów, których, jak sądziłem, pozbyłem się na dobre zaledwie dwadzieścia cztery godziny przedtem. Z jego szlafroka zwiisał kawałek kartki zapisanej dzieciennym pismem.

- Na Boga, Tucker. Jesteś pan największym... Myślał pan, że wyrzucam...? No tak...

Coś sobie przypomniałem i ogarnął mnie nagły niepokój. To nie takie proste.

- To, co pan tam ma, Tucker, to tak zwana poczta od wielbicieli. Nie dostaję tego dużo, ale to, co przychodzi, jest warte mniej niż porządna rolka papieru toaletowego. Możesz sobie pan to zabrać.

- Proszę cię, Wilf...

- Skaleczył się pan. V' pojemniku jest rozbite szkła. Zachwiał się na stołku.

- Postrzał...

Poczułem się tak, jakbym usłyszał zduszony okrzyk po raz pierwszy. Jakbym po raz pierwszy usłyszał słowo "postrzał" - Jezu!

Zerwałem się na równe nogi, zrobiłem krok przed siebie i natychmiast musiałem się złapać stołu. Spodnie od piżamy opadły mi do kostek. Skopałem je z nóg, uświadamiając sobie jednocześnie całą upiorną powagę sytuacji. Była to perypetia wieńcząca wszystkie inne. "zaczynając z pozycji słusznego oburzenia stałem się naraz potwornym winowajcą.

- Czekaj! Pokaż, gdzie?

- Ależ nie, nie. W porządku. Nic się nie stało. - Nie pleć bzdur, człowieku... Pokaż to.

- Nic mi nie będzie.

Chwyciłem go za pasek szlafroka, rozsuplałem węzeł i ściągnąłem mu szlafrok z ramion. Ukazał się gęsto owłosiony tors, potem smuga zarostu biegnąca w dół, do jeszcze gęściej uwłosionych genitaliów.

- Gdzie, na miłość boską!

Nie odezwał się, tylko się zachwiał. Szlafrok zsunął mu się z grubego ramienia na grube przedramię. Sprężyłem się cały, gotów na krwawe objawienie, ściągnąłem mu szlafrok aż do nadgarstka. Ujrzałem otarcie i zadrapanie, z którego ciekła strużka krwi, spływając na wierzch dłoni.

- Tucker, ty głupcze. Wcale nie jesteś rany.

Jakby na dany znak otworzyły się drzwi do kuchni, po lewej stronie sceny. Weszła Elizabeth, rzuciła badawcze spojrzenie na owłosioną nagość Tuckera, potem na moje odrzucone spodnie od piżamy.

- Nie chcę przeszkadzać, ale jest już dość późno, i tam na górze nie można zmrużyć oka ani w ogóle wytrzymać. Czy moglibyście to robić trochę ciszej?

- Co robić, Liz?

- To, czym się tu zajmujecie.

-Nie widzisz? Ja go postrzeliłem. Był przy pojemniku na śmieci, na odpadki, przy śmietniku. Ten borsuk... Boże święty! Jak ci to wytłumaczyć?

Elizabeth uśmiechnęła się z okrutną słodyczą.

- Nie wątpię, że ci się to uda, Wilf. To tylko kwestia czasu.

- Posłuchaj, myślałem, że on jest borsukiem. Strzelba wypaliła przypadkiem... zrozumiem, że...

- Tak, rozumiem doskonale - zapewniła czarująco. Jeżeli macie zamiar kontynuować, to proszę, nie spłoszcie koni.

- Liz!

Schylła się i podniosła skrawek papieru, który odpadł i gdzieś od Tuckera. Trzymając rękę przy włosach, obróciła papier, przeczytała go najpierw po cichu, a potem na głos.

- "...tęsknię za Tobą. Lucinda".

Ponownie obróciła kartkę, powąchała ją z subtelnym znawstwem.

- A kto to jest Lucinda?

I nagle, zupełnie jakby zmieniła kanał, stała się wzorową panią domu. Zażądała zapewnienia, że zakryta już teraz włochatość Tuckera nie doznała szwanku. Stwierdziła, że cała sprawa to żart, do którego już przywykła i który nawet jej się podoba. Wkrótce nas zostawiła, nadal siedzących przy stole. Poczulem nawrót kaca. Odezwał się ze wzmożoną mocą i udało mi się go znieść jedynie dzięki przepelniającej mnie t wściekłości.

- Na Boga, Tucker, żałuję, że cię nie zastrzeliłem! Tucker pokornie pokiwał głową, gotów polec dla dobra nauki, przyznając mi nawet prawo wykonania egzekucji, taki jestem wspaniały. Gotów był mi przyznać cudowne prawo do

panowania nad wszystkim, nad całym światem, z wyjątkiem słów, które napisałem lub otrzymałem i które z natury swojej... nie, z mojej natury... a zresztą, do diabła z tym! Pamiętam do dziś nienawiść, jaką czułem do Tuckera, strach przed Liz i złość na nieznośną, zwariowaną Lucindę. Nakładały się na to wściekłość na samego siebie i dzika furia z powodu groteskowego nieprawdopodobieństwa i nieugiętości Faktu.

Niezależnie od pomysłów na papierze, manipulacji fabułą, rysunku postaci, uwikłań i rozwiązań, zupełnie niewiarygodne działania jednostek z realnego świata wokół realnego pojemnika na śmieci wywlokły na światło dzienne splot okoliczności, które już dawno uznałem za bezpiecznie ukryte przed określoną osobą i ostatecznie usunięte. A w dodatku brak mi było w tym wszystkim pociechy w postaci choćby odrobiny moralności; była tylko niemoralność.

- Tucker.

- Wilf, mówiłeś do mnie Rick.



- Słuchaj no, Tucker. Jutro miałeś wyjechać. To znaczy dzisiaj. Nigdy tu już nie wrócisz. Nigdy, przenigdy.

- Robisz mi wielką przykrość, Wilf. - Idź już spać na miłość boską!

Oparłem łokcie na stole i zasłoniłem twarz rękami. Natychmiast opadła mnie czarna rozpacz.

- Idź do łóżka, idź już stąd, wynoś się. Zostaw mnie. Daj mi spokój...

Odpowiedział z głębi swej uległej absurdalności. - Rozumiem, Wilf. To jest to Brzemie.

W końcu drzwi kuchenne zamknęły się za nim. Rozczulenie nad sobą samym wypełniło wodą czarne otwory za moimi powiekami. Lucinda, Elizabeth, Tucker, książka, która mi tak źle idzie - woda spływała m~ w dłonie tak jak krew ciekąca z Tuckera. Drzewa rozbrzmiewały radosnym chórem.

Otworzyłem nagle oczy. Alei tak., oczywiście, powinienem był wiedzieć. Kompletny materiał dowodowy miałem przed nosem. Przy zlewie stała właśnie ta butelka, którą otworzyłem, a potem nie mogłem nikogo namówić do picia. Była pusta. Obok niej stała jeszcze jedna. Też pusta.

Kac wzmógł się natychmiast z przerażającą siłą. Rzuciłem się na poszukiwanie pigułek, wykradłem kilka z torebki Liz, kiedyś już poskutkowały. Przy kuchennym wyjściu przewrócił się pojemnik na śmieci. ~Wypadłem na dwór z wściekłości. Drogą nad brzegiem rzeki biegło czarno-białe zwierzę ze zjeżonym grzbietem. Zmierzało w kierunku tamy przy młynie. Można się było tamtędy przedostać na drugi brzeg, do lasu. Kubeł, pojemnik na odpadki, śmietnik, z amerykańską *ushcura*, z francuską *poubelle*, materiał dowodowy, dowód obciążający leżał na boku. Ze środka wysypała się smuga domowych śmieci, odpadków, pustych pudełek, butelek, resztek mięsa i skorupki jaj, które znaczyły drogę ucieczki borsuka; a w tym całym świństwie zapisany ręcznie i na maszynie, zabazgrany i zadrukowanym na czarno-biało i na kolorowo - papier, papier, papier!

Tego już było za wiele. Niech się tym zajmą organizatorzy nasz: go wiejskiego święta, czyli cotygodniowego wywożenia wszystkich naszych dni wczorajszych.

Przemknąłem cicho, jak mi się zdawało, przez korytarz i otworzyłem drzwi "naszej" sypialni.

Uderzył mnie w oczy oślepiający blask światła dziennego. Elizabeth odwróciła się do mnie.

- Nie śpię.

-- Posłuchaj, Liz...

- "Tęsknię za Tobą. Lucinda".

Czułem się zbyt nieszczęśliwy, by wdawać się w rozmowę. Ściągnąłem kołdrę z łóżka i na pół oślepiiony poszedłem do nory, którą czasem określam mianem swego gabinetu.

Poranny chór ucichł w oddali. Wiedziałem, że odgłosy poniedziałkowego ranka odezwą się o wiele wcześniej niż moja głowa zdoła osiągnąć stan zbliżony do ocalenia od katastrofy. I właśnie wtedy - nie interesuje mnie moment, tylko okoliczności - coś sobie uświadomiłem; i nie tyle drgnąłem, co mną rzuciło: w pojemniku znajdowały się także podarte fotografie.

Dlaczego przeglądałem zawartość tych pudeł, próbując pozbyć się wstydów z przeszłości i dlaczego wyrzuciłem je do pojemnika, zamiast spalić? Dlaczego powiedziałem o tym

Tuckerowi? Dlaczego taki z niego oddany, taki zdeterminowany i ograniczony głupiec? Gdzieś tam, wśród tych rozsypanych śmieci, zmięte, podarte, zapaprane dżemem, zatłuszczone... Przecież ktokolwiek z domowników, na przykład sprzątaczką, albo ktoś z zewnątrz, śmieciarze czy mleczarz... A może spoczywają na dnie borsuczego żołądka albo borsuczej nory? Rzecz w tym, że poranne błazeństwa Ricka L. Tuckera i borsuka naraziły mnie jednocześnie na utratę żony i godności. Skrupulatność i pokorna determinacja, z początku tak komiczne, zdawały się teraz zagrażać mi niczym choroba. Tak jakby wszystek papier stał się lepki i brudny z natury i niezależnie od tego, czy jest poplamiony marmoladą, czy smalcem, nie sposób się go pozbyć, skoro się jest na papier skazanym. To lep na muchy i ja tu jestem muchą. Lep na muchy marki Wenus, Jutrzenka. Uświadomiłem sobie, że takich właśnie śladów na piaskach czasu wolę za sobą nie zostawiać.

## ROZDZIAŁ II

- A kto to jest Lucinda?

Taki był początek końca mojego małżeństwa z Liz. Nie żenił się nigdy z kobietą młodszą prawie o dziesięć lat. Ciągnęło się to latami, że nie wspomnę o stanie prawnym na granicy rozwodu. Łączyła nas i zawsze będzie łączyć głęboka więź, ale nie miłość i nie nienawiść, ani też żaden trywialny kompromis typu miłość-nienawiść. Cokolwiek to było, w każdym razie istniało między nami, ku radości lub utrapieniu. Zupełnie nie pasowaliśmy do siebie i jedyne, co potrafiliśmy wspólnie osiągnąć, to dysonans.

Liz zachowała uczciwość i moralność, dopóki pozwalało le1 na to zdrowie. Ja natomiast uważałem po prostu, teraz widzę to jasno, że mogę być uczciwy tylko będąc niemoralnym. Niemoralność niosła ze sobą potrzebę zatajania - chociaż kto dziś dojdzie, *o czym* Liz wiedziała lub co podejrzewała? Powalany skrawek papieru spełnił rolę katalizatora. Gdybym wykazał się wówczas odpowiednią trzeźwością umysłu, dostrzegłbym może w

wyłonieniu się tej kartki ze śmietnika fragment szablonu, który miał się okazać uniwersalny. Lucinda poprzedzała moje małżeństwo z Liz, natomiast w okresie śmietnika zajęty byłem dziewczyną skutecznie zakonspirowaną. Ironia losu? Oko Ozyrysa?

Złapany w kuchni sam na sam z Rickiem L. Tuckerem i skrawkiem papieru zostałem zmuszony do uczynienia czegoś, co było mi zupełnie obce: przyznałem się do wszystkiego. I wbrew wszelkim oczekiwaniom (zwłaszcza zaś opisom powieściowym) Elizabeth zrozumiała, lecz nie przebaczyła. Po głębokim namyśle (starzec wygrzewający się na słońcu) sądzę, że czekała tylko na stosowny pretekst. Nasze awantury przebiegały gwałtowniej niż pojedynki. Postępowaliśmy w sposób wyrefinowany, ale barbarzyński. Wyniosłem się do jednego ze swych ostatnich klubów i oświadczyłem, że może swobodnie dysponować domem, ogrodem, padokiem, koi5mi, samochodami, jachtem, spółką z ograniczoną odpowiedzialnością - wszystkim, ale ja już dłużej tego nie zniosę. W klubie obowiązywał limit nocy, które wolno przespać po kolei, więc wróciłem do domu po przebaczenie i wówczas okazało się, że i Liz, się wyniosła. Zostawiła list, w którym oddawała do mojej dyspozycji dom, ogród, padok, konie, samochody, jacht, spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością, słowem wszystko - ale ona już dłużej tego nie zniesie.

Nawet wtedy mieliśmy jeszcze szansę porozumieć się i ciągnąć dalej te nasze konieczne zmagania, dopóki wiek i zubożenie nie obdarzyłyby nas wzajemnym poczuciem humoru.

Lecz na horyzoncie pojawiła się rozmiłowana w koniach kreatura nazwiskiem Capstone Bowers. Julian rozwiązał wszystko w porę -- to znaczy dobytek oraz dom z przyległościami, czy jak to się fachowo nazywa - i nasze małżeństwo osiągnęło kres, jak każde inne o podobnym stażu. Obawiam się, że jedyną stroną poszkodowaną była nasza biedna mała Emily. Humphreva Capstone'a Bowersa widziałem tylko raz, podczas umówionego wcześniej spotkania, w tym samym podrzędnym klubie Random. Ci z klubu... to --znaczy my... stanowią dziwną zbieraninę, ale wszyscy mamy jakieś związki z papierem, poczynając od reklamy i komiksów dla dzieci, na pornografii kończąc. Rzecz by można, iż obok mnie najznamienitszym członkiem naszego klubu jest Anonim. Capstone Bowers spojrzał na zebranych z pogardą - jest zapewne ostatnim Anglikiem noszącym monokl - i bąknął, że nigdy jeszcze nie widział takich typów. Gdy przycisnąłem go ostro do muru, stwierdził, że wszyscy wyglądają jak banda dzikusów. Dla uzupełnienia dodam, iż polował na grubego zwierzka we wszystkich zakątkach świata i strzelał do celu w Bisley, gdzie odbywają się coroczne mistrzostwa Krajowego Stowarzyszenia Strzeleckiego. Pod koniec naszej krótkiej rozmowy, która miała służyć, jak to ujął, "wyjaśnieniu sytuacji", szykowałem się właśnie do użycia swych obfitych zasobów językowych, aby powiedzieć mu, co o nim myślę, kiedy on z prostotą właściwą bezwzględnej szczerości powiedział: "Wiesz, Barclay, jesteś skończony kutas". Sami widzicie, co to za człowiek. No, tak.

Trudno. Wolność w wieku pięćdziesięciu trzech lat! (;o za bzdura. Co za cholerna bzdura! Czekala mnie wolność. Radzę wam, nie próbujcie jej. Widząc, że nadchodzi, dajcie nogę. A jeśli kusi was, by uciekać, nie ruszajcie się z miejsca. Wiercie albo nie: w głowie miałem wyłącznie seks, a wyobraźnia podsuwała mi dziewczyny tak młode, że mogłyby być moimi wnuczkami, albo coś koło tego. Może właśnie dlatego nie przejąłem się ani trochę, kiedy Capstone Bowers wprowadził się do Liz. Nie miało to nic wspólnego z naszym nierozzerwalnym, nieznośnym związkiem. Za to biedna mała Emily przejęła się tym do tego stopnia, że uciekła z domu. Z powrotem musiała doprowadzać ją policja. Rozumiałem jej ucieczkę. Z tego, co słyszałem, nawet konie nienawidziły Capstone'a Bowersa.

Przenosiłem się z miejsca na miejsce. Miałem mnóstwo znajomych, lecz niewielu przyjaciół. Zatrzymałem się u jednego czy dwóch. Jeden nawet przyprowadził jakąś kobietę, ale okazała się poważnym naukowcem, na dodatek strukturalistką. Boże, równie dobrze mógłbym zamieszkać z Rickiem L. Tuckerem!

Wyjechałem do Włoch i zaraz wpadłem w łapy ironii, gdyż zaprzyjaźniłem się z kobietą niemal w moim wieku i mniej więcej na przełęczy wietrznych Apeninów, jak to ktoś określił. Myślę, że ją lubiłem, ale zabawiłem u niej ponad dwa lata przede wszystkim za sprawą *piano nobile* jak muzeum oraz służących, który skrywali szydercze uśmieszki. Byłem tak zadufany, że jak pamiętam - o Barclay, Barclay, jakież z ciebie snob! - zatelefonowałem do Elizabeth i na jakiś czas ściągnąłem do siebie Emily. Nie cierpiała Włoch, tamtego domu, mojej włoskiej przyjaciółki i, przyznaję z żalem, mnie także. Wyjechała więc wkrótce i spotkaliśmy się ponownie dopiero po latach.

Przez cały ten czas, chociaż ledwie to zauważałem, odczuwając jako nieznaczące tylko rozdrażnienie, profesor Tucker słał listy, które Elizabeth mi przekazywała, zyskując w ten sposób pretekst do gnębienia mnie w sprawach moich papierów. Walały się po całym domu i z każdym dniem przybywały nowe z najrozmaitszych źródeł. Ignorowałem listy. Dopiero na telegram: "Na miły Bóg, co mam zrobić z Twoimi papierami", odpowiedziałem: "Spal wszystkie do cholery". Nie spaliła. Zaczęła je składać w skrzynkach po herbacie, skrzynki zabijała gwoździami i upychała w piwniczce na wino. Capstone Bowers był kompletnym ignorantem we wszystkim, co nie dotyczy rezerwatu zwierzyny i strzelnicy, toteż nigdy do niego nie dotarło, jaką mogły mieć wartość na rynku otwartym lub, co gorsza, zamkniętym.

Mój włoski romans dobiegał kresu. Właściwie zawładnęła nim religia w osobie Ojca Pio. Pojechaliśmy kiedyś z ciekawości na jedną z jego porannych mszy, które nieodmiennie kończą się wybuchem hysterii wśród wiernych, pragnących ujrzeć z bliska jego stygmaty, zanim pomocnicy wyniosą go z pola widzenia. Doznałem wstrząsu widząc, jak ta opanowana, kulturalna kobieta rozpycha się na równi z resztą gawiedzi. W końcu wróciła do mnie z opuszczoną woalką, przez którą było widać płynące po twarzy łzy. Wyczułem w jej głosie przejmującą nutę triumfującego bólu.

- A teraz, czy możesz jeszcze wąpić? Rozdrażniło mnie to.

- Widziałem jedynie biednego staruszka, którego właściwie wynoszono od ołtarza. Nic ponadto!

Nie odezwała się już więcej w kościele, lecz dyskusja rozgorzała na nowo na tylnych siedzeniach samochodu w drodze do "domu". Wiem, że najistotniejszym

elementem zarówno mojej, jak i jej reakcji było głębokie zaangażowanie obu stron; stąd skłonność do zajadłej kłótni. Mną powodowała silna potrzeba, żeby nie było żadnego cudu.

- Zrozum, to histeria!

- Widziałam je naprawdę, mówię ci, widziałam te rany! Boże, przebacz nam, nie godniśmy nawet, by wymawiać to słowo!

- Powiedzmy, że je widziałaś. To jeszcze o niczym nie świadczy.

- Nie ma żadnego "powiedzmy".

- Ludzie potrafią sobie wmawiać takie rzeczy. Jak w urojonej ciąży: są wszystkie objawy, ale dziecka nie ma. Opowiadałem ci przecież, pamiętasz?, co mi się przydarzyło, kiedy pracowałem w banku.

- Wilfredzie Barclay, jesteś obrzydliwy.

- I później też, wiele lat później. Spójrz na tę rękę! Uległem hipnozie. Tak jest, zostałem dosłownie i profesjonalnie zahipnotyzowany. Wydarzyło się to na przyjęciu i w mojej, mojej...

- Och, ja, ja, mój, moja, moje...

- Słuchasz mnie czy nie? Tak. Egocentryzm. Nigdy nie przypuszczałem, że ktoś może ze mną coś takiego zrobić. No i co?

- Nie mam ochoty o tym rozmawiać.

- Tu, na wierzchu mojej dłoni, moje własne inicjały płonęły jak blizny, czerwone jak oparzenie...

- Nie chcę o tym mówić!

(Ale ten człowiek wiedział. To był jego sukces, jego siła. Jego uśmiech wyrażał denerwujące zadowolenie. J e s t p a n bardzo podatny na sugestie hipnotyczną. Panie i panowie, gorące oklaski dla pana Barclaya!)

- Zrozum, kochanie. Ty nie chcesz rozmawiać, a ja nie chcę cię urazić... ale sugestie naprawdę potrafi tak działać?

- Starzec wykrwawia się dla ciebie dzień po dniu, od lat. Pozwala Bogu rozporządzać sobą w dwóch miejscach naraz, bo jego miłość przerasta możliwości jednego biednego ciała... I tu owa niezwykła kobieta wybuchnęła płaczem.

Potem, oczywiście, nie spieraliśmy się więcej. Sądzę, że nastąpiło coś w rodzaju zawieszenia broni. Okazywałem jej wiele topornego taktu bez wyrozumiałości i starałem

się schodzić jej z drogi. Ona zamknęła się w sobie i stała się równie doskonałą panią domu jak Liz. A to wywołuje potworne skutki. Wolę, kiedy kobiety rzucają przedmiotami.

Mimo to sytuacja mogłaby przybrać odmienny obrót, gdyby mojej uwagi nie pochłonęła całkiem inna sprawa. Musiałem wyklądać. To dość zabawne, że człowiek, który zakończył edukację na piątej klasie, ma do czynienia z tyloma naukowcami. Rzecz w tym, że to, co mi z początku schlebiało, w końcu zaczęło mnie nudzić - a nawet gorzej. Jak już mówiłem, wzywano mnie czasem, bym wygłaszał wykłady dla dobra kraju. Robiłem to posłusznie na spotkaniach z naukowcami. Bo chociaż można zarzucić Barclayowi, że jest niedouczonego sukinsynem, który słabo zna łacinę, a jeszcze słabiej grekę, że jest biegły w łamaniu języków obcych i lepiej obeznany ze złą niż z dobrą literaturą, to przecież posiadam pewien dar. Naukowcy musieli przyznać, że w ostatecznym rozrachunku byłem tym, o co im chodzi. Powtarzam, że nie miałem w tym żadnego interesu, najwyżej trochę mi to schlebiało: takie skromne, może absurdalne poczucie, że ojczyzna mnie potrzebuje, a od czasu do czasu egzotyczna podróż. Upłynęło wiele czasu, nim przejrzałem na oczy. A otworzył mi je nie kto inny, jak borsuk ze śmietnika, Rick L. Tucker.

W okresie, kiedy doszło do awantury na temat stygmatów, i moja włoska przyjaciółka zgrywała wielką damę, wybierałem się do Hiszpanii. Rozważałem możliwość wyniesienia się bez pożegnań, lecz pochopnie doszedłem do wniosku, że to jedynie pogorszy stan rzeczy. Teraz żałuję, że nie wyjechałem w majestacie milczenia.

- A więc wyjeżdżam.

Nie spojrzała mi prosto w oczy. Obróciła się do mnie profilem, który zarysował się na tle spłowiałej tkaniny stanowiącej obicie ścian.

- Mam już dość. - Czego?

- Nas dwojga. - Dlaczego?

- Po prostu mam dosyć.

Mogłem jeszcze zadać wiele pytań. Zastanawiałem się też, czy nie przyznać, że moja reakcja na Ojca Pio była prymitywna, obiecując, że po powrocie pójde tam i dam biednemu starcowi szansę, by mnie nawrócił. Czas, pomyślałem, czas jest jednak najlepszym lekarstwem.

- Porozmawiamy, jak wrócę. - Idź! Idź! Idź!

I jakby tego było mało, wybuchnęła po włosku używając, jak mi się zdaje, języka rynsztokowego, z czego zrozumiałem jedynie ogólny sens jej nastawienia do mnie, do protestantów, do mężczyzn w ogóle i do wszystkich Anglików, których byłem typowym przedstawicielem.

Udałem się zatem na konferencję do Sewilli. Obrady toczyły się w tej samej starej fabryce tytoniu, gdzie, jak pamiętają znawcy, kołysała biodrami Carmen, chociaż obecnie mieści się tam tylko uniwersytet. Zazwyczaj pojawiam się na konferencjach dopiero w ostatnim dniu obrad, kiedy przychodzi kolej na moje wystąpienie w roli autora. Lecz profesor, który mnie zapraszał, na pytanie, czy znajdzie się tam jeszcze jakaś Carmen, odpowiedział: "Tak, i to niejedna". Więc pojechałem od razu, zapominając, że semestr dawno się już skończył.

I oto na podium, które sam miałem niebawem zaszczyścić, stał Rick Tucker. Wyglądał potężniej niż kiedykolwiek i czytał coś -r. opasłego maszynopisu. "Zaspane grono profesorów, wykładowców i doktorantów dokładało wszelkich starań, by nie zasnąć, a profesor Tucker im przeszkadzał. Opadłem na wolny fotel w końcu sali i ułożyłem się do drzemki.

Ze snu wyrwał mnie dźwięk mojego nazwiska wymówionego przez Tuckera z właściwym mu monotonnym amerykańskim akcentem. "I z pochyloną głową czytał z maszynopisu coś na temat moich zdań złożonych. Wyglądało na to, że je policzył, książka po książce. Sporządził wykres i jeżeli słuchacze zechcą wśród licznych smakołyków przygotowanych łaskawie przez organizatorów konferencji odszukać załącznik dwudziesty siódmy, to znajdą tam ów wykres i będą mogli śledzić jego wywód. Zauważyłem, jak tu i ówdzie na sali głowy pochylają się z wolna, po czym z gwałtownym wzdrygnięciem podnoszą się na powrót. Kilka kobiet najwyraźniej sporządzało jednak notatki. Tuż przede mną jakaś męska głowa opadła do tyłu i zadęło się c niej wydobywać ciche chrapanie. Profesor Tucker nadal monotennie wskazywał na istotną różnicę między swoim wykresem a wykresem sporządzonym przez profesora Hiroszige (tak to zabrzmiało) z Japonii, ponieważ, jak się okazuje, profesor Hiroszige, o dziwo!, nie odrobił lekcji, a także popełnił karygodny błąd, myląc moje zdania podrzędnie złożone ze zdaniami złożonymi współrzędnie. W zasadzie profesor Hiroszige powinien iść sobie na zieloną trawkę, ustępując pola uznanemu specjalście, który słyszał z ust samego autora, że ten nie znosi stosowania tak przesadnie szerokiej interpretacji do swojej ikonografii absolutu czy coś w tym sensie.



Słuchałem z rozbawieniem, poddając się przyjemnemu masażowi mojej osobowości. Wreszcie Rick Tucker, przewracając kartkę, podniósł przypadkiem wzrok na swoje audytorium. I znowu jesteśmy przy pojemniku na śmieci. Zabrzmiało to najpierw jak "ykh" lub "ekh", a potem jego głos przycichł i policzki nabrały kolorów. Bacznie się wsłuchując, pojąłem w czym rzecz. Wciskał brodę w kołnierzyk. Nie należał do osób, które potrafią oderwać się od leżącego przed nimi tekstu. Nurt wydrukowanych wyrazów wciągał go nieubłaganie tam, gdzie - widząc, że go słucham - wcale nie chciał się znaleźć. Słyszałem, jak mamrotliwie powołuje się na naszą bliską znajomość, a także (czego unikają bardziej doświadczeni badacze wiedząc, że to śliska droga) na moją ustną aprobatę wszystkiego, czym dzieli się teraz ze swym apatycznym audytorium. Następnie, na skutek kolejnego ohydneho oświadczenia o rzekomej zażyłości ze mną, usiłował improwizować: odwrócił dwie strony na raz, potem strącił z mównicy maszynopis, którego pojedyncze kartki opadały z trzepotem, rozsypując się po podłodze. Rozbudziło to słuchaczy, więc korzystając z krótkiej pauzy ulotniłem się niepostrzeżenie. Nazajutrz, wykonując publicznie numer, za który mi zapłacono, wypatrywałem Ricka wśród zebranych, w nadziei, że mu pokażę, jak się improwizuje na temat człowieka, który powołuje się na łączące go ze mną zażyłe stosunki, ale go nie znalazłem. Ciekawe dlaczego? Taka wrażliwość do niego nie pasowała. Wydarzenie to wypadło mi jednak szybko z pamięci, gdyż po powrocie do Włoch sprawy potoczyły się błyskawicznie w stronę absurdu i przeżyłem szok, na jaki nie byłem przygotowany. Doszło bowiem do pomieszania dziwactwa, złośliwości i istic królewskiego obłędu. Gotów byłem zareagować godnie, lecz z wyrozumiałością na fakt, iż na lotnisku nie oczekiwał mnie samochód. Tymczasem zamknięto na cztery spusty bramę. Na stojącej tuż obok przyczepie przykrytej zielonym brezentem znajdowało się kilkanaście walizek, a w nich moje rzeczy, spakowane starannie, rzec by można: kochającą ręką. Cóż to musiała być za radość dla służby! Siedziałem w taksówce, obok leżała teczka pełna bzdur z konferencji i zastanawiałem się, co ze sobą zrobić. Dostałem włoską nauczkę.

Na szczęście "Chłodna przystań" ciągle cieszyła się powodzeniem, cieszy się nim zresztą do dzisiaj, nie mówiąc już o "Wszyscy jak owce", toteż z pieniędzmi nie było kłopotu. Z inwencją również, ponieważ przerzucając materiały z konferencji zauważyłem, że mi jej nie brakuje. Oto co sprawia, że cały ten zagmatwany epizod - włoski romans, Ojciec Pio, stygmaty, Rick L. Tucker z wykresem moich zdań złożonych - staje się czymś, co zaczynam teraz uważać za wątek przewodni w moim życiu. Albowiem

te właśnie papiery były jedyną rzeczą, jaką miałem do czytania siedząc tego wieczoru w hotelowym pokoju. I przeczytałem je wszystkie.

“Chłodna przystań” okazała się wyjątkowym przebojem. Ale następne książki też nie były złe. Są tam sprawy, chwile tajemne czy, jeśli wola, całe epizody okupione pasją, bólem, cierpieniem - i wszystkie poszły na marne. Zrozumiałem, że napisałem je wyłącznie dla siebie, chociaż nigdy nie przeczytałem ich powtórnie. Obradom konferencji przyświecały pewne założenia. Jedna orientacja zakładała, że zrozumienie całości wymaga porozrywania jej na części, a inne, że nie istnieje nic nowego. Czytając książkę należy zadawać pytanie, z jakich innych książek powstała. Wprawdzie nie mogę powiedzieć, żeby było to olśniewające odkrycie - w istocie, cóż mają począć naukowcy? - ale dostrzegłem w tym niezmiernie oszczędny pomysł na kolejną książkę. Pomysł zrealizowałem natychmiast i na miejscu, nad brzegiem Jeziora Trazymeńskiego, gdzie właśnie przebywałem. Nie było żadnej potrzeby zmyślenia, pogrążania się, cierpienia czy znoszenia niepojętego przymusu dręczącej pogoni za... nieczytelnym. Zawieszona na obrzeżach Apeninów historia rodziny mojej byłej przyjaciółki uczyniła fantazję całkowicie zbędną. Napisałem więc “Ptaki drapieżne” w okamgnieniu, dając z siebie nie więcej niż pięć procent, i to bynajmniej nie najlepsze pięć procent, wysłałem maszynopis agentowi wraz z kilkoma adresami poste restante i odjechałem wynajętym samochodem.

Opuszczał mnie wiek średni, zbliżało się coś bardziej podeszłego i niezbyt mi się to podobało. Na przykład pamięć. Od czasu do czasu pojawiały się na niej plamy tam, gdzie kiedyś była jednolita. Niezwykle szybko zapomniałem o mojej byłej przyjaciółce, a jeszcze szybciej o powieści “Ptaki drapieżne”. Przyjaciele stali się znajomymi. A ponieważ nie pisuje się już listów, wkrótce przestali być nawet znajomymi. Dlatego jeździłem samochodem. W ciągu jakichś dwóch lat - wydaje mi się, że to były dwa lata, chociaż nie mam pamięci do dat, czasu i wieku, włącznie z własnym - poznałem cały system dróg głównych Europy, jeśli nie jeszcze dalej. Poznałem wszystkie ważne szosy, drogi szybkiego ruchu, autostrady, autobahny, autoputy od Finlandii po Kadyks. W czasach, kiedy było to jeszcze możliwe, przemierzyłem całe wybrzeże Afryki Północnej i kawałek Zachodniej. Ale przede wszystkim podróżowałem po Europie. Samochody wynajmowałem. Kiedy chciałem pisać, kupowałem maszynę do pisania. Prowadziłem dziennik, pisany ręcznie, ale ilekroć go przerzucałem, okazywał się strasznie nudny i przyprawiał mnie o lekkie mdłości. Nie zrezygnowałem jednak ani na chwilę, wpisując przynajmniej po jednym zdaniu dziennie. Był to przymus, jak omijanie szpar między płytami chodnika. Stosunkowo tanie, ale w każdym kraju sprawnie funkcjonujące

środowisko autostrady, jego duchowa pustka, pozorność przemieszczania się, podczas gdy cały czas tkwisz w bezruchu na tym samym jałowym pasie betonu - taki właśnie rodzaj internacjonalizmu określał mój tryb życia, stał się, rzecz by można, moją ojczyzną. Nigdy nie zdobyłem młodziutkiej dziewczyny z lubieżnych marzeń i nie bardzo do niej tęskniłem. Czas niepostrzeżenie pokrył wszystko warstwą pyłu. Kiedyś kobiety najpierw patrzyły, a potem dowiadywały się, kim jestem. Teraz, podczas nielicznych spotkań towarzyskich, w których brałem udział, najpierw mówiono im, kim jestem, a dopiero potem patrzyły. Była to taka dziwna powtórka lub wariacja na temat okresu tuż po ukazaniu się mojej pierwszej książki "Chłodna przystań", zanim jeszcze poznałem Liz. Jeździłem wówczas przez dwa lata po Stanach - kraju Nabokova, jak można by powiedzieć - sprzedając wykłady na akademickiej karuzeli. Potem jeździłem po Ameryce Południowej - zresztą nieważne. Teraz za to była Europa z przyległościami. Miałem takie hobby - właśnie, hobby bez genezy, jak książka: polowanie na witraże bez żadnego powodu, dla przyjemności, nic pisanego. Lubię po prostu oglądać. Jestem właściwie autorytetem w tej materii, chociaż nikt o tym nie wie. Potrafię oszacować wiek witraża z dokładnością do dziesięciu lat, a przynajmniej obronić swoją ocenę, mimo że nigdy nie próbowałem. To ekscentryczne upodobanie sprawiło, że stałem się kimś w rodzaju miłośnika kościołów. Możecie rzucać na mnie najczarniejsze podejrzenia z powodu Ojca Pio i w związku z kościołami, ale muszę wyjaśnić, że chociaż wiele godzin spędziłem na przykład w katedrze w Chartres, moje zainteresowanie kościołami nie ma nic wspólnego z religią. Chodziło wyłącznie o sztukę niej wpuszczania światła do budynku, jeśli się go tam nie chce mieć. Poza tym w kościołach panuje przeważnie mrok i chłód, idealny na leczenie kaca. Powinienem też chyba dodać, że od czasu do czasu piłem dużo, a na co dzień więcej niż "trochę". Wychodząc od "Ptaków drapieźnych", a przynajmniej z ich filmowej wersji, napisałem kilka krótkich relacji z podróży i parę opowiadań, które są ćwiczeniem w oszukiwaniu czytelnika. Opowiadania były przeznaczone dla magazynów ilustrowanych. Zasadzały się prawie wyłącznie na egzotyce miejsc, w których zbierałem informacje, pieniądze i listy z poste restante. Zawierały znakomite opisy, minimum zdarzeń i postaci, a wszystko przybrane - *garni*, jak by powiedzieli Francuzi - w strój regionalny, chociaż stroje regionalne oglądało się już od dawna wyłącznie na festiwalach sztuki ludowej. Odkąd moja włoska przyjaciółka zerwała naszą znajomość, zaniechałem wszelkich starań, aby być miłym dla kobiet. Uprawiałem coś, co można by nazwać uniwersalną obojętnością. Bywało, że myśl oraz poczucie życia wzbierały we mnie falą zdumienia, które wyzwalało milczący wewnętrzny okrzyk: "niemożliwe, żebyś to był ty!"

Lecz to byłem ja. Teraz widzę, że dobiegając sześćdziesiątki ograniczyłem się do stanu, w którym myśli się i odczuwa jak najmniej. Byłem oczami i apetytem. W odpowiedzi na każde pytanie wsiadałem w samolot. A potem znowu autostrady i jeszcze raz autostrady. Gdy zaczynałem się zastanawiać, dokąd jadę - odlatywałem. Gdy próbowano przeprowadzić ze mną wywiad - odlatywałem. Gdy upiłem się gdzieś obrzydliwie - leciałem gdzie indziej. Gdy zaczynał mnie nudzić widok z baru czy kawiarni, to - zaraz, zaraz, ktoś coś mówił o przełomie Brahmaputry - leciałem do Kalkuty.

W beczce miodu była jednak łyżka dziegciu. Coś jakby cicha, odległa świadomość istnienia Liz: chociaż napisawszy to widzę, że wcale nie o to chodziło.

Trudno to wytłumaczyć. Nigdy, ba, do dziś nie pozbyłem się wrażenia, że ją widzę. Od wyjazdu z Anglii aż do powrotu nigdy jej nie spotkałem. Ale zdarzało się, że siedząc przed kawiarnią, przy jednym z tych okrągłych białych stolików, podobnie jak autostrada nieokreślonych jako miejsce, obserwuję wyciągniętą w krokodyli kształt grupkę turystów, która znika za rogiem podążając za przewodnikiem, powiedzmy do Palazzo degli Uffizi, a gdy już ich nie widać, przypominam sobie, że... ależ tak, z całą pewnością! Jakiś gest, sukienka, głos. Podrywam się nawet, robię krok do przodu, żeby ich gonić, po czym zatrzymuję się, bo przecież nawet gdyby tak było, to po co? Schodziłem kiedyś po schodach od osteopaty w Brisbane, Australia, i przystanąłem, by przepuścić kobietę, która szła na górę. A kiedy już zniknęła za jego drzwiami, zawróciłem nagle i rzuciłem się za nią. Dopiero gdy przypomniałem sobie Capstone'a Bowersa, dałem spokój. Nieraz mnie to martwiło, aż wreszcie znalazłem sposób na ten bzdurny wykwit własnego umysłu. Natknąłem się na opis samotnej podróży dookoła świata pióra pewnego rozsądnego człowieka - wydał mi się rozsądny, bo jego podróż była bardzo podobna do mojej w tym, że również wynikała z chęci ucieczki od wszystkiego. Miał wrażenie, że słyszy jakieś głosy, że takielunek mówi do niego coś, czego o mały włos nie zrozumiał. Ja natomiast w swoim rozmyślnym, tłoczonym osamotnieniu "o mały włos" nie widziałem Elizabeth. Ta dziwaczna seria nie-spotkań nie mogła dojść do skutku, kiedy kręciła się wokół mnie włoska przyjaciółka - choć może raczej powinienem powiedzieć, kiedy to ja kręciłem się koło niej. Teraz ona gorliwie spędzała życie na klęczkach, a ja zostałem sam. Myślałem, że czas wyleczy. Ha, et cetera.

A jednak zachodzi tu pewna sprzeczność. Utrzymywałem kontakty z kelnerami, pokojówkami, recepcjonistami, hostessami. Zdarzało mi się niekiedy zjeść posiłek w towarzystwie jakiegoś międzynarodowego wędrowca, podobnie jak ja pozbawionego

korzeni. Pamiętam, jak kiedyś, tylko nieznacznie pijani, sprzeczailiśmy się z pewnym mężczyzną, którego nie spotkałem już nigdy więcej, o kraj, w jakim się znajdujemy, po czym zgodziliśmy się, że każdy z nas jest w innym. Nie pamiętam, kto miał rację, być może żaden z nas. Były też przecież rozmowy przy barze. W końcu jednak dopadło mnie to uczucie. Byłem samotny.

Jakie to wszystko zagmatwane! W każdym razie, lecąc wtedy do Zurychu dobiłem sześćdziesiątki i wypilem zdecydowanie za dużo na pokładzie samolotu. Mówiąc oględnie, musiałem gdzieś dojść do siebie i lekarz na lotnisku poradził mi Schwillen nad Jeziorem Zurychskim

### ROZDZIAŁ III

Tym sposobem uczyniłem kolejny, z góry mi przeznaczony, krok w życiu. Schwillen było równie nieuchronne jak spotkanie z nimi. Zdarzyło się to zaraz pierwszego dnia rano. Wypiłem sobie trochę, nie za wiele, i czułem się mniej więcej dobrze. Wspiąłem się na niewielkie urwisko nad jeziorem, tam gdzie -znajduje się pomnik ku czci jakichś Litwinów. Wokół rozciągał się park z zamkiem oraz stały pomalowane na zielono ławki, gdzie można było sobie przysiąść. Usiadłem więc. Pamiętam, że z pewną przyjemnością rozmyślałem, jak by to było śmiesznie, gdyby arystokraci nosili nazwiska utworzone od nazw serów i odwrotnie. Na przykład *le gratin*. Aż nagle uświadomiłem sobie, że pomiędzy mną a słońcem stoi jakaś potężna postać.

- Czy pan Wilfred Barclay? Wilf - Na miły Bóg!

- Czy pan LWOIIS'1....

Był ogromny... naprawdę ogromny. Albo ja się skurczyłem.

- Nie mogę ci przecież zabronić, byś usiadł. - Co za spotkanie! Tak się cieszę!

- Jak się miewają moje zdania zależne? - Powinienem ci wyjaśnić, Wilf...

- Nie wysilaj się. Idź i uczaj.

- Dostałem urlop sabatowy, Wilf. Wiesz, raz na siedem lat.

- "To już tak dawno? A wydaje się, że to było wczoraj. - Siedem lat, Wilf.

- Służyłeś siedem lat za Leę. Będzie miała słabe oczy. - Nie, sir. Nazywa się Mary Lou. Chyba jej nie znasz. Oto ona.

Podążyłem za jego spojrzeniem. Na wysypany żwirem plac, na którym siedzieliśmy, wchodziła właśnie jakaś dziewczyna. Bardzo młoda, pomyślałem. Wygląda na jakieś dwadzieścia lat. Miała bladą cerę, włosy jak ciemny obłok i figurę smukłą jak papieros.

- Mary Lou, patrz, kogo spotkałem! - Pan Barclay?

- Wilfred Barclay. - Mary Lou Tucker.

Rick spoglądał na nią z góry pełen dumy i czułości.

- Mary Lou jest twoją wielbicielek, Wilf.

- Och, panie Barclay...

- Mów do mnie Wilf. Ależ ty masz szczęście, Rick, niech cię diabli...

W okamgnieniu ubyło mi czterdzieści lat. Wróć! Poczułem się tak, jakby mi ubyło czterdzieści lat. Rick był moim przyjacielem. Oboje byli moimi przyjaciółmi, zwłaszcza ona.

- Gratulacje, Mary Lou!

Nie wiem dlaczego, ale od razu było widać, że dopiero co się pobrali, a jeżeli nawet nie "dopiero co", to ona właśnie tak wyglądała, sam wdzięk i promiennosc! (:chwyciłem ją za ramiona i ucałowałem. Nie znam jej opinii na temat szwajcarskiego wina bóle, którym raczyłem się od samego rana. Odsunąłem ją od siebie i przyjrzałem się badawczo jej twarzy, od niskiego, bladego czoła aż po delikatną szyję. Jej policzki spłonęły rumieńcem. Było to jedyne właściwe słowo i nim zdążyłbym ją powtórzyć, policzki pobladły, po czym natychmiast spłonęły ponownie. Całe wnętrze w jednej chwili wyszło na zewnątrz. Ale też i droga była dość krótka.

- Spóźnione gratulacje, Mary Lou. Mąż i żona to jedno ciało, a ponieważ nie mogę pocałować Ricka...

Tucker zaskowyczał ze śmiechu.

- ...odbijasz to sobie na Mary Lou! Tak trzymać!

Z oszałamiającą prędkością wyskoczył z jego rękawa i błysnął nie-rym sztylet w jego prawej ręce mały aparat fotograficzny. Fotka musi teraz leżeć w jakiejś szufladzie, może w bibliotece w Astrakhan, Nebraska. Będzie na niej Mary Lou o urodzie przyćmionej nagłości zapisu, będzie moja przerzedzona żółtobiała broda, żółtobiała strzecha i szczerbaty uśmiech. Aparat fotograficzny nie mógł uchwycić jej ciepła i miękkości. Można by to nazwać bliskim spotkaniem drugiego stopnia; nie ma obrazu dziewczyny, lecz uległa, pachnąca, prawdziwa... nie byłem do tego przyzwyczajony, co bardzo uspiło moją czujność. W prawym ramieniu poczułem pulsujące ciepło spod cienkiej tkaniny, która okrywała jej talię. Moje zużyte serce najpierw zamarło, a potem zgubiło rytm. Mary Lou była doskonała jak róża.

- Powinniście się świetnie porozumieć z Mary Lou, Wilf. Pisała pracę z...

Mary Lou wtrąciła się:

- Kochanie, nie powinniśmy...

Ale on zaglądał mi w oczy z przejęciem.

- O Boże, Wilf, Elizabeth to wspaniały człowiek. Było mi naprawdę przykro.

- Och, panie Barclay...

- Wilf. Spróbuj powiedzieć: "Wilf". - Chyba nie potrafię!

- Potrafisz, no powiedz, powiedz. Śmiało, po prostu powiedz!

- Nie, nie mogę...

Śmialiśmy się, przekrzykując się nawzajem. Rick zagroził, że ją zabije, jeżeli nie powie, ja wygadywałem sam nie wiem co, a ona śmiała się prześlicznie i mówiła, że och, nie, nie potrafi, i...

- Och, panie Barclay, ten osobliwy stary dom!

Wierzcie lub nie, ale wcale tego nie zauważyłem. Dopiero potem dotarło do mnie, że mój stary osobliwy dom był miejscem, skąd właśnie wrócili. Kiedy się już wyśmialiśmy bez sensu, zapadło milczenie jakby w oczekiwaniu jakiegoś drugiego aktu.

- No dobrze. może usiądziemy?

Tuż obok stała ławka. Usiadłem w środku. Rick po mojej lewej ręce, Mary Lou ostrożnie przysiadła z prawej.

- Wilf - zaczął Rick poważnie. - Muszę cię o coś zapytać.

- Ale nie o książki, na litość boską.

- Nie, nie, ale... Mam wrażenie, że jesteś sam.

- Bez stałej towarzyszkii życia. Brak porządnego przyjaciela. Nie widuje się go też stale w towarzystwie tego-a-tego. Czy wiesz, Mary Lou? Mam sześćdziesiąt lat!

Umilkłem, trochę z nadzieją, że Mary Lou okaże zdziwienie. Sam przecież byłem mocno zdziwiony. Lecz ona z powagą pokiwała głową.

- Wiem.

Rick nachylił się do mnie. - I piszesz., Wilf?

Poczułem nawrót dawnej irytacji. Chrząknąłem. Rick skinął głową.

- Rozumiem, uraz.

- Na Boga, człowieku! Przecież to już tyle lat... Chyba że masz na myśli moją... włoską przyjaciółkę.

- ...A jednak.

- Całkowita zmiana stylu życia. Absolutna swoboda. Mogę flirtować z każdą napotkaną dziewczyną i nikt, oprócz niej, nie może mi tego zabronić.

Mary Lou odsunęła się nieznacznie. W końcu oddychałem jej prosto w twarz. Matka przestrzegała ją zapewne, że mężczyznom nigdy nie należy ufać. No tak. Nie należy.



Śmiech Ricka trącił szatnią sali gimnastycznej. - Założę się, że się nie wzbraniają.

- O co zakład?

- Nie o moją pensję, Wilf. Jako docent... - Docent? Przecież byłeś już profesorem.

- Szczerze mówiąc, Wilf...

- Było w nagłówku twojego listu, który musi gdzieś leżeć w tym osobliwym starym domu, w jakiejś zabitej gwoździami skrzyni po herbacie: "...Wydział Anglistyki i Nauk Pochodnych, Uniwersytet Astrakhan, Nebraska". Doskonale pamiętam, bo to prowadziło bezpośrednio do tamtej nocy.

- Wolałbym o tym nie rozmawiać, Wilf.

Powiedział to głosem stłumionym, jak kiedyś w Sewilli. Mary Lou siedziała wyprostowana i patrzyła przed siebie. Przełknęła ślinę - wdzięczny ruch szyi, jabłko Ewy. Odezwała się nie odwracając głowy.

- Pamiętaj, kochanie. Przyrzekłeś.

- Ale, kochanie...

- Lepiej powiedz panu Barclayowi, kochanie. Inaczej nigdy nie zaznasz spokoju.

- O co wam chodzi? Coś, o czym nie wiem?

- Panie Barclay, on wtedy nie był profesorem. Robił wtedy doktorat i pożyczył pieniądze od mamy, żeby do pana pojechać podczas wakacji.

- Musiałem, Wilf. Byłeś moim, moim... - Twoim zadaniem, tak?

- Tematem specjalnym. To było zadanie oficjalne, Wilf. -- Proszę uwzględnić, panie Barclay, że to była naprawdę zła kobieta. Rick opowiadał mi o niej.

- O kim?

- O Elli. Cieszę się, że się przyznałeś, że nie byłeś wtedy profesorem, kochanie.

- Ja też się cieszę, kochanie. Skoro ci już powiedziałem, Wilf...

- Mary Lou mi powiedziała. Mąż i żona...

Ale Rick spoglądał na Mary Lou -r. wyrazem niezbyt kompletnego oddania.

- ...i mam posadę, i jestem docentem, i mam teraz coś w rodzaju urlopu naukowego, wiesz, urlop sabatowy.

- Z pewnością poczujesz się lepiej, kochanie. Możesz teraz -c. mówić o tym, o czym chciałeś. Tak jest najlepiej. Zawsze tak trzeba.

Słońce świeciło za drzewami i każdy liść rzucał własny cień na zwirowaną alejkę. Skrzyły się wszystkie zmarszczki na jeziorze. Rozśmieszyło mnie to.

- Zupełnie zapomniałem, jak się rozmawia tym... tym naszym środkowoatlantyckim żargonem!

Wsunąłem ramię na oparcie ławki.

- Tyle spowiedzi Ricka. A ty, Mary Lou? Czy masz coś do oclenia?

- Nie, chyba nie.

Znowu odsunęła się trochę ode mnie. - Ale nie możesz odejść!

-- Nie o to chodzi, Wilf. Ona się tylko nie chce narzucać. Wie, że jesteś wspałałomyślny. Opowiadałem jej.

- To prawda - poparłem go w swojej głupocie. - Czego byś chciała, Mary Lou? Gwiazdki z nieba?

Mary Lou spadła z ławki. Zrobiła to bardzo zgrabnie, bo podnosząc się strzepnęła spódnicę sięgającą do połowy łydki. - Pójdę już, kochanie. Macie tyle do omówienia.

Oddaliła się pospiesznie, zimny wiatr spłynął z boczem urwiska i nadał powierzchni jeziora barwę cynowoszarą. Widok ten skojarzył mi się z pojemnikiem na śmieci.

- Rick, jesteś krętaczem. Niczym więcej. Moje gratulacje. To znacznie bardziej interesujące niż stypendium.

- Zamierzałem ci o tym powiedzieć, Wilf. Miałem zostać profesorem. Wiedziałem o tym.

- Krętacze wiedzą, że zostaną bogaczami. - Ale ja naprawdę wiedziałem!

- Nieważne. Cóż to jest właściwie profesor? W młodości wyobrażałem sobie, że profesor to coś wielkiego. Ale oni nie są wcale lepsi od pisarzy. Profesor to też małe piwo. Inaczej smakuje, i tyle.

- Krytycy, Wilf! Krytycy albo cię wykreują, albo zlikwidują. - A co powiesz o Johnie Crowe Ransomie? Czytając twój list odniosłem wrażenie, że to świetny facet. Czy jemu też powiedziałeś, że jesteś profesorem?

Twarz Ricka z purpurowej zrobiła się ciemnofioletowa. Patrząc na niego z boku, pod nowym kątem, mogłem obserwować ciekawy element języka jego ciała. Zauważyłem to już przed laty, kiedy zjawił się u mnie z trwożliwym zamiarem stawienia mi czoła w jaskini, która miała opinię niebezpiecznej. Potem widziałem to podczas konferencji. Pomyślałem wtedy, nie wiem dlaczego, że to wciskanie brody w szyję, to spojrzenie spod zmarszczonych brwi jest tylko moim złudzeniem. Ale nie. Speszony Rick rzeczywiście

wciągał dolną część twarzy, by stawić czoło, które miało być, powinno być, spiżowe, i spoglądało spod brwi jak krab spod kamienia. Zrobił to również teraz i nawet nie pod moim adresem. Odruch ten stał się mechaniczny, przeznaczony teraz dla jeziora, jakby Rick postanowił pozostać nieustraszony wobec cynowoszarego arkusza.

- - No, jazda, Rick... wyrzuć to z siebie!

- Wszystko się zaczęło od pomyłki mojej... naszej... sekretarki, Elli. Otrzymywałem listy adresowane do Profesora Tuckera. Tak było ze wszystkimi, taka wyprzeda pochlebstw. - Wziąłeś się więc do dzieła jak handlowiec. Brawo!

- Ty nigdy nie zrozumiesz, jak wiele dla mnie znaczy twoja praca.

- Jeżeli ktoś wygada, jaki z ciebie krętacz, wyrzucą cię z tego akademickiego regimentu.

- To przez tę babę. Chociaż ja też nie jestem bez winy. Dałem się ponieść. '

- Zaryzykowałeś. Gratulacje.

- Ale się opłaciło. Dzięki tej pomyłce zyskałem, mam nadzieję, to zbliżenie, to, że tak tu siedzimy, ramię w ramię.

- A jak mielibyśmy siedzieć, do cholery?

- Wiesz, Wilf, ta dziewczyna... - i znowu to wciągnięcie podbródka, czoło zwrócone ku ołowianej powierzchni wody ...ona mnie lubiła. Myślała, że mi wyświadcza przysługę.

- A John Crowe Ransom?

- Naprawdę nie pamiętam, Wilf. Owszem, poznaliśmy się.

Nagle spostrzegłem, że na jeziorze panuje martwa cisza.

- Zresztą czy to ważne? Jutro wyjeżdżam. I Mary Lou będzie sobie mogła siedzieć na tej ławce i nie będzie musiała z niej spadać.

Zamilkliśmy. Dopiero po chwili Rick przerwał milczenie. - Ale zjemy dzisiaj razem kolację, prawda?

- Wszyscy troje? - Oczywiście.

- Dobrze. Ale ja stawiam. To mój starczy przywilej. Jedyne przywilej.

- Mary Lou jest bardzo nieśmiała, Wilf. Zawsze była taka. Ale ona dobrze wie, że pod tą swoją brytyjską skorupą ukrywasz prawdziwe ciepło.

- Popatrz, a ja myślałem, że jestem międzynarodowy. Rick podniósł się i wygłosił jedno ze swoich przygotowanych zawnazu oświadczeń.

- Zawsze byliśmy zdania, że jesteś wybitnym przedstawicielem i prawdziwą chlubą twego Wielkiego Kraju.

Udał się zбочem w dół, w ślad za żoną. Po jego odejściu nadal z powagą kiwał głową jak porcelanowy mandaryn, mruczając: "Strzeż się, stary, pięknej Mary, nie wyjdź na frajera przez Ricka Tuckera".

A potem dodałem na głos te obmierzłe słowa:

- W tej zaskakującej sytuacji należy mieć nadzieję.

Dość szybko odzyskałem zdrowe zmysły. Odwiedzili "osobliwy stary dom". A zatem nasze spotkanie nie było przypadkowe. Wyłudzi od Elizabeth albo nawet od agenta moje adresy na poste restante. Byłem dla Ricka tematem specjalnym. Byłem jego surowcem, rudą w jego kopalni, jego fermą, jego pułapkami na homary.

Ale skąd brał pieniądze na ten pościg? To przecież kosztowna sprawa, jak miałem okazję przekonać się wcześniej, gdy usiłowałem odzyskać niektóre listy.

Myślałem o tej dziewczynie, o Mary Lou, dziewczynie o przezroczystej twarzy, tak pięknej, że z całą pewnością musi być święta i mądra. Nie tak jak ten stary księżulo!

- A może nowo narodzony?

Dziewczyna, jaką spotyka się raz na siedem... nie, raz na czternaście lat, ta, którą się spotyka, kiedy jest już faktycznie za późno. Ujrzałem teraz swoje gwałtowne ożywienie w prawdziwym świetle - jako objaw rychłej starości. Wyobraziłem sobie, jak bardzo mój oddech musi już cuchnąć porannym Dole. Mogło to znaczyć wiele dla Ricka; mogło też być w tym coś dla Mary Lou: okazja do podziwiania z niesmakiem człowieka, którego książki przeczytała. Lecz dla mnie nie było w tym nic, prócz obsesji, frustracji, szaleństwa i rozpacz. Postanowiłem zniszczyć ten pączek przyszłości, nim się otworzy. Niech ścigają kogo innego. W końcu nie brakuje pisarzy, za którymi można się uganiać, są tysiące pisarzy, wszyscy o czołach tak spiżowych lub prawości tak nieskazitelnej, że stać ich na zażywanie najstraszliwszej ze wszystkich trucizn - czystej prawdy o sobie. Podczas gdy ja...

Siedząc na tej zielonej ławce przetrzymałem lawinę obrazków z przeszłości. Zerwałem się i pospiesznie wróciłem do hotelu. Wymamrotałem do kierownika coś na temat potrzeby

samotności. Bez wahania polecił mi Weisswald, nasłonecznione przedpole krainy narciarzy, teraz, poza sezonem, opustoszałe. Powinienem zatrzymać się w Hotelu Felsenblick. Pozostałe są oczywiście czyste, ale nic poza tym. Wciąż kiwając głową

zapłaciłem rachunek, spakowałem się, podałem adres hotelu Bung Ho w Hongkongu, gdzie należy przekazywać moją korespondencję, i wymknąłem się cichaczem.

U stóp Weisswaldu znajdował się rozległy garaż, tuż obok kolejka górską wspinająca się ukośnie na ohydnie pionowy stok. Przez cały czas, aż do samego szczytu, miałem zamknięte oczy. Cierpię na patologiczny lęk wysokości i być może dlatego wysokość tak mnie fascynuje. Co więcej, wolałem zachować widok z wysokości do czasu, kiedy stanę na równej ziemi i będę mógł go podziwiać nie odczuwając przymusu skoczenia. Wpatrując się we własne stopy wszedłem za portierem do hotelu. Kierownik zaofertował mi apartament, ni mniej ni więcej, po obniżonej cenie, którego balkon wisiał nad skałą. Szerokim gestem otworzył drzwi i zaprosił mnie do środka.

- Proszę tylko spojrzeć!

Okna salonu zajmowały całą ścianę, za szybą znajdował się balkon. Dalej ciągnęło się osiem kilometrów pustej przestrzeni. Kierownik otworzył okno i zaprosił mnie na balkon. Stałem tuż przy oknie. Balkon sprawiał dość solidne wrażenie.

- To nasz najlepszy pokój - zapewnił. - Naprawdę najlepszy.

Gdybym był w stanie zrobić trzy kroki do przodu, mógłbym splunąć z wysokości sześciu tysięcy metrów - o ile byłbym w stanie splunąć.

- W sam raz dla pana. Doskonałe miejsce dla pisarza. - Kto panu powiedział, że jestem pisarzem?

- Brat, kierownik hotelu Schiff. Apartament i widok są do pańskiej dyspozycji. Bardzo tanio.

Przesłano mnie więc do drugiego rodzinnego interesu. Rzuciłem nerwowe spojrzenie w stronę makiety kolejki rozmiar "O" rozłożonej pół mili niżej, po czym skupiłem wzrok na bliższych mi kwiatach doniczkowych. Na balkonie stał ten

sam biały żelazny stół, przy którym siadywałem w hotelu Schiff, cztery białe krzesła i biały szezlong.

- Czy mój samochód będzie bezpieczny? Nie zamknąłem go.

- Samochód, sir? - W garażu.

- Zawsze będzie bezpieczny, i zamknięty, i otwarty. Zapadło milczenie. Widok zmieniał się z każdą minutą. Jakaś biała kreska przecinała czarny masyw skały poniżej lukrowanej czapy wysokiej prawie na dwa kilometry.

- Co to jest? - Gdzie, sir? - O, tam.

- To Spurli. Wodospad. Teraz, kiedy zostało mało śniegu, wygląda jak niteczka. Wypływa z tamtej doliny, nasza armia przeprowadza tam właśnie manewry...

- Tak wysoko? Niemożliwe!

- Co więcej, powiem panu, że ja sam też tam byłem. Bywam tam co roku. Jestem majorem. Aha... dam panu dobrą radę. Niech pan nie wychodzi przez dzień lub dwa.

- Chce pan powiedzieć, że muszę się zaaklimatyzować? - Tak mówią Anglicy, prawda? Nasi amerykańscy goście mówią "zaaklimatyzować".

- Ale ja przyjechałem z okolic Zurychu.

Kierownik machnął lekceważąco ręką, jakby różnica między Zurychem a kanałem La Manche była na tyle mała, że nieistotna.

- Nie jest pan młodzieniaszkiem, panie Barclay, i przyda się panu dzień lub dwa odpoczynku.

- Będę pamiętał.

- I mamy nadzieję, że ta nasza panorama, która się tu przed panem roztacza, stanie się źródłem, żeby nie powiedzieć inspiracją, jakiegoś znakomitego dzieła. Jesteśmy do pańskich usług.

Kierownik wyszedł zgięty w ukłonie. Posunąłem się o pół kroku naprzód. Nie spojrzałem w dół przez barierkę - zostawiłem ten gest bohaterom. Odsunąłem natomiast szeszlonego jak najdalej od niej, otuliłem się ogromną kołdrą z sypialni, wyciągnąłem się wygodnie i podziwiałem widok z tej pozycji. Zmieniał się nadal, tworząc wciąż nowe fantazje skał i śniegu. Ukazał zbocza, tam gdzie wcześniej zdawało się, że są pieczary, zmienił barwę masywu stanowiącego tło wodospadu Spurli z czerni w szarość, a potem w brąz. Leżałem pozwalając, by przyroda wprawiała mnie w podziw. Czyniła to, jak zwykle, w sposób umiarkowany. Ponieważ kierownik, oczywiście, nie miał racji. Zwiedziłem zbyt wiele miejsc, widziałem zbyt wiele wybryków natury. Zresztą piękne krajobrazy wcale nie poruszają pisarzy czy malarzy. Dostarczają im jedynie pretekstu do bezczynności. Wspaniały widok może pisarzowi najwyżej przeszkadzać. Przykuwa go do siebie. Obserwowałem więc, jak spoza czegoś, co, tak mi się zdawało, tam się znajduje, wyłaniają się szczyty, aż jeden z nich, ten bliżej mnie, okazał się białą chmurą. Ale widywaliśmy już różne dekoracje - Himalaje, Andy, Saharę, sztormy na morzu, noce bezchmurne, bezksiężycowe, nie skalane łuną wielkich miast, widzieliśmy podwodne baśniowe krajobrazy i tropikalne dżungle... ha, et cetera. Pisarzowi potrzebny jest

ceglany mur, w miarę możliwości otynkowany, aby nie mógł dojrzeć krajobrazu, który taka powierzchnia sugeruje. Zrozumiałem, że czeka mnie kolejny zmarnowany tydzień.

Mimo to, tak sobie rozmyślając i dalej popijając Dole, przyglądałem się temu kawałkowi Szwajcarii całymi godzinami. Czyżbym mimo wszystko był romantykiem? - zadawałem sobie pytanie. Raczej nie. To nie prowadziło donikąd, przyjemność była celem samym w sobie, nie wywoływała żadnych wzniosłych ani uduchowionych myśli. Wyższy stopień hedonizmu: człowiek staje się własnymi oczami. Późnym popołudniem Dole i mahoniowe powietrze zrobiły swoje. Zapadłem w sen.

Obudziłem się, gdy słońce opadało za zachodnią krawędź balkonu. Nie czułem w głowie Dole, mimo opróżnionej butelki. czyżby to te widoki? Zabawiałem się dziecinnym pomysłem, by dodać linijkę do wiersza Shelleya, tym razem sławiącą góry jako remedium na *goettle-de-bois*, jak katedra u' Chartres. Na tę myśl pustka trawiąca mnie w obliczu Matki Natury niczym trans wypełniła się pragnieniem płynu. Wy

plątałem się z kołdry i po odwiedzeniu łazienki wyruszyłem na poszukiwanie baru, który znalazłem pod ręką w dogodnej odległości. Chcąc ukarać się za Dole, zamówiłem ohydny mieszaninę własnego pomysłu, zawierającą między innymi Alka-Seltzer i Fernet Branca. Na oko przypomina biegunkę. Nawet kierownik, występujący teraz w roli barmana, wydawał się przerażony. Nie zrozumiał też mojego wyjaśnienia, iż wymierzam sprawiedliwość butelce Dole, choć przyjął je do wiadomości i zrobił, co mu kazano. Biczowałem właśnie podniebienie wstrętnym napojem, gratulując sobie trzeźwej oceny uroków przyrody i celebrując udaną ucieczkę od pułapek emocjonalizmu w bezpieczny stan równowagi, kiedy tuż obok pojawiła się jakaś zwalista postać.

## ROZDZIAŁ IV

Był to, rzecz jasna, i powinienem to przewidzieć, docent Rick L. Tucker z Uniwersytetu Astrakhan w Nebrasce. Odziany w strój turystyczny, *Lederhosen*, długie skarpety w jaskrawe pasy u góry i buty o tak grubej podeszwie, jakby przywarł do nich kawał płyty chodnikowej. Na rozpiętą pod szyją koszulę włożył sweter z wrobionym na drutach napisem "Ole Ashcan", stary śmietnik, i przez chwilę myślałem, że ma to być przekorna aluzja do tego pojemnika, w którym grzebał przed laty... no tak, już siedem lat temu, ale napis stanowił jedynie uroczy żart na temat miejsca, w którym robił forszę. Litera zajmowały cały jego tors, co znaczy, że ciągnęły się szeroko. Górskie powietrze, którego działanie uwidoczniło się na jego policzkach i czubku nosa, sprawiło, że zdawał się jeszcze szerszy i wyższy. Musiałem wysoko zadrzeć głowę, żeby go zobaczyć. Kiedy zwróciłem się do niego w pierwszym odruchu oburzenia, tylko nieznacznie cofnął brodę.

- Hej, Wilf! Widzę, że wpadłeś na ten sam pomysł co my! - Nie udawaj naiwniaka.

- Mary Lou, popatrz, kto tu jest!

Rozejrzałem się. Mary Lou posłała mi wąły uśmiech z łona ogromnego fotela w ciemnym kącie baru.

- Witaj, Mary Lou.

- Dzień dobry, panie Barclay. - Wilf.

Nie zareagowała: sprawiała wrażenie zatopionej we własnych myślach. Doznałem nagle takiego uczucia, jakby cała najwyższa wartość życia skupiła się... nie, nie, tak nie wolno, to niemożliwe!

- Twój sok, kochanie.

- Chyba nie mam ochoty nawet na sok, kochanie. Rick znowu zwrócił się do mnie.

- Mary Lou źle znosi wysokość.

- Dziewczyna stworzona do poziomu morza. Rozmyślnie odwróciłem wzrok.

- Tak, kochanie?

Wbrew sobie spojrzałem ponownie. Mary Lou przyciskała dłonie do ust. Jej duże oczy zrobiły się ogromne. Usiłowała wydobyć się z fotela.

- Nie widzisz, głupcze? Ona zaraz zwymiotuje! Zwymiotowała w połowie drogi między fotelem i drzwiami. Rick wykonał coś w rodzaju potrójnego szusa najpierw do



baru ze szklankami, potem do drzwi. Kierownik obojętnie popatrzył na powstałe szkody. Krzyknął coś w kierunku otwartych drzwi za barem i zaraz wyszła stamtąd gruba siwa kobieta ze szmatą i wiadrem, jakby tylko na to czekała. Rick posłusznie podążył za Mary Lou gdzieś do ich pokoju. Zadumałem się nad cierpiącymi na wymioty z dystansem właściwym człowiekowi, którego udziałem jest coś znacznie gorszego. Wychyliłem swoją obrzydliwą miksturę, wyszedłem z hotelu i powlokłem się naprzeciw zachodowi słońca. Na niewielkim placyku, urywającym się z jednej strony nad tą potworną przepaścią, rozstawiono okrągłe metalowe stoliki (te same, przy których zawsze siaduję). Usiadłem przy stoliku, przy którym siedziałem już, powiedzmy, we Florencji, Paryżu czy St. Louis. Gdzie ja jestem? W drodze, bezustannie w drodze. To ten kierownik hotelu w Schwillen. Po prostu zapomniałem zatrzeć ślady. Następnym razem...

Podniosłem się, przeszedłem kilka metrów ścieżką prowadzącą ku położonym wyżej łąkom i nagle poczułem, że opuszczają mnie wszystkie siły. Ledwie zdołałem wrócić do swojego krzesła i stolika. Upłynął jakiś czas.

Siedział przy mnie Rick i coś mówił. Nie wiem, jak długo to trwało. Roztaczał plany na najbliższą przyszłość. Dowiedział się, że są tu cztery wspaniałe trasy, które moglibyśmy przemierzyć. Najpierw sam uda się na rekonesans, a ja przez ten czas się "zaaklimatyzuję". On nie musi się "klimatyzować", ponieważ jest od dziecka przyzwyczajony do wysokości. Podobno jedna z tras zawiera krótki odcinek wymagający wspinaczki. Rozparłem się na krześle i kiwałem głową, aż broda opadła mi na pierś.

Z ukwieconego zbocza schodziła ścieżką Mary Lou. Mówiła o stereometrii i objaśniała trzy podstawowe krzywe całkowe, nawiązując do olbrzymiego stożka piętrzącej się nad nami góry.

Ktoś na placyku zadał w róg alpejski. - Wilf? Sir?

To ja byłem tym rogiem i zadałem w siebie raz jeszcze potężnym głosem.

- Śpi.

Znowu mrużyłem oczy przed zachodzącym słońcem. Stacja kolejki wchłaniała pochód szwajcarskich, niemieckich, austriackich piechurów. Wszyscy zdawali się tej samej szerokości co wysokości. Rick zanosił się śmiechem.

- Powiedziałaś, że Mary Lou zrobiła specjalizację z matematyki! Mary Lou!

- Śniło mi się, że jestem rogiem alpejskim. Śliczna dziewczyna. Gratuluję.

- Ona cię podziwia. - Lubi mnie? Milczenie.

- Jasne, że tak!

- Gra w szachy?

- O, nie! Co to, to nie. - W warcaby?

- Oboje poczujecie się lepiej. Jutro rano. Jeszcze dziś wieczorem.

- Kolacja.

- Tak, tak! - Rick przytaknął dzielnie. - Byłoby nam miło, gdybyś zechciał nam towarzyszyć.

Zawstydziłem się z lekka. - Ja stawiam.

Okazało się, że tylko my troje przebywamy w hotelu, w środku tygodnia i poza sezonem. Podczas kolacji Mary Lou była blada i prawie nic nie jadła. Za to Rick mówił za wszystkich troje. Szlak, który spenetrował, oferuje niesamowite wprost widoki. Naprawdę inspirujące. Potoki, drzewa, linia lasu, kwiaty. Kiedy dotarło do mnie, że idziemy na wycieczkę jutro, przestałem słuchać i dalej zajmowałem się Mary Lou. Ona także nie wykazywała zainteresowania tym, co mówi Rick. Podniosła się gwałtownie, tak, że, o dziwo, chwyciłem ją wcześniej niż Rick, który opowiadał coś o śniegu. Odebrał mi ją i wyprowadził. Wróciwszy, przeproszał w jej imieniu, co rozbawiło jedną stronę mojej twarzy.

- Ona jest czarująca, Rick. Myślałem, że to konwencja literacka, ale słuchaj! - kiedy jej się robi słabo, wcale nie zielenieje ani się nie starzeje... tylko robi się jeszcze bardziej przezroczyta.

- Powiedziała, że jutro z nami nie pójdzie.

- Czy ona nie ma żadnych upodobań? To znaczy...

- Można by powiedzieć - zaczął Rick ostrożnie - że Mary Lou nie jest cielesna.

- Koty? Psy? Konie?

Jego twarz z wolna oblała się rumieńcem. - Byliście tam, Rick, oboje. Niedawno.

- Mieszkałeś w tym domu przez wiele lat, Wilf. Zamyśliłem się nad domem, w którym mieszkałem przez wiele lat. Jedyńm domem. Osobliwy, stary dom, podmokłe łąki, drzewa, żywopłoty, nagie wzgórza schodzące w dół ku szerokiej dolinie, ogromne dęby, kępy wierzb, o których Elizabeth mówiła, że umierają. Poczułem, że jestem od tego odcięty.

- Podobało się wam? - Jasne!

- Dlaczego?

Nigdy nie przypuszczałem, że usłyszę to z ust dorosłego mężczyzny, ale Rick właśnie tak powiedział.

- Tak tam zielono. Ten biały koń wycięty na zboczu wzgórza... i wszystko takie wiekowe...

- Kiedy tam byłem po raz ostatni, na zboczu z białym koniem odbywały się co niedziela zawody motocrossowe. A na innym zboczu uniwersyteckie towarzystwo archeologiczne zdzierało darń.

- Ale ludzie, Wilf! Te obyczaje... - Przeważnie kazirodztwo.

- Ty chyba...

- Nie, nie żartuję. Nie zapominaj też o sabacie czarownic.

- Żartujesz, żartujesz, na pewno żartujesz, Wilf!

- Zazwyczaj są to dane z bardzo wiarygodnych źródeł. Stratford-on-Avon Wilfreda Barclaya.

- Oj, chyba jednak nie.

- Czego tam szukałeś? Odcisków moich palców?

- Musiałem z nią porozmawiać. Jest wiele spraw, o których tylko ona wie.

- No to jestem zgubiony. - A także papiery.

- Słuchaj no, Ricku Tuckerze. Te papiery należą do mnie i nikt, nikt nie będzie w nich grzebał...

- Ale...

- To był warunek. Dom jest jej, potem przechodzi na Emmy, w razie gdyby...

Papiery są moje.

- Oczywiście, Wilf. Mówiła, że wszystko odbyło się bardzo kulturalnie.

- Elizabeth? Ona tak powiedziała? Jak to, przecież... Umilkłem, powodowany raczej ostrożnością niż szczątkowym poczuciem lojalności. Elizabeth oczywiście maskowała się. Był to przecież zawzięty i pełen nienawiści pojedynek, który złamałby mi serce, gdybym je miał, i tylko Julian potrafił zaprowadzić w nim prawny porządek. Ja ze swej strony oddałem wszystko nie dlatego, że jestem ~ wspaniałomyślny, lecz po to, żeby mieć to z głowy. Julian uchronił nas przed publicznym ogłoszeniem wzajemnej nienawiści, która łączyła nas nierozzerwalnym węzłem na dobre i na złe. A może, podobnie jak ja teraz, ona też czuje już tylko śladowe resztki nienawiści i pogodziła się z tą głęboką blizną. A ja, czy się pogodziłem? A ona?

- Powiedziała, że musi je zatrzymać, chociaż sama nie ma z nimi nic wspólnego.

- Moje papiery?

- Ty ciągle nie rozumiesz, Wilf. Jesteś częścią Wielkiego Pochodu Literatury Angielskiej.

Naprawdę tak powiedział. Zabrzmiało to jak składane w sądzie oświadczenie. Oskarżony pragnie oświadczyć, że jest częścią Wielkiego Pochodu... patrzcie, ileż w tym głębokiej treści! - Z a r z u c a s i ę oskarżonemu, iż z zamiarem wprowadzenia w błąd był częścią Wielkiego Pochodu...

- Co za bzdura!

Broda Ricka cofnęła się, czoło wysunęło do przodu, oczy patrzyły spod skalnego nawisu.

- Daj sobie spokój, profesorze.

- W każdym razie odmówiła mi, Wilf.

- Nigdy nie była rozpustna. Muszę jej to przyznać. - Wiem, że żartujesz. Ale rozumiem twój ból.

- Och, daj spokój! Jak się miewa Capstone Bowers? - Chyba w porządku.

- Dobrze. Bardzo dobrze.

- Nie pozwoliła mi nawet obejrzeć tych skrzynek. - Dobrze. Dobrze.

- Powiedziała, że bez twojej zgody nie może. Zgody na piśmie. Mówiła, że taka była umowa. "Umowa dżentelmeńska", powiedziała i roześmiała się. Oboje często się śmiejecie. Chętnie bym to zbadał.

- Wiwisekcja. Nic nie wiesz. o moim życiu. I niczego się nie dowiesz.

Na mojej pleciance pojawiła się maleńka filiżanka kawy i duży kieliszek koniaku. Ogrzałem koniak w dłoniach.

- To dla mnie ważne, Wilf. Bardzo ważne. Dałbym wszystko... wszystko! Nie masz pojęcia o konkurencji... a ja mam szansę. Jest taki facet... Kiedyś ci opowiem. Ale muszę mieć twoją zgodę...

- Powiedziałem nie, do cholery!

- Czekaj, czekaj! Nie mówię o papierach... Mamy czas i może kiedyś... Chodzi o coś zupełnie innego.

- Cały szkopał w tym, że od wczoraj nie piję. A tu, proszę, bez świadomego udziału woli, popijam koniak i szczerze mówiąc, jestem trochę, troszeczkę...

- Chodzi o to, że...

- Ruszyłem, jak to mówią, w kurs, jak sędzia objazdowy. Skazaniec spożył solidne śniadanie. Dziwnie musi być w takim objeździe. Trochę jak na autostradzie. Nie ma się do kogo odezwać. Tylko alkohol i akta jutrzejszych spraw. Na zdrowie!

- Posłuchaj, Wilf...

Rozmyślałem o sędziach i o tym, jak niewiele o nich wiem. Mam szczęście. Długi żywot nie zdemaskowanego przestępcy. Tych, którym się nie udało, wywożono do Australii. Z przestępców, którzy pozostali, zrodzili się tacy jak my. Wybieraj.

Zdałem sobie sprawę z tego, że Rick wciąż mówi. Przerwałem mu.

- Ostatnio łatwo się upijam. To przez tę wysokość. - Wilf, proszę cię!

- Słucham, profesorze?

- To dla mnie niezmiernie ważne. Mogę tylko błagać.

- Chcesz zostać profesorem zwyczajnym? Profesor emeritus?

- Wilf, chcę, żebyś mnie mianował swoim oficjalnym biografem.

## ROZDZIAŁ V

Spojrzałem na niego, a potem daleko poza niego. Moje życie, to życie, ten długi, coraz dłuższy szlak... szlak czego? Ślady stóp na piaskach... piaskach czego? Ślimaczy szlak. Materiał dowodowy dla oskarżyciela oraz, nie zapominajmy, dla obrońcy, jeżeli taki się znajdzie, a więzień nie zamierza zdać się na łaskę sądu. Niech przyzna się do winy, a wystąpi opiekun społeczny i zaświadczy, że oskarżony był dobry dla swojej starej mateczki i dla koni, że hojnie rozrzucał pieniądze, często w stronę przyjaciół, wsunął też niejedną banknot do niejednej puszki; pragnę przeciwstawić powyższe, Wysoki Sądzie, zarzutom, jakoby więzień miał zwyczaj wypisywania na papierze kłamstw w takiej formie, że ubodzy umysłem upatrywali w nich wskazówkę, znajdowali pocieszenie i przyjaźń, rzekomo na własną szkodę. Pozwolę sobie też zwrócić uwagę Wysokiego Sądu na fakt, że główny świadek oskarżenia, człowiek imieniem Platon, jest cudzoziemcem. Panie Smith, akt oskarżenia został już zamknięty, proszę ograniczyć się do zeznań dotyczących postawy moralnej więźnia. No tak, Wysoki Sądzie, prawdę powiedziawszy, to skurwysyn...

Wspomnienia, jakże drażnią, jak pieką i palą

Mając lat dziewiętnaście byłem urzędnikiem bankowym, uprawnionym do przyjmowania oszczędności i wypłacania czeków. W wolnych chwilach miałem przygotowywać się do egzaminu z bankowości, ha, et cetera, żeby - kto wie? zostać kasjerem i skończyć na stanowisku dyrektora banku. Dopiero co skończyłem szkołę, szkołę, gdzie uczęszczali przeważnie chłopcy z rodzin farmerskich, którzy nie byli w stanie zdać egzaminów wstępnych. Mnie ukierunkowała w pewnym sensie skromna stadnina mamy, mama musiała mieć na mnie jakiś sposób, Bóg wie na czym to polegało. W każdym razie mogłem stanąć za kontuarem eksponując stary szkolny krawat i z promiennym, jak to się mawiało, uśmiechem obsługiwać klientów bez służalczości. Dyrektor polubił mnie na początku za to, że w środy i soboty po południu nie potrafiłem wymyślić lepszego zajęcia niż gra w rugby. Żyłem jakby w transie: pamiętam nagłość, z jaką śmierć mamy - uważała, że mógłbym zostać księdzem, bo bardzo lubię czytać -- pchnęła mnie w ten świat cyfr. Nawet klub rugby składał się, z mojego punktu widzenia, z samych starców. Po każdym sobotnim meczu szliśmy do jakiegoś pubu, żeby się trochę zabawić. Boże, jaki ja byłem wtedy naiwny!

Podczas jednego z pierwszych meczy, albo może po, zaczęły się jakieś chichoty po kątach...

- A gdzie nasz mały Wilf? Dajmy mu jedną na spróbowanie!

Ta "jedna" to była pigułka. Nie, żaden narkotyk, jak by to było dzisiaj. Chodziło o powszechnie znany afrodyzjak. Mogę więc przynajmniej przedstawić własne świadectwo w sprawie, w której krążą sprzeczne opinie i tylko nieliczni mężczyźni skłonni są przelać swe doświadczenia na papier. Pigułka podziałała. może zawierała larwy muchy hiszpańskiej. Może była tylko placebo. Ale zadziałała.

Ależ oczywiście, zapewniali mnie, wszyscy pójdziemy na dziewczyny, dokąd mielibyśmy iść? Wobec tego, pod ich czujnym spojrzeniem i przy hucznych oklaskach połknąłem dziewiętnaście sztuk, ni mniej, ni więcej! Dobra. (szynie mówiłem mojej byłej przyjaciółce, że te stygmaty to z pewnością tylko sugestia? *Fsperientiu docel stnltos*, jak mawiał w szkole nasz Pijus zadając nam za karę przepisywanie łacińskich tekstów. czekałem na efekty pełen lęku i lubieżnej żądy. Oczywiście, poza, nazwijmy to, płaszczyzną fizjologiczną nie wydarzyło się absolutnie nic. Cały wieczór sprowadził się do paru kufli piwa, piosenek o rugby, świńskich. kawałów i kilku uwag pod moim adresem.

- Dobrze się czujesz, Wilf? Na pewno? Ha, ha.

Jak mi powiedział ten hipnotyzer, niech go trafi szlag, jest pan bardzo podatny na sugestie hipnotyczną, proszę pana.

No cóż, dzisiaj nie spotyka się już takich tępaków wśród młodzieży, bo wszyscy wszystko wiedzą przed ukończeniem dziesiątego roku życia. Zostałem sam, z erekcją tak potężną, że czułem bezustanny ból, a masturbacja nie odnosiła żadnego skutku. Męczyłem się, jęcząc, przez całą noc, ale nie było rady. Następnego dnia musiałem to zanieść do banku. Stałem do południa za kontuarem i za krawatem, uśmiechając się promiennie do farmerów, nauczycieli, pastorów, dam w starszym i młodym wieku, wpłacających tygodniowy utarg albo pobierających wypłatę dla pracowników. Przez cały dzień łeb mojego kutasa ocierał się do krwi o gumkę od gatek.

- Może pośmiejemy się razem, co, Wilf.

Obserwował mnie z przejęciem. "La oknem bladło popołudniowe światło.

- Pośmiejemy się? Nie ma się z czego śmiać. ~Wspominałem czasy, kiedy byłem bankierem.

- Nic o tym nie wiedziałem. - Jak T.S. Eliot.

Na myśl o "T.S. Eliocie i ityfalicznym urzędniku bankowym ponownie zagłębiłem się w zadumie.

- Mógłbym ci przedstawić całkowicie nowe spojrzenie na bankowość, Rick.
- Czy mógłbyś podać tylko datę dla odnotowania tego faktu?
- Siedź spokojnie, stary, i nie nudź.

Duch farsy, ma się rozumieć. Mógłbym na przykład opisać całe swoje życie jako ruch od farsy do farsy, farsy rozgrywające się na tej lub innej płaszczyźnie - komik natury, jej kłown z czerwonym nosem, rudymi włosami i w spodniach opadających -zawsze w nieodpowiednim momencie. Tak jest, od kołyski. Kiedy po raz pierwszy wyleciałem z siodła, trajektorię mojego upadku przerwała kupa gnoju. Oto farsa humorystyczna. Jak pamiętam, przyszło mi wtedy do głowy, że gdybym tak choć raz, jeden jedyny raz, wylądował na czymś twardym, na czymś nie skażonym farsą...

No, ale miałem jeszcze czas. - Rozmawiaj ze mną, Wilf.

No dobrze. Niech ma. Mógłbym zacząć od kupy gnoju i przejść do urzędnika bankowego. Wcale nie miałbym mu tego za złe, sam bym to nawet napisał albo wystąpił w telewizji, szerząc zgorszenie, jeżeli to jeszcze możliwe. Zauważyłem ze zdziwieniem, że potrafię wspominać tego krzepkiego młodzieńca w porządnym garniturze, białej koszuli i szkolnym krawacie (może trochę za jaskrawym, lecz wszystkie kombinacje prostych barw zostały już zajęte przez lepsze szkoły)... tak, potrafiłem wspominać go z uczuciem rozbawienia, pobłażliwości, a nawet serdeczności. Przypomniałem sobie...

- Z czego się śmiejesz, Wilf?

...jak przyłapano Wilfreda Barclaysa na składaniu bankowi darowizny w wysokości dwóch pensów, żeby mu się zgodził rachunek. I awanturę z kasjerem, ponieważ dawanie bankowi drobnych było - zdaniem kasjera i zdaniem dyrektora, a także, o ile wiem, zdaniem całego Bank of England uczynkiem z etycznego punktu widzenia gorszym niż zabieranie drobnych.

Kasjer naprawdę dał się ponieść namiętnościom. Pchnął monetę w moją stronę.

- Nikt, absolutnie nikt nie opuści tego budynku, dopóki rachunki nie zgodzą się co do pensa!

Uratowało mnie (dzisiaj powiedziałbym raczej, że opóźniło moją ucieczkę) rugby, za które zbierałem pochwały ze wszystkich stron. Z chwilą, gdy odkryłem Maupassanta, nawet rugby poszło w odstawkę. Nadszedł koniec. Koniec przyjął postać inspektora bankowego rodem ze Szkocji. Złapałem się na tym, że cytuję go Rickowi.

- Reprezentuje pan, panie Barclay, całkiem nowe podejście do rachunków.



Dyrektor ubolewał, że bank i miasto tracą tak zdolnego rugbistę.

- Ale widzi pan, Barclay, do tego trzeba z sercem. A pan nie jest z nami całym sercem, prawda?

Na jakiś czas zostałem wtedy stajennym, potem zniosło mnie na scenę. Nosilem oszczep w studio filmowym w Iastree, przez parę miesięcy robiłem za reportera na prowincji, pisując głównie sprawozdania z lokalnych gonitw konnych. Potem była wojna. Kiedy wróciłem z pewną sumką w kieszeni, napisała się "Chłodna przystań" - ja tego nie pisałem ~Stein and Cwhorn ją wydali, i hej presto!

Biografia Wilfreda Barclaya. Czemu nie? Czy ten pomysł niebył taką samą farsą jak ewentualna treść?

- A kto to jest Lucinda?

Ocknąłem się z nagłym wzdrygnięciem. Tak oto człowiek, który się starzeje, nie potrafi skrócić dystansu między słowami, które ma w głowie, i słowami, które ma na języku. Rick przyglądał mi się z uwagą. Ależ oczywiście... był tam, postrzelony z wiatrówki, całe to zdarzenie wryło się w jego pamięć równie głęboko jak w moją. Potrząsnąłem głową i posłałem mu uśmiech, który miał być nieprzenikniony. Kiedy profesor spostrzegł, że sklep już zamknięto, po jego twarzy przesunął się cień (jak mawiamy zazwyczaj z przesadą).

Lucinda stanowiła problem znacznie poważniejszy, bardziej zawikłany, zbliżała się do mrocznej granicy tego, co niedozwolone. Ale w przeważającej mierze, jeżeli nie całkowicie, był to jej pomysł... W dziedzinie seksu Lucinda była geniuszem. Ach, gdyby tak zechciała pisać pamiętniki! Boże, *Dornine defende* nosa Wymarzona lektura dla nieustraszonych badaczy człowieczego podwórka! Co za inwencja! Ludzie, to jest to, czego szukacie, bierzcie, zanieście do domu, na prezent dla żony, dla dzieciaków, dla kochanych staruszków, których bezzębne jamy nie są w stanie przeżuć margaryny... prawdziwa nowość!

Zdjęcia robione aparatem fotograficznym Jiffy - coś jakby pra-polaroid. Miała go, zanim pojawił się na rynku. Naturalnie, znała właściwego faceta. Wierście Lucindzie! Nawet jej samochód był niepowtarzalny. To ona wymyśliła robienie zdjęć i Bóg jeden wie dlaczego, ale to naprawdę było podniecające, człowiek się czuł jak ten gość z "Wigilii św. Agnieszki" Keatsa. Wyniesiony namiętnością daleko ponad śmiertelników, wzorzec godny właściwie urzędnika bankowego. Była dziesięć lat starsza ode mnie, starannie zakonserwowana, niemal ostatni relikwiczek przemijającej epoki. Obnażaliśmy prostokąt

blony filmowej, a potem wspólnie, nadzy albo półnaczy, oglądaliśmy w łóżku niewyraźne cienie, kształty prawie bezbarwne, nie wiadomo gdzie dół, gdzie góra, a ona wykrzykiwała "O, to ja!" albo "O, to ty!". Oczywiście najbardziej zależało jej na twarzach, głównie jej własnej, czasami mojej,

ale rzadko na tym samym zdjęciu, raczej nie na tym samym. Teraz wiem, że ten jej przymus fotografowania własnej twarzy w takich sytuacjach, żeby tuż potem oglądać ją znowu w kolorze, przypominał zatrzymywanie ruchu drogowego przez kopulację na skrzyżowaniu albo to, co cesarzowa robiła na scenie z groszkami i kaczką przy żywiółowym, jak należy przypuszczać, aplauzie bizantyjskiej widowni. Pewnego dnia zaproponowała mimochodem, żebyśmy się na jakiś czas wstrzymali, bo zdawało jej się, że złapała trypra. Nigdy nie uciekałem tak szybko, nawet na boisku. Potem - długo potem - przyszedł ten list, który podarłem, razem ze zdjęciami przedstawiającymi ją i przeważnie anonimowe fragmenty mnie, i wyrzuciłem do śmieci - głupiec! - tylko po to, żeby ta hiena cmentarna znowu je odgrzebała. Lucinda zatrzymała zdjęcia, na których widać było moją twarz. Lecz wszystko to wydarzyło się, zanim nastąpiła Elizabeth - dlaczego więc wspomnienie Lucindy w tym najbardziej tolerancyjnym wieku przyprawiało mnie o taki dreszcz zażenowania?

Margaret. To właśnie był ten łącznik. Na myśl o niej natychmiast poczułem skurcz bólu. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, aby zapomnieć o całej tej sprawie z Margaret, i poszło mi to nawet całkiem nieźle. Ale Lucinda miała w tym swój udział. Prosiłem ją o radę. Opowiedziałem jej o szaleńczych, plugawych listach do Margaret, jedynej kobiety, której pożądałem i nie mogłem zdobyć, o wszystkich zarzutach, przekleństwach rzucanych na jej małżeństwo, Boże, co za nieprawdopodobna podłość! - musiałem być chyba szalony, dosłownie szalony. Kiedy już przyszedłem do siebie, podjąłem rozpaczliwe starania o odzyskanie tych listów... i znowu mnie opętało.

Lucinda wyraziła pełną pogardę dla sprawy.

- To całkiem proste. Najłatwiejsza rzecz pod słońcem. Znajdziesz jakiegoś giętkiego adwokata, dasz mu jej adres i sto funtów. Zgłosisz się do niego za miesiąc, a on ci wręczy twoje listy w kopercie. Bez słów. Tak się robi. I na tym koniec, mój malutki. Do licha, co za szczeniak! Boże. Powinam zażądać od ciebie parę kawałków za te fotki.

- Ale to przecież... nielegalne. Tak, to przestępstwo - zgodziła się pogodnie. - Ale to już nie twoje zmartwienie, tylko tego adwokata. Zrobiłeś przecież jakąś forszę na tym filmie, co?

- Niewielką.

- Jeżeli człowiek przy forsie nie może sobie pozwolić na takie usługi - rozumowała spokojnie - to po co jest forsa?

53

- Nie znam żadnego giętkiego adwokata. Mój jest tak nieugięty, że aż sztywny.

- Nie ma nieugiętych adwokatów. Niektórzy są tylko mniej giętycy od innych.

Siedząc tak na wprost Tuckera, który za plecami miał teraz śnieg i gwiazdy, doznałem zapierającego dech w piersiach olśnienia. Ponad trzydzieści lat wcześniej rzeczywiście dotarłem w końcu długą i okrężną drogą do giętkiego adwokata. Dałem mu pieniądze. Uczyniłem się współwinnym dokonania przestępstwa za nic, za mniej niż nic. Bo kiedy stojąc u siebie w mieszkaniu przed kominkiem, którego ogień miał pochłonać moje własne obrzydliwe i żalodne listy, otworzyłem grubą kopertę - oniemiałem na dobre parę minut. Listy owiązane były różową wstążeczką. I wtedy wynurzyłem się z trwającego wiele miesięcy pijackiego zaślepienia. Bo to wcale nie były moje listy. To były listy jej męża: napuszone, bełkotliwe oferty jakiegoś durnego pośrednika w handlu nieruchomościami. Lecz ponieważ go kochała, listy zachowały się jak relikwie. A moje? Pełen niebotycznej pychy nigdy nie przypuszczałem, że ktokolwiek mógłby zniszczyć moje listy (szalony, szalony, szalony). Tymczasem ona to właśnie zrobiła: paliła je, okazując tym samym wielkie miłosierdzie, ponieważ mogła przecież oddać w ręce prawa. Tak, moje sprośności paliła od razu. Albo jeszcze gorzej: może je sobie zatrzymała? Może krążą gdzieś teraz po świecie, po niewłaściwym świecie? Jeżeli tak jest, to ich zniknięcie, wraz ze zniknięciem listów jej męża, prowadzić będzie wprost do... Nigdy się nie uwolnię, nigdy nie powinienem uwolnić się od takiej ewentualności...

- W Bogu nadzieja, że rozniósł to miejsce. Ktoś na mnie patrzył, przyglądał mi się.

- Wilf?

Oderwałem spojrzenie od jego oczu, przesunąłem wzrok niżej, po jego nosie z lekko wklęsłym grzbietem, po długiej górnej wardze, na odchyloną nieznacznie dolną wargę. W polu mego widzenia pojawiła się serwetka, dotknęła jego ust i ponownie zniknęła. Miał na sobie koszulę w białe i brązowe bardzo szerokie pasy. Takie pasy uważaliśmy za niezwykle prostackie, kiedy byłem w jego wieku.

- Czy coś się stało?

Rzecz jasna, spaliłem listy jej męża. Nie mogłem ich nawet odesłać.

Żyłem w stanie przerażającej jasności umysłu i bezustannego lęku. Poleciałem do Ameryki Południowej, zupełnie jakbym już miał policję na karku. Cała ta historia wyłaniała się raz po raz przez lata, pod postacią sennych koszmarów lub dziwnych majaczeń na granicy jawy, aż wreszcie rozmazała się, powracając z oddali tylko wtedy, gdy, jak teraz, mój umysł ulegał przymusowi podróży wstecz.

To dziwne, że nic by się nie zdarzyło, gdyby nie Lucinda. Należała do osób, które wykańczają się silnymi narkotykami. Życzliwi twierdzą wtedy, że sama była swoim największym wrogiem, że nie skrzywdziła nikogo prócz siebie, bo mają słabe pojęcie o potężnym łańcuchu, który skuwa pospolite przestępstwo z ciężką zbrodnią, prowadząc do niej krok po kroku, chyba że się zatrzymasz i spojrzysz prawdzie w oczy, zamiast od niej uciekać. Jak bardzo mylili się co do Lucindy! Wszyscy stanowimy część siebie nawzajem. Ha et cetera.

- Nie podzielisz się ze mną tym dowcipem?

- Może to i dowcip. Dowcip na wielką skalę. Jestem pijany. Wypiłem za dużo koniaku.

- Wilf, jest w tobie jakiś, że tak powiem, brak wiary we własne siły, który nie pozwala ci zrozumieć zainteresowania biografią...

Rozbawieni urzędnikiem bankowym, z ponurym, szyderczym uśmiechem przyjmujący szaleństwa kochanka Luciny... (tytuł romansu złożony z pojedynczych sylab)... ale te listy, Margaret, moje przestępstwo...

- Tylko krótkie oświadczenie... i oczywiście w tej chwili nic wyjdziemy, mam nadzieję, poza ustalenie parametrów...

W biegu. Zawsze w biegu, skrzydłowy biegnący w obawie, że go dopadnie jakiś napastnik, ogromny troglodyta z drużyny przeciwnej.

- Tylko taka króciutka notka, Wilf, z twoim podpisem, że upoważniasz mnie, głównie na wypadek twojego zgonu, jestem przecież jednak młodszy od ciebie o całe pokolenie... No tak. on był tym ogromnym troglodytą.

- Słuchaj, Rick. Czuję się zaszczycony, że umieszczasz mnie w gronie królów, prezydentów, wielokrotnych morderców, telewizyjnych sław...

Zassał błyskawicznie, jak na niego.

- A także 'Thomasa Wolfe'a, Hemingwaya, Hawthorne'a i... - zawiesił głos, jakby przepełniony grozą - Białego Melville'a!

- Nie jestem Amerykaninem. Jest to, naturalnie, wada. Mimo to, Elizabeth mawiała...

- Tak, słucham cię, Wilf. Mów, proszę!

To jej najpaskudniejsze pchnięcie; ba, jak wszystkie dotkliwe raniące małżeńskie szarże, zawierało prawdę, którą tylko ona mogła poznać. Powiedziała mi (siedząc po przeciwnej stronie wyszorowanego kuchennego stołu, w przytulnej domowej atmosferze), powiedziała mi, że gdybym tylko miał szansę, to byłbym geniuszem, człowiekiem wielkim...

"zawsze o tym marzyłeś, Wilf... Boże, myślisz, że nic wiem?... Zwłaszcza wobec pierwszej lepszej ładnej dziewczyny, która okaże się na tyle głupia, żeby zbliżyć się do ciebie i wziąć cię za takiego, jakim się uważasz, za świętego potwora, nie mieszczącego się w powszechnie przyjętych normach, skarb narodowy, ponieważ świat nie pozwoli tak łatwo umilknąć twoim słowom, podczas gdy to, co piszesz, jest...

- Popularne.

- To jest powszechne błędne mniemanie, Wilf. - Ze moje książki są popularne?

- Nie, do diabła. Chciałem powiedzieć, że to, co popularne, jest...

- ...gorsze.

- Nie to miałem na myśli... chciałem poznać jej pogląd na sprawy.

Szyderyczy uśmiech na jej twarzy wyglądał jak cięcie skalpela. Stał się jednym z wielu powodów, dla których nie ustawałem w biegu, który karał mi odrzucić tę propozycję zmuszając mnie, bym się coraz bardziej ukrywał, żeby, pomijając inne względy, dowieść - komu? jej? mnie samemu? - że nie zależy mi na sławie, że nie przyjmuję żadnej pozy.

- Co to znaczy "jej pogląd na sprawę"?

- Zrozumiałem, Wilf. To potrzeba wolności. Przecież nawet Mary Lou, między nami mówiąc...

- Jej pogląd na sprawę.

- Nieźle się po tobie przejechała za to, że, jak to ujęła, dałeś kiedyś nogę do Ameryki. Miała wtedy poważne kłopoty z Emily. Zapomniałem, co to był za kraj w Ameryce Południowej. Kiedy to mogło być?

Ciekawe. Miałem przed oczami pewien proces. Nie, nie żadne pojęcie intelektualne, lecz proces, który dawał się odczuć, jak również zobaczyć, wzbudzał lęk, ale dawał się pojąć. Proces prosty, banalny, ale jednocześnie uniwersalny. Chodziło po

prostu o to, że jedno wynika z drugiego... i tyle, nic ponad to... Margaret, listy, Lucinda, mój strach, mój nieustanny bieg, to następstwo zdarzeń...

Ameryka Południowa.

No właśnie, który to mógł być rok? I co on takiego odgrzebie, ten niezmordowany nudziarz, który pakuje się w moje minione życie z tymi swoimi wielkimi buciorami i pcha nos w stary, wystygły trop? Prawdziwie nowoczesna biografia bez zgody podmiotu. Wydana tandetnie w Singapurze, dziesięć milionów tanich egzemplarzy wydrukowanych w jakimś zaułku Makao. Żadnych ograniczeń, sprzedaż z lady i spod lady. Ale się będą śmiali z Wilfreda Barclaya, który onanizuje się po całej Ameryce Południowej ze strachu przed policją i kobietami. Barclay przejęty od stóp do głów strachem przed tryprem, odkąd Lucinda wyznała, że noc w mieście znaczy dla niej robić to pod portowym murem z jakimś dokerem oraz, w miarę możliwości, także z kumplem dokera. Albo heroiczne spotkanie Barclaya z rewolucją... trzy dni trzęsączki w piwnicy; potem paniczna ucieczka samochodem On to odgrzebie.

Zabity. Jak głęboko będą szperać. Jak dalece zasługuję na takie odkopywanie? Oplaca się to najwyraźniej Rickowi, który nie potrafił znaleźć nikogo lepszego, nikogo, za kim nie staliby już w kolejce pseudonaukowcy owładnięci tą naszą potworną eksplozją odzyskiwania śmiecia. Będzie miał dostęp do lepszych urzędzeń niż Boswell; nie tylko papier, nie tylko taśmy, video płyty kryształowe pełne obrzydliwych bezlitosnych wspomnień, ale także innych, wężycieli, złośliwców, *pozyskiwaczy* i wszystkie mechanizmy, które bez wątpienia słuchały w pokojach i odbierały echo każdego słowa, widziały cienie wszystkich obrazów, zatrzymane na ścianie, jak ślad strzelby Capstone'a Bowersa.

Zabity. Oczywiście. Gdzieś tam w Ameryce Południowej, nieważne gdzie, nawet teraz znajdzie się jakiś zapis. Ten Indianin... a może nie Indianin. Było tak ciemno, włączyłem tylko światła pozycyjne, bo uciekałem i miałem zamiar powiedzieć w razie konieczności, że wylazł mi na drogę wprost pod reflektory... Czy mogą w jakiś sposób dojść, że zaślepiony paniką jechałem tą polną drogą lewą stroną jak w Anglii? Mówią, że jak się człowiek zatrzyma, to inni Indianie go zabiją. To była okazja, żeby dać się odsunąć w cień, coraz dalej i głębiej, tak żeby w końcu przestano w ciebie wierzyć, choć nigdy by o tobie nie zapomniano. Działo się to właściwie niemal w dżungli, pola tym to był tylko Indianin, zupełnie możliwe i całkiem prawdopodobne, że wcale nie został zabity ani nawet poważnie ranny, zresztą mogło to być nawet jakieś zwierzę. Przejechałem

potem szybko przez bród na rzece i woda zmyła do czysta również i dach. Kto by badał rzekę w poszukiwaniu śladów krwi? wszystkie wody, ha et cetera, zresztą w przeciwieństwie do niej, ja naprawdę nic n i e w i e d z i a ł e m. Potrafiłem jakiś cień, lekki wstrząs, to na pewno zryta koleinami droga, a krzyk... jakiś ptak czy coś takiego. Jeżeli istniał jakiś dokument, że powiedzmy, takiego-a-takiego Indianina znaleziono, no cóż, martwego.. nie mówiłem o tym nikomu, nawet sobie, tylko później bez przerwy o tym myślałem... Jak mogłem zawrócić po przebrnięciu brodu? Wracać tam? Pakować się w ręce jakichś drani w mundurach tylko po to, żeby wyjaśnić, że być może, choć nie jestem pewny... no i, rzecz jasna, ta bariera językowa. Mój hiszpański nie sprostałby zadaniu. Skończyłoby się tym, że obwiniąłbym się wyłącznie o nieumiejętność stosowania trybu przypuszczającego.

Po spowodowaniu wypadku zbiegł.

Zdarza się to co dzień i zawsze istnieją prawdopodobnie jakieś okoliczności łagodzące, tak jak, oczywiście, w tym przypadku. - ...więc zapewniam cię, że oddała sprawiedliwość twojemu geniuszowi.

Wyłoniłem się z tygla stopionego metalu. - Geniuszowi?

- To właśnie miała na myśli.

- Bzdura. Nie zapominaj, że ja -znam Liz... o, znam ją doskonale! Uważała, że mam talent i pomysły. Udało mi się, zgarnąłem całą pulę. Ale ktoś to zawsze musi zrobić.

Boże, Boże, Boże, co za okrutny proces, jedno ogniwo za drugim, nigdy nie wiadomo, co wyrośnie z tego ziarna, jakie potworne listowie i kwiaty, a jednak wyrasta, obdarowując nas coraz to nowymi nasionami, milionami nasion, aż wreszcie całe t e r a z. T e r a z uniwersalne obraca się w nieodwracalny skutek.

- Gdybyś widział drogę, obyś go nie zabił... - Zabawne. Bardzo, bardzo zabawne.

- Wystarczy twój podpis i jedno, dwa zdania, że mianujesz mnie wykonawcą swojego literackiego testamentu, to przecież nic złego, będę, oczywiście, współdziałał.

- Jestem trochę pijany. Pogadamy jutro.

- I, słuchaj, powinienem być upoważniony do skatalogowania papierów pozostawionych pod jej opieką. Przyglądałem się jego twarzy pełnej zapału, niepewności i uporu, twarzy poszukiwacza złota, który odłupał kawałek kwarcu i ujrzał w środku upragniony żółty błysk. Moja decyzja i podpis potwierdziłyby granice jego złotodajnej działki. A potem te listy, rękopisy, dzienniki, dzienniki sięgające jeszcze czasów szkolnych.

Jeffers jest strasznie fajnym kumplem i bardzo bym chciał być jego... strasznie się cieszę, że gram z nim w ataku... Jelters wyłapał strasznie dużo moich rzutów... powiedziałem mu, że był naprawdę świetny, i wcale się nie pogniewał, że się do niego odezwałem...

Dzięki Bogu, ten typ farsy, polegającej na błędnie ułożonych uczuciach, co mogłoby wprowadzić jeszcze większy chaos w moje życie, przestał mi towarzyszyć w wieku dojrzałym.

Wciąż wpatrywał się we mnie.

- Więc, gdybyś dobrze widział drogę... - Widziałem wszystko, krok po kroku.

Tak, miałem już co do tego absolutną pewność. Ilekroć moja czujność uległa osłabieniu, twarz Ricka, czy raczej jego dwie twarze, rozchodziły się. A właściwie czemu nie? Miał dwie twarze.

- I ma się rozumieć, że wszędzie tam, gdzie sobie życzysz, Wilf, zachowam pełną dyskrecję.

Włożyłem sporo wysiłku, żeby połączyć jego twarze. Przyszła mi do głowy idiotyczna myśl, że każda z nich ma prawdopodobnie inny wyraz, i dlatego połączone kasują się wzajemnie.

- Co mi jest, do diabła? Przecież nie wypilem dużo. - To z powodu wysokości.

- Byłem krabem. No, wiesz, ten-tego... - Pickwick.

- Wiek i rozkład. Nie, Rick, poczucie obowiązku i zaniedbanie wiodą mnie z powrotem ku samotności.

- Shelley.

Musiałem to uszanować, chociaż niechętnie. Znałem ten cytat przez czysty przypadek. Znajdował się w zapiskach Shelleya, nie w dziełach opublikowanych. Skąd on u diabła...? Oczywiście, od tego czasu wydano już wszystko, fabryka Shelleya, jak fabryka Boswella, nie przeoczą ani jednej kartki i nieważne, co biedak sam o tym sądził. Śmierć wyrównuje wszystkie długi. Chryste Panie!

- Prawdziwa gra salonowa, co?

- Posłuchaj, Wilf, mógłbym to spisać choćby na tej karcie dań. Kierownik byłby świadkiem, ty byś podpisał i sprawa załatwiona.

- Podpis i pieczęć. Moglibyśmy ten dokument opieczętować stopką kieliszka, Nie, to co innego.



- Nie rozumiem.

- A, nareszcie czegoś nie znasz! Wiktoria!

- Napiszę na tym. "Niniejszym upoważniam Profesora Ricka L. Tuckera z Uniwersytetu Astrachańskiego w stanie Nebraska..."

- Idziesz na całość?

- Proszę, Wilf. Masz tu moje pióro.

W pękatym kieliszku Ricka zostało jeszcze sporo koniaku. Podniosłem kieliszek i wylałem część zawartości na kartę dań. Wcisnąłem stopkę kieliszka w kałużę. Powstało kółko podobne do pieczęci.

- Nie musisz pisać tam, gdzie jest koniak, Wilf. Pisz tutaj, po tej stronie jest sucho.

Cała prawda i tylko prawda. Nawet nie ta roślina czasu, w obłokach nasion, ale inne rośliny takie i owakie, pracowicie rozwijające się w terażniejszości i wciskające się w moją przyszłość... uczynki jeszcze nie znane, ale już wiadomo, że zostaną wskrzeszone...

- O, nie, Rick! Po moim trupie.

- Wilf, proszę cię! Nic wiesz nawet, jakie to będzie miało dla mnie znaczenie!

- Ależ tak, świetnie wiem. I jakie dla mnie.

Dużymi literami zawiętością wypisałem: "NIE" na odwrocie karty dań i podałem mu to.

- Na pamiątkę miłego spotkania.

## ROZDZIAŁ VI

Nie będzie to relacja z moich podróży. Mowa tu raczej głównie o mnie i o "fuckerach, mężu i żonie. A nawet więcej, chociaż sam nie potrafię powiedzieć, co jeszcze, bo słowa, nawet moje, słowa okazują się za słabe. A Bóg świadkiem, że teraz powinny już przemawiać z całą mocą.

- Wypłacz sio, wypłacz.
- Dlaczego mam się wypłakać?

Płacz nic nie da. Brakuje nam wspólnego języka. Ależ tak, jest język, na przykład przepisy dotyczące przewozu materiałów łatwopalnych drogą powietrzną albo jak przyrządzić sałatkę rosyjską. Lecz nasze słowa zostały poprzycinane, jak złote monety, sfalszowane i wytłoczone zużytą matrycą.

A zatem...

Położyłem się do łóżka i następnego dnia rano nie wstałem. Kierownik powiedział przecież, że powinienem się zaaklimatyzować. Przyszedł Rick i pukał tak natarczywie, że musiałem go wpuścić, chociaż zbierałem się dopiero do porannej kawy. Powiedział, że Mary Lnu też je śniadanie w łóżku. Skomentował mój salonik i zachwyił się widokiem. Ich okno wychodziło na ustęp publiczny, który stał tak blisko, że można było policzyć siedzące na nim muchy.

- Mój widok jest do dyspozycji Mary Lou o każdej porze.

Po namyśle Rick powiedział, że niewykluczone, może skorzystają z zaproszenia. Czy jest coś, w czym mógłby mi pomóc? Może, na przykład, trzeba coś zrobić z wynajętym samochodem? Spojrzał pożądliwie na mój dziennik, który leżał otwarty na nocnym stoliku. Zamknąłem go znacząco. Rick zapytał, czy mam coś do podyktowania. Jego maszyna...

- Nic. Na litość boską! Co ty sobie wyobrażasz? Ze jestem pisarzem?

Kreował się na mojego sekretarza.

- Bywaj, Rick. Nie będę cię zatrzymywał.

Zignorował to, oznajmiając, że spędził cały dzień na badaniu drogi na Hochalpenblick.

- W związku z tym będziemy tam mogli jutro pójść, jeżeli to nie za wiele na twoje siły.

- Kiedy Mary Lou poczuje się lepiej.

Tę uwagę rozważał przez moment. Wzmocniłem ją.

- Jeśli podejście okaże się zbyt trudne, będzie ci mogła pomóc we wciągnięciu mnie na górę.

- Ona woli siedzieć, Wilf. - Nie przepada za sportem? - Uwielbia wasz Wimbedon. - Zachowaj nas, Panie.

- Powiem jej, że prosisz, żeby do ciebie za jakiś czas zajrzała.

- Tak powiedziałem?

- No, ten widok, Wilf, widok!

- Ach, tak! Widok. Będziemy siedzieć, Mary Lou i ja, obok siebie i podziwiać widok. Wolałbym, żeby nie wypadła przez balkon.

- Zdaje się, że nie ma sensu prosić cię... - W żadnym wypadku.

Rick zadumał się.

- Mimo wszystko - podjął po chwili - powiem jej, żeby to ze sobą wzięła.

Wyszedł, wciąż kiwając głową. Zapomniałem o nim, ubrałem się i zasiadłem do podziwiania widoku. Po to w końcu są hotele. Przejrzałem właśnie to, co zostało z pisanego wtedy dziennika - czyli jeden z dzienników skazanych na rychłą zagładę - i okazuje się, że wpis jest tego dnia wyjątkowo obfity. Nie zawiera żadnej wzmianki o widoku, za to sporo na temat wdzięku młodych kobiet, o Pimue, o szekspirowskich mirażach, o Perlicie i Mirandzie. Jest także próba opisu Mary Lou, lecz nabazgrana nieczytelnie, a Wilfred Barclav z tego dnia pisze o Helenie Trojańskiej! Mówi o sposobie, w jaki Homer przekazuje myśl, opisując nie samą kobietę, a wrażenie, jakie wywiera ona na innych. Obserwujący ją z murów starcy powiadają, że mc dziwnego, taka kobieta stała się przyczyną tylu nieszczęść, ale niech lepiej wraca do domu, zanim narobi jeszcze więcej kłopotu! Coś w tym stylu. Homera znam tylko z przekładów, ale to pamiętam. No, dobrze. Mary Lou potrafiła sprawić, że słońce wyłaniało się z jeziora; kiedy odchodziła, słońce odchodziło wraz z nią. Mary Lou wymiotowała i natychmiast robiło ci się jej żal, że ma taką przezroczystą twarz, zamiast - jak by to było w przypadku Wilfa - czuć wstręt. Nie potrafię - nie potrafiłbym - opisać nawet jej dłoni, takie były białe, smukłe i drobne. Zakończyłem, jak widzę, porównaniem siebie do tych starców na murze. Tak, odejdz, Heleno, zanim wybuchnie skandal!

Pamiętam, że napisałem to wszystko wbrew widokowi, kiedy zapukano do drzwi. Wszedłem do przedpokoju, otworzyłem drzwi i ujrzałem naszą małą Helenę, która trzymała tacę z kawą dla dwóch osób.

- Proszę bardzo, wejdź! Daj mi tę tacę, o tak, i siadaj. Znajdowałem się w stanie jakiegoś absurdalnego zakłopotania. Mary Lou usadowiła się na krześle, czy m zniweczyła wszelkie moje ewentualne plany opisu bezpośredniego, zanim przeniosę go na papier. Oparła dłonie na kolanach, splotła nogi w kostkach jak na lekcji dobrego wychowania. Zwróciła głowę w stronę okna i zdawało się, że ten zlokalizowany ruch zmienił wszelkie linie jej ciała.

- Ma pan tu naprawdę wspaniały widok, panie Barclay. - Mów do mnie Wilf, jak przedtem. Rzeczywiście trudno oderwać oczy.

Średniowieczny iluminator, bezradny wobec świętości, umieszczał swoich bohaterów w krajobrazach ze złota; później, w miarę jak widzenie stawało się zapewne bardziej wybiórcze, ukazywał święte głowy na tle aureoli. Myślę, że piękno także. I to właśnie ujrzeli siedzący na murze starcy o głosach cichych i suchych jak cykanie świerszcza.

- To naprawdę inspirujące.

- Mój Boże, tak, tak. Aż brak słów.

- A właśnie... - Mary Lou rozpięła zamek błyskawiczny swojej małej torebki. Odrzuciła włosy płynnym ruchem dłoni, po czym wyjęła kopertę. - Rick powiedział, że mam to panu dać.

- Co to jest?

Kolor jej twarzy zmienił się, ale bardzo nieznacznie przecież wszystko w niej zdawało się raczej sugestią niż faktem. Być może wcale nie istniała, może była tylko duchem o urodzie absolutnej, jak ta fałszywa Helena, która sprawiła tyle bólu, każąc się szukać po całym świecie.

- Rick powiedział, żebym to panu dała. - Pozwól.

Wewnątrz znajdowała się druga, mniejsza, koperta wsunięta w złożoną na pół kartkę: "Poszedłem zbadać szlak naszej jutrzejszej wycieczki. Mam nadzieję, że Mary Lou będzie miała więcej szczęścia ode mnie. Rick."

Spojrzałem na Mary Lou; patrzyła w przeciwną stronę. Naturalnie, podziwiała widok za oknem, zaciskając palce niezbyt wdzięcznie - na poręczy krzesła. Otworzyłem mniejszą kopertę. Zawierała arkusz hotelowej papeterii i jedno czy dwa zdania napisane

na maszynie, mianujące Profesora Ricka L. Tuckera z Uniwersytetu Astrakhan, Nebraska, wykonawcą testamentu literackiego i gwarantujące mu pełny dostęp do papierów znajdujących się obecnie pod opieką pani Elizabeth Capstone Bowers. U dołu widniało moje nazwisko, a nad nim miejsce na podpis.

Spojrzałem ponownie na Mary Lou. - Nie wiesz, co to jest?

Odpowiedziała głosem, który można określić to tylko jako cichy szept.

- Rick kazał to panu dać.

Biedactwo, usiłuje uniknąć kłamstwa. Mogło tak być. Prawdopodobnie nienawidziła mnie i całej tej sytuacji. Nienawiść nie zasłużona, bo próbowałem uciec, ale ścigano mnie do Weisswaldu.

- Powiedz mi, Mary Lou. Czego pragniesz dla Ricka? Mary Lou namyślała się; czy raczej próbowała myśleć. Wysiłek wywołał ledwie zauważalną zmarszczkę na jej pięknym czole; nic poza tym.

- No, powiedz! Musisz mieć jakieś pragnienie! - Chyba tego, czego on sam pragnie.

- Profesor zwyczajny? Katedra? Książki? Występy w telewizji? Sława? Majątek? A może coś w lub z nie wiem, na jakiej zasadzie to u was funkcjonuje, Biblioteki Kongresu?

- Chciałabym...

- Tak?

- Może

napije się pan kawy, panie Barclay? Śmietanka? Cukier?

- Po prostu czarną. Mów do mnie Wilf. Posłucha ujmijmy to inaczej. Czy potrafisz mi powiedzieć, dlaczego Rick tak się do mnie przyczepił? Przecież pisarzy nie brakuje.

Można ich mieć za darmo ile dusza zapagnie. Jest ich chyba więcej niż profesorów, zważywszy, że niektórzy są jednym i drugim. No powiedz, ale bez pochlebstw. Domagam się nagiej, szczerzej prawdy.

- Myślę, że p

Skłoniłem się. Ale Mary Lou ciągnęła z niezmienną prostotą

- Mam nadzieję, że ja też kiedyś będę ją podziwiać.

- C

Znalezienie na to odpowiedzi zajęło mi sporo czasu i pochłonęło -znaczną część mojej kawy

- Istotnie, moje dziecko, to bardzo poważne lektury.. Oczywiście, oprócz "Ptaków drapieźnych". W tym wypadku trochę się na sobie zawiodłem. Kondotierstwo.

Przytaknęła z powagą.

- Rick też tak mówi.

- Ach tak?

- "Tak. Powiedział, że jak nic, napisał pan to z myślą o filmie.

- Nic podobnego! Tylko że... że, widzisz, w czternastym wieku ludzie byli właśnie tacy. To całk

- Powiedział, że nikt cię dotąd nie robił.

- Czuję się urażony.

- Nikogo takiego nie znalazł. Naprawdę szukał, panie Barclay, to znaczy Wilf, bo ja też szukałam. Byłam jego studentką. Razem nad panem pracowaliśmy. Powiedział, że w tej - nie czytałaś?

dziedzinie jest szalona konkurencja. Powiedział, że konieczne jest tempo i precyzja. Musieliśmy wszechstronnie zapoznać się z przedmiotem badań.

- To znaczy ze mną.

- Powiedział, że inwestuje w ciebie nasz czas i pieniądze... Wilf... nie mogliśmy sobie pozwolić na najmniejszy błąd.

- A mnie się wydaje, że jednak popełnił błąd, i to gruby.

- To był pokój od podwórza, prawda?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Felstead Regina.

Aa, te domki? Taki przy końcu ulicy? Z oknami wychodzącymi na las?

- Tak, tam gdzie się pan urodził. Mamy zdjęcia. To był ten pokój, prawda?

Tak twierdziła moja matka. Ona powinna wiedzieć. Boże!

- Takie małe okienko.

- Boże! Boże!

- Człowiek, który tam teraz mieszka, wpuścił nas i pozwolił wejść na górę.

A nie masz przypadkiem fotografii domu w którym umarłem?

- Słucham?

- Boże!

- Czy powiedziałam coś nie...?

**Dolałem sobie kawy i wypilem jednym haustem.**

**- Nie, nie. Proszę, mów dalej. W ten sposób pomagasz Rickowi.**

**- No, tak. Widzisz, jest jeszcze pan Halliday.**

**- Nie znam żadnego pana Hallidaya.**

**- Jest bogaty. Prawdziwy bogacz. Czytał twoje książki. I podobają mu się.**

**To dobrze, kiedy bogaci ludzie umieją czytać.**

**- Tak. Dobrze dla nich, prawda? Najbardziej podobała mu się twoja druga książka, to znaczy "Wszyscy jak owce".**

**Skąd znasz tytuły moich książek, których nie czytałaś?**

**Robiłam specjalizację z układania kwiatów i bibliografii.**

**Jego sekretarka, to znaczy sekretarka pana Hallidaya, powiedziała, że najbardziej mu się podobało "Wszyscy jak owce". Powiedziała, że najmocniej utkwiło mu w pamięci jedno zdanie.**

**- O!**

**- Nie pamiętam tego dokładnie, w każdym razie ty się tam przyznajesz, że lubisz seks, ale nie jesteś zdolny do miłości.**

**Zapadło długie milczenie. Jak długie? W powieści spoglądałbym na zegar ścienny, mógłbym na przykład zwrócić uwagę na ornament wokół oszklonej tarczy, a potem wyraziłbym zdumienie, że wskazówka minutowa przeniosła się z dziesiątki do pionu. Nie było zegara na ścianie. Trudno. Mógłbym wobec tego snuć jakieś myśli. Tymczasem nie było nic, oprócz upływu długiego czasu.**

**Mary Lou odstawiła filiżankę. - To ja już może...**

**- Nie... jeszcze chwilę. Nie odchódź. Powiedz mi, dlaczego? Dlaczego właśnie pan Halliday? Propaguje jakiś program braku miłości czy co? Mów, na litość boską!**

**- Nie, Wilf. Pan Halliday bardzo lubi kobiety.**

**- W takim razie nie rozumiem, co ja mam do tego. Mniejsza z tym. Zapewne wydłubał mnie z jakiegoś informatora. - O, nie, na pewno nie! Przeczytał tę książkę...**

**- "Wszyscy jak owce".**

**- ...i zamówił całą resztę... - Kapitalnie!**

**- ...a potem polecił sekretarce, żeby się wkoło popytała. Ona rozmawiała z rektorem uniwersytetu Astrakhan. Bo pan Halliday już wcześniej ufundował im świątynię ekumeniczną, skocznnię narciarską, taką maszynę do śniegu i korty do prawdziwego tenisa...**

- Doskonale rozumiem. Wpływowy facet. Przepytał Ricka...
- Mówiłam już, panie Barclay, że to robiła sekretarka. On unika wszelkich kontaktów z ludźmi. W każdym razie...
- Oprócz kolekcji kobiet. A to stary satyr!
- On wcale nie jest stary, panie Barclay. Nie starszy od pana!
- A czy on przypadkiem nie jest autorem rozchwytywanych powieści?
- Chyba nie. Nie. Jestem pewna, że nie. Ale sam pan rozumie, że to był prawdziwy przełom. To znaczy, jak Rick zrobił fonetykę, to postanowił zrobić specjalizację z pana... bo mu się podobały pana książki, panie Barclay, naprawdę. Wtedy sekretarka pana Hallidaya porozumiała się z rektorem uniwersytetu, a on zwrócił się do profesora Saundersa i już!
- Ale przecież człowiek tak bogaty mógłby sobie pozwolić na więcej niż jednego autora... mógłby ich kolekcjonować, tak jak kolekcjonuje panie!

Mary Lou kiwnęła głową potakująco. Ale kiedy myślałem, że doznałem już całkowitego poniżenia, Mary Lou przedstawiła mi krótką listę innych pisarzy, którymi interesował się pan Halliday. Nigdy żadnego z nich nie czytałem.

Wziąłem do ręki list Ricka, spojrzałem na niego i odłożyłem. Mężczyźni bez miłości. Coś w tym było. Mama, ojciec, którego nie znałem, Elizabeth, Emily. Wiadomo, że mężczyzna, który we "Wszyscy jak owce" twierdzi, że nie jest zdolny do miłości, to tylko postać naszkicowana przeze mnie dla potrzeb fabuły. Czyżby jednak mówił w moim imieniu? Czułem się czasami samotny. Lecz była to samotność człowieka, który pragnie mieć wokół siebie ludzi, ludzkie odgłosy i kształty, pewne ożywienie. Coraz rzadziej pożądałem kształtu kobiecego ciała w celach użytkowych. Nawet świadomość doskonałej kobiecości Mary Lou nie była, jak się zapewniałem, pierwotna... była po części ojcowska, opiekuńcza, współczująca, smutna.

Wstała. - No tak.

- Musisz już iść?

Mógłbym zrobić jakiś niewinny i wyjaśniający gest, na przykład ująć jej dłoń i pocałować. Mógłbym sięgnąć do swego arsenału krasomówstwa. Mężczyźni bez miłości! Tyle niebezpieczeństw w ciągu niespełna doby!

Ale ona stwierdziła, że chyba już musi iść, dziękowała mi za kawę i oboje zapomnieliśmy, że sama ją przyniosła. Zamknąwszy za nią drzwi, stałem chwilę w wąskim przedpokoju, wpatrując się w puste walizki ułożone na przeznaczonym dla nich



stojaku. Poczułem się beużyteczny i głupi. Muszę uciekać, natychmiast. Nie tylko od niego, ale także i od niej. Dać się usidlić przez niewiele ponad metr pięćdziesiąt dziecka, dać się usidlić kawałkowi młodego ciała, które podtrzymuje umysł zasługujący na zainteresowanie nie bardziej niż kawałek sznurka?

Bo gdyby taki umysł podtrzymał to ciało, wówczas ciało byłoby... straszne.

Nie. Byłem niesprawiedliwy. Nie lubiła kłamać, starała się tego unikać. Próbowiła obrać kurs między tym, o czym wie, że Rick pragnie, i tym, co sama uważa za słuszne... była istotą moralną, a kimże byłem ja, żeby ganić taką postawę? Nie lubiła mnie. Kimże byłem, żeby to ganić? Nie przeczytała wybitnych dzieł Wilfreda Barclaya. Trudno. Byli w końcu inni. Oh, wciąż jeszcze trwała w małżeńskim transie! Wciąż jeszcze przepełniała ją uczucie tajonej rozkoszy tego, co jest tylko jej udziałem, o czym nie wie nikt inny - kobiecej rozkoszy dawania, świadomości, że jest czyjąś własnością, czyjąś ruchomością, a także świadomości, że trzeba to zachować w tajemnicy przed mężczyzną dokładnie w chwili, gdy czerpie się z tego rozkosz, żeby myślał, że bawisz się w to> co, jak dobrze wiesz, stanowi sedno ludzkiego życia. Ta jej ociężałość umysłowa, powolność reakcji, którą wziąłem za miarę inteligencji, mogła być niczym innym, jak tylko obojętnością wobec mężczyzny trzy razy od niej starszego, któremu musi jednak za wszelką cenę okazać uprzejmość przez wzgląd na swojego męża.

Nadeszła pora drzemki przed trudami kolacji. Rozebrałem się i położyłem do łóżka. Starcy szeleścili na murze jak koniki polne, obserwując przechodzącą dołem dziewczynę. Nic dziwnego, że taka dziewczyna spowodowała tyle zamieszania i cierpienia. Nic dziwnego, że młodzieńcy tak chętnie ryzykują tyle dla jej miłości. Mimo to, niech wraca do swojego kraju, zanim stanie się przyczyną śmierci dalszych młodzieńców. Starców. Starych błaznów, starych drani.

## ROZDZIAŁ VII

Dużo mi się śniło, co jest podobno zdrowym objawem, ale zapamiętałem te sny, co niezależnie od tego, czy jest zdrowe, czy nie, zdarza mi się nader rzadko. Elizabeth mawiała, że nie mam podświadomości, ale wszystko jest dla mnie dostępne. Oznaczało to w jej świecie, że jestem jak kram, gdzie sprzedaje się tylko świecidełka i tandetę. Jak to się stało, że się w ogóle spotkaliśmy? Pewien hinduski doktor, mój dawny znajomy, twierdził, że powinniśmy spotykać się nadal, aż się nauczymy, lecz nigdy nie powiedział czego.

Śniłem o kobiecości *tout cocrrt*. Śniło mi się też, że wstałem z łóżka i przez oszklone drzwi wyszedłem na balkon. Śniło mi się, że przyglądam się wielkiemu lodowcowi po przeciwnej stronie doliny; pod wpływem jakiegoś zniekształconego wspomnienia słów Elizabeth zauważyłem, że to moja własna świadomość tam wisi. Poczujęm znużenie tą tańczącą świadomością, rozbłyskami umysłu, z których budowałem swoje niewiarygodne, lecz zabawne opowieści. Potem jednak we śnie doznałem uczucia niepokoju, bo balkon zaczął się kręcić i przechylać na zewnątrz tak, że w każdej chwili mógł mnie zrzucić; i wtedy, nie wiem, świadomie czy nie, mój pogrążony we śnie umysł zatrzepotał i zorientowałem się, że jestem jednym z wielu motyli, które pan Halliday przypiął w gablocie, chociaż szpilka wcale nie sprawiała mi bólu, i nie mogłem przeczytać wypisanej pode mną łacińskiej nazwy. Obudziłem się więc z nieprzyjemnym uczuciem, że popełniłem bardzo marną prozę i stary Pijus będzie się czepiał! Znalazłem się pod wpływem tego, co chłopcy od psychologii (i chłopcy od teologii) nazywają silnym afektem pozostawionym przez marzenie senne. Inaczej mówiąc, obudziłem się zlany potem i szczęśliwy, że mam sześćdziesiąt lat i że jestem w Weisswaldzie. Najszczęśliwsze czasy, ha et cetera. "Święty potwór", jak nazwałaby mnie Wzięłem prysznic i okazało się, że jest już za późno na herbatę, ale nie za wcześnie na wizytę w barze. Ubrałem się pospiesznie i poszedłem do baru. Za oknem zauważyłem rządęk austriackich, niemieckich i szwajcarskich turystów, którzy zmierzali w przeciwnym kierunku, to znaczy z powrotem do górskiej kolejki zębatej. Wszyscy byli niskiego wzrostu, szersi niż wyżsi, w przepoconych *Lederhosen*, z piórkami przy kapeluszach, i wyglądali jak komplet pionków, które zaraz zostaną schowane do pudełka. Siedziałem już przy barze, a kierownik przyrządzał mi ohydny mieszankę z rozmysłem powstrzymując obrzydzenie, kiedy przez drzwi wpadł jak burza profesor Tucker.

- Cześć Wilf, stary patałachu!
- Cześć, profesorze zwyczajny - odparłem kwaśno.
- Czegoś takiego jeszcze nie widziałem, nawet w moich rodzinnych stronach!
- Przykro mi, ale nie zamierzam się nigdzie wspinać.
- Wcale nie musisz. Jest tam poręcz, która się ciągnie kilometrami. Jak poszło z

Mary Lou?

- Mówiła o Hallidayu.

To go zastopowało. Po chwili postanowił się roześmiać. Proces podejmowania decyzji widać było gołym okiem. Tucker przypominał jeden z tych eksponatów historii postępu technicznego, wiktoriańską pompę skonstruowaną ogromnym nakładem pracy, umiejętności i poświęcenia, pomalowaną na zielono, naoliwioną, spowitą kłębamii pary i... obracającą się powoli jak planeta.

- Pan Halliday to rzeczywiście wybitna postać. - Wybitnie nierzeczywista.

- Miałem ci o nim opowiedzieć.

- Jasne, jak zwykł mówić Rick L. Tucker. - Zjesz z nami?

Zdrowy rozsądek nakazywał unikanie wszelkich zobowiązań.

- Musicie oboje zjeść kolację ze mną. Stanowczo nalegam. Będzie to dla mnie przyjemność.

- Naprawdę tak myślisz?

- A kto tak naprawdę myśli?

Rick wypadł z baru - może nieco bardziej zamyślony, lecz mimo to wypadł pełen animuszu. Rozważałem wspomnienia jego twarzy. Wystarczył jeden dzień przebywania na górskim

słońcu, by nos, policzki i czoło zamieniły mu się w jabłka, wiśnie i pomidory. Przesunąłem głowę w jedną stronę, potem w drugą aż między pokrzywionymi butelkami w nieodłącznym lustrze na ścianie baru ujrzałem fragment własnej twarzy. Nie pasowała do opisu "Anglika o czerwonych policzkach". Przypominała raczej kawałek skóry przechowywanej od pokoleń na strychu, -nakurzonej i spękanej. Spoglądały na mnie mętne oczy, a na nosie wiły się tu i tam mikroskopijne czerwone robaczki żyłek. Nikt nie zna tej twarzy, pomyślałem. Pisarz to nie to samo co aktor albo muzyk. Twarz nie jest jego bogactwem. Jest jego nieszczęściem, chociaż może niezupełnie. Jest jego anonimowością. Jeżeli pragnąłem prawdziwej sławy, to znaczy żeby rozpoznawano mnie

na ulicy, to powinienem nosić kapelusz z napisem "Autor »Chłodnej przystani«". Byłem szczęśliwy nie pragnąc sławy i zadając w ten sposób kłam Elizabeth.

Siedziałem już w niewielkiej sali restauracyjnej, gdy nadeszli Rick i Mary Lou. Rick i ja byliśmy ubrani swobodnie, natomiast Mary Lou, jak spostrzegłem z niejasnym uczuciem niepokoju, nie szczędziła starań. Miała na sobie obszerną, mechatą spódnicę, ale góra przylegała do jej subtelnym kształtów bardzo ciasno i kończyła się tak nisko, jak tylko zezwalały na to szwajcarskie obyczaje. A jak na turystów, to bardzo nisko. Przyszło mi do głowy, że nie mogła wybrać nic stosowniejszego "dla starszego pana", jeżeli miała to być próba. A jednak pomogłem jej usiąść, zręcznie wsuwając krzesło pod spódnicę - znam taki trick salonowy - podczas gdy kierownik podsuwał mi moje, gdy nagle nastąpił oślepiający błysk.

- Co jest, do cholery! Człowieku, kto ci pozwolił robić -zdjęcia?

- Ależ, Wilf, to na pamiątkę... - Nie będzie żadnych pamiątek.

- Powinieneś najpierw spytać, kochanie.

- Nie sądziłem, że Wilf może mieć coś przeciwko temu, kochanie. - Rick.

- Słucham, Will?

- Nie rób tego nigdy więcej, kochanie bo cię podam do sądu.

Kierownik zniknął - dyskrekcja hotelarza. Przejrzeliśmy karty dań i zacząłem ich nudzić opisami potraw, które spożywałem w różnych miejscach. Świeże powietrze sprawiło, że już po niewielkiej ilości alkoholu Rick stał się ożywiony i rozmowny. Mary Lou była bardziej przygaszona i wyglądała mi na zaniepokojoną, jakby się obawiała, że Rick się zbłąźni. Ale dokładnie w chwili, kiedy bezskutecznie usiłowałem wywołać uśmiech na jej ślicznej, młodej twarzyczce, zmieniła postanowienie, że nie będzie pić. Poprosiła o dużą wódkę, co Rick przyjął z takim zachwytem, jakby zdobyła jakąś nagrodę. Po czym, zupełnie jakbym był jedyną osobą zanudzaną własnym opowiadaniem, zauważyłem, że oboje są ożywieni, a ja ponury, melancholijnie zazdrosny o ich młodość, i że zastanawiam się, w co ja się, u licha, wpakowałem. Rick mówił coś o astronomii - podobno było w pobliżu jakieś obserwatorium - i ubolewał nad faktem, że z ich okna widać tak mało szwajcarskiego nieba. Mary Lou sprawiała wrażenie nieobecnej. Odwracając się ode mnie, Rick zwrócił się do niej.

- Czy było trochę słońca, kochanie? - Słońca, kochanie?

- W naszym pokoju, dzisiaj po południu, kochanie. - Wcale nie było, kochanie, chyba nie.

- Jeżeli brakuje wam słońca albo gwiazd - wtrąciłem zawsze jest mój balkon. Zróbmy przerwę i chodźmy popatrzeć, jak jest na dworze. Moglibyśmy nawet...

Rick podniósł się gwałtownie. Mary Lou chwyciła torebkę i pospiesznie wyszła.

- Jak ona na to mówi, Rick? Toaleta? Pudrowanie nosa? Kolekcjonowałem to w Stanach wśród królów i królowych, księżąt i księżnych, chłopaków i dziewczyn, wodzów oraz ich squaw... o, to jest szczególnie ciekawy przypadek, nie sądzisz? Z socjologicznego punktu widzenia. Powinno się raczej mówić wojownicy i squaw. No, ale to było bardzo dawno temu. Może w dzisiejszych czasach... Chociaż ten zwyczaj się rozprzestrzenił. Zauważyłem to nawet w Anglii. Imperializm kulturalny.

- Z przyjemnością obejrzymy twoje gwiazdy, Wilf.

- Co za awans. Napij się, zanim... zostało już tylko na dnie.

Zachichotał. Nie odezwałem się więcej. Czekaliśmy na stojąco, a Rick niespokojnie stukał palcami o blat stołu.

- Słuchaj, Rick, dwie butelki na troje to znak zwiastujący alkoholizm. Ponieważ Mary Lou wypiła tylko tę wódkę... Czy ona zna się cokolwiek na astronomii?

Nastało długie milczenie. Rick ocknął się. - Przepraszam, Wilf, nie...

- Mary Lou. Astronomia. - Interesuje się.

- A ja, widzisz, nie. Chociaż tak, właściwie tak. Przekłęte wino. Kelner!

Oczywiście zjawił się kierownik. Poprosiłem o butelkę koniaku, którą przyniósł po chwili. Rick nadal stukał palcami w stół.

- Na miły Bóg, człowieku!... Mało ci było ćwiczeń? - Nie rozumiem, Wilf.

Wychylił pękaty kieliszek w sposób zdecydowanie pogardliwy. Ja natomiast odegrałem komedię, grzejąc kieliszek w dłoniach, wdychając to, co podobno nosi nazwę bukietu, chociaż właściwie wcale nie mam wężu. Czas płynął.

Mary Lou wróciła z toalety bledsza niż przedtem. Może znowu miała torsje. Rick trzymał w ręce kolejny pełny kieliszek.

- Wilf bardzo by chciał, żebyśmy obejrzeni jego gwiazdy, kochanie.

Mary Lou z lekka zaparło dech. - To świetnie, kochanie.

- Niekrepujący balkon do własnej dyspozycji, moi drodzy. Bezpłacie.

Chwyciłem butelkę. Rick zatrzymał się w połowie drogi do drzwi.

- Muszę iść do kibla. Nie czekajcie na mnie.

Ruszyłem naprzód z butelką, otworzyłem drzwi przed Mary Lou, przeprowadziłem ją przez korytarzyk, przez salon, gdzie na stole wciąż leżał papier Ricka. Otworzyłem oszklone drzwi, przez które Mary Lou - fru, fru - wkroczyła prosto na balkon.

- Uwważaj!

Stała przy samej poręczy. Oparła na niej szeroko rozstawione dłonie, pochyliła się i spojrzała w dół.

- Rany boskie! Przepraszam cię... ale ja się boję wysokości i co dziwniejsze, bardziej boję się o innych niż o siebie. Wolę już raczej sam stanąć na skraju przepaści, niż patrzeć, jak to robią inni... To znaczy stoją... i patrzą w dół. Mam po prostu lęk wysokości.

Posłusznie, jak mała dziewczynka, wyprostowała się i zrobiła jeden, dwa kroki do tyłu. Podeszedłem do kontaktu.

- Zgaszę światło.

Wygwieżdżone niebo pochyliło się tak nisko, że można go było dotknąć.

- A brylanty, co? Najlepsze towarzystwo dla dziewczyny. Stałem przy jej ramieniu zastanawiając się, dlaczego, skoro nie potrafię wyczuć bukietu koniaku, wyczułem delikatny zapach perfum w jej włosach. Przysunąłem się jeszcze bliżej. - Panie Barclay...

- Dlaczego nagle tak oficjalnie?

- Rick jest zrozpaczony! Naprawdę! - Dlaczego mówimy o Ricku?

Pretensjonalny tekst, godny Dei Caitaniego z "Ptaków drapieżnych". I rzeczywiście wykorzystali go w filmie - ironicznie, ma się rozumieć. Moja ręka powędrowała w górę, jakby z własnej woli, lekko dotknęła jej dalszego ramienia i spoczęła na nagiej skórze. Serce podeszło mi do gardła i zaczęło walić jak młotem. W uszach słyszałem szum własnej krwi.

A Mary Lou nic. Mniej niż nic. To niezwykle, nieprawdopodobne. (Mary Lou nie jest cielesna). Może chodziło o coś na granicy postrzegania pozazmysłowego. Albo z pogranicza doznań duchowych. Muszą przecież występować we wszystkich możliwych formach i rozmiarach zależnie od klimatu, jakże by inaczej? Odczułem bowiem uległość, nienaturalny

spokój, coś w rodzaju bezwładu. Jej - choć może raczej powinienem powiedzieć owo - ramię zdawało się mieć w sobie mniej życia niż marmur. Bo marmur mógłby jakoś... byłby... A to nagie ramię było mniej ludzkie niż ramię lalki, było jak ramię jakiegoś upozowanego i nieprawdopodobnego manekina w witrynie sklepowej, ot, plastikowy model, i tyle. Wydawało mi się, że z każdą chwilą robi się coraz cięższa, całkowicie bierna.

Poczułem, jak od samych stóp, poprzez alkoholi dziwaczną, lubieżną wizję starzenia się wzbierają we mnie uczucia tłumiące wszystko inne - poniżenie i czysta, nieskazona wściekłość. Wiedzieć, że się jest akceptowanym, czy nawet do zniesienia, ale nie na uczciwych kurewskich zasadach, dla pieniędzy, tylko dla kawałka papieru!

Więc staliśmy obok siebie w obliczu gwiazd beczynnie, nie mając nic do zrobienia, nic do powiedzenia. Trwaliśmy w takim bezruchu, że postronny obserwator mógłby pomyśleć, że gwiazdy nas poraziły.

W końcu zabrałem swoją ciężką rękę z jej ciężkiego ramienia, odrywając ją jakby z lekkim klepnięciem.

- W głowie mi się kręci, kiedy widzę tyle gwiazd. Podeszedłem szybko do drzwi, zapaliłem światło, przeszedłem przez korytarzyk i wszystkie trzy pokoje, wszędzie zapalając światło, nawet to balkonowe. Z pewnością wypełniliśmy blaskiem całą dolinę.

- Możesz już przestać patrzeć, do cholery! Kurtyna spuszczone.

Wtedy odwróciła się, nie patrząc na mnie, tylko na drzwi. - Chyba tak.

- Powiem Rickowi, że musiałaś wyjść. Ból głowy. Wysokość.

- Wyjść?

- Kiedy wróci z tego, no...

Zaczerwieniła się od dekoltu aż po nasadę włosów i przysięgam, że dopiero wtedy dotarł do mnie zamysł ich zmywy. Na koniec powiedziała głosem cienkim, jak dziewczynka:

- Nie... ja... dziękuję ci, żeś mnie przyjął.

Rzuciła się do drzwi, niezdarnie, jakby źle widziała. I nagle poczułem to, co mógłbym poczuć, tak, mógłbym, lecz nigdy nie poczułem wobec Emily.

- Mary Lou...

Zatrzymała się, zrobiła pół obrotu w moją stronę, ukazując płonąca twarz. I zupełnie jakby wróciła do czasów dziewczęcych... do przedwczoraj... podniosła prawą rękę na wysokość ramienia i pokiwała mi palcami.

- Na razie.

A potem, już bez żadnej pomocy, wydostała się przez drzwi saloniku, przez korytarzyk, przez drzwi wejściowe i... dywan na podłodze w holu był zbyt gruby, żebym mógł usłyszeć, czy biegła, szła czy potykała się.

(;tego on się spodziewał? Na czym polegał ten, jak to się mówi w naszym żargonie, scenariusz? Czy wyobrażał sobie, że podejmiemy jakąś figlarną szermierkę, ona będzie uciekać przede mną, jak dziewczątka, dookoła stołu, krzycząc: "Nie, Wilf, nie, dopóki nie podpiszesz tego papieru!" Czy może miała wpełzać na mnie, niczym odaliska, błagalnie nadstawiając ust? A może miała się zgodzić rzeczowo, odruchowo, tak jak wyciera się nos, i wtedy ja, zobowiązany, podpisałbym, mówiąc: "Weź to, przecież o to ci chodzi".

"Dziękuję, żeś mnie przyjął!" Cóż za żalosna głupota i uległość dziewczyny! Co za karygodna niewrażliwość mężczyzny! A jednak nie pomylił się aż tak bardzo. Gdyby ta skóra była ciepła i gdyby wydała z siebie choćby najmniejszy sygnał, jakie inaczej by to wszystko wyglądało! Żaden z nas, ani krytyk, ani autor nie znał się na ludziach. Albo obaj znaleźmy się za słabo. znaleźmy się na papierze, to wszystko. Nieszczęsna dziewczyna była przecież istotą ludzką. Nie wiedziała, jak to się robi. Ale ja... ja też nie wiedziałem! (fin nie wiedział, jak złożyć ofertę. Alfons, klient i dziwka - wszyscy troje potrzebowaliśmy pomocy zawodowca. Stałem w zalanym światłem pokoju, mając za plecami czarny prostokąt okna z przygasłymi gwiazdami. Patrzyłem na papier Ricka na stole, potem na wywieszkę na drzwiach wejściowych "*Avis auxMM les clientes*". Pomyślałem o Ricku, który leży dyskretnie w łóżku, może pochrapuje z cicha, żeby żadne z nich nie musiało zauważyć ani komentować jej powrotu. Ale ona wytrąci go r tego chrapania i zapewni, że nic się nie stało, zupełnie nic, tylko pan Barclay położył rękę na jej lewym ramieniu, tak, na ramieniu, i ona wiedziała, że jej pragnie, ale on nic nie zrobił, zabrał tylko rękę i powiedział niewiele, nic się nie wydarzyło, absolutnie nic, niech ją przytuli, proszę, proszę, niech się z nią kocha, ona jest taka, taka zbrukana, i żeby już nigdy, żeby już nigdy nie karał jej...

Potem zasną w końcu oboje, a jej lzy zawisną w gąszczu na jego piersi.

Papier nadal leżał na stole. "Niniejszym mianuję Profesora Ricka L. Tuckera..."

Mogłem przysporzyć mu cierpienia. Mogłem to podpisać i wręczyć mu podczas jutrzejszej wycieczki.

Mary Lou zapomniała to wziąć, Rick. W pełni na to zasłużyła, na Jowisza!



**Potworność! Wizja jej urody i dziecinnej uległości chwyciła mnie za serce, za gardło i z pozoru za nic więcej. Była w tym jednak domieszka strachu. Wiedziałem, że wpadłem, że mnie kusi, że będę musiał walczyć, żeby się z tego wyzwolić. Wystarczył jeden dzień, poranek, południe, noc - i już taka zmiana! To tu tkwiła pułapka, którą starałem się ominąć i ominę! - ten gorzki ból miłości bezowocnej, bezsensownej, beznadziejnej, rozdzierającej i żalostnej. Raz jeszcze kłown zgubił spodnie.**

**Przekląłem w duchu sam siebie, potem zaprotestowałem, że nie wszystko stracone. Koniak stał wciąż na stole - pociecha dojrzałego mężczyzny. I wówczas, jak na papierowego człowieka przysłało, zacząłem myśleć... co za fabuła!**

## ROZDZIAŁ VIII

Obudziłem się za wcześnie, z wyraźnym wspomnieniem poprzedniego wieczoru i czymś w rodzaju piekącego oderwania od rzeczywistości, które jest pochodną dużej ilości koniaku. Z łazienki zeszedłem do saloniku, gdzie nie zdziwił mnie widok opróżnionej do połowy butelki koniaku. Ciekawe jednak, że poza suchością nie miałem żadnych objawów kaca. Zamiast tego odczuwałem pragnienie, które ugasiłem sześcioma kubkami górskiej wody. Wydawało mi się to niemoralne, żeby po wypiciu tak dużej ilości nie cierpieć, lecz miałem do czynienia z niezaprzeczalnym faktem: fizycznie czułem się tak dobrze jak nigdy w życiu. Wściekłość i ból spalają alkohol. Przypomniałem sobie i rozważyłem swoje nowe jarzmo i zbuntowałem się przeciwko niemu. Nie myśleć o niej więcej, to zawsze jest skuteczne w y j ś c i e. Ponieważ poświęciła się, bez wątpienia; zgodziła się ułożyć swoje życie tak, by razem z nim zamknąć zaczarowany krąg. Stało się to jeszcze bardziej oczywiste w obliczu absurdalnej, żalostnej i bezowocnej pseudo-transakcji minionego wieczoru. Nie myśl już o niej, usuń sprzed oczu ten uzmysłowiony obraz, na litość boską!, nie zachowuj się, jak przystało na twój wiek, ta droga prowadzi do szaleństwa. Pomyśl raczej o nim i o jego próbie usidlenia piszącego ptaszka...

Tak. Dam profesorowi Tuckerowi nauczkę, której nie zapomni do końca życia. Posłużę się swoją własną bronią. Umieszczę go w książce, w jakimś opowiadaniu, i opiszę -r. taką złośliwą dokładnością, że nawet Mary Lou będzie się za niego czerwienić, a ten dziwny bogacz Halliday wyśmieje go tak, że mu się żyć odechce.

I wtedy pojawił się oczywiście truizm powieściopisarski. Nie ma sensu umieszczać w książce prawdziwego, żywego Ricka L. Tuckera. Bowiem z ogromną większością rodzaju ludzkiego łączy go ta mianowicie cecha, że jest po prostu całkowicie nieprawdopodobny. Pisarze wymyślają coś, co określają mianem postaci, ale to nie są postaci. Są to figury, wystrugane z takiego czy innego drewna... duchowa plazma... figury podobne do siebie jak drewniane rosyjskie baby. Mogłem jedynie wyselekcjonować, stonować, dopasować, wytworzyć jakąś komicznie odrażającą figurę, rozpoznawalną i znośną, ponieważ "to tylko opowieść".

Pomyślałem - i to przy ósmej szklance wody - że muszę zrobić coś, czego jeszcze nigdy w życiu nie robiłem, Żadnej wyobraźni, wyłącznie selekcja -Ja muszę naprawdę zbadać jakąś żywą osobę. Rick musi się stać moją ofiarą. Zamiast go unikać w momentach znudzenia lub złości, muszę odwrócić naszą sytuację. Podczas gdy on wciąż

będzie myślał, że dobiera się do mnie, ja będę dobierał się do niego. Na tym polega radość polowania. Bierz go! Huzia!

Przy śniadaniu, a potem ubierając się podsumowywałem wszystko, co o nim wiem, i doszedłem na koniec do wniosku, że to, co wiem, nie wystarczyłoby nawet policji do ułożenia listu gończego. Był służy, ogromny - jak ogromny? Wysoki młodzieniec, który ukrył się za naszym śmietnikiem, rozrósł się na wszystkie strony. Był barczysty i potężnie zbudowany. Przywołałem widok spletanego owłosienia, włochatej gęstwiny porastającej całe jego tors. Ponadto zarośla pod pachami, powtórzone w miniaturze w dziurkach od nosa... Owłosienie schodziło w dół po nogach, wieńcząc je w kostce kępkami, które przywodziły na myśl kaczan kukurydzy albo, jeszcze lepiej, zarost nad kopytami konia pociągowego. Gruby i gęsty włos porastał jego głowę i brwi, gęste i długie jak rzęsy. Czy kudłaty Ainu przybył przez zamarzną cięśninę Beringa, czy też jakaś późniejsza migracja przywiodła tego dziwoląga inną drogą przez Atlantyk? Badając w ten sposób profesora Tuckera, zamiast od niego uciekać, albo z niego szydzić, zacząłem dostrzegać w nim pewne interesujące cechy!. Ile włosów może ująć pisarzowi na sucho? Niewiele: te z przodu, czarna czupryna na głowic, brwi i rzęsy to i tak więcej, niż trzeba. Pisarz zajmuje się przeważnie tym, co wystaje jego postaciom. Reszta jest milczeniem - to znaczy ubranie. Tylko przypadkiem zobaczyłem, że między nogami jest kudłaty jak kucyk szetlandzki.

Skóra. Dziwnie biała sama w sobie, ale tam, gdzie mogłaby być broda i wąsy, pokryta czarnymi kropkami włosów ściętych żyłką gładką, jakby tuż pod powierzchnią gruntu, chociaż wciąż pozostał widoczne, przypominając, na tle białej, lekko tłustej cery... co? To niedorzeczne, ale mój umysł potrafił jednie odnaleźć pewien cytat, cytat, którego stosowność wcale nie była oczywista - "cisza i głęboka noc".

Dłonie - kwadratowe, grube, białe, z wierzchu nieuchronnie przysypane typowym Tuckerowskim włoskiem. I bardzo czyste. Zdecydowanie za czyste, o paznokciach prawie wypukłych, a nie... cholera, które jest które? Były wklęsłe, dałoby się w nie łapać deszczówkę.

Naturalnie musi być silny. Jedna z tych dłoni mogłaby ścisnąć... zwinięta w pięść mogłaby uderzyć... albo wymachiwać toporem... ale nigdy tego nie robiły. Ich bronią była maszyna do pisania.

Te kosmate genitalia... nie. Naucz się, starcze, o czym nie należy myśleć, czego nie wolno omawiać, co nie znaczy nic, oprócz mdłości i bólu. Zapomnij. Zostaw w spokoju.

A więc! Na łowy! Mary Lou?

Będę jej unikał, jak co tylko możliwe, znosząc ich towarzystwo, dopóki nie zdobędę odpowiedniej ilości informacji na temat mego prześladowcy. Pociernę trochę, ale potem ona zniknie.

Spotkaliśmy się z Rickiem w foyer. Miałem na sobie stosunkowo ciężkie buty i skafander. Rick ubrał się tak, jakby miał grać w hokeja, brakowało mu tylko łyżew. Wyglądał jak olbrzym. Napis OLE ASHCAN znowu wysunął się na czoło. Tak, on naprawdę był olbrzymi.

- Ile ty masz wzrostu, Rick? - Metr...

- Po staremu, proszę. - Sześć stóp, trzy cale.

- A ile ważysz...? W funtach, nie w kilogramach. - Dwieście dwadzieścia pięć.

- Mógłbyś to podzielić przez czternaście? Podzielił. Zagwizdałem.

- I wyglądasz na tyle, Rick, co do funta. Jak to się, do diabła, stało, że wpadłeś w towarzystwo naukowców?

- Sam chciałem, Wilf. Słuchaj, Wilf, te twoje buty nie wytrzymają tych wertepów.

- Nie zamierzają wiać się na żadne wertepy. - ~~1oże nie dzisiaj, ale...

- Zauważyłeś?

- Tak. Mgła.

- Tego nie reklamują.

- Nie, nie reklamują. Wilf, bardzo żałuję, że nie oglądałem z wami gwiazd wczoraj wieczorem. Mary Lou mówiła, że to było naprawdę inspirujące.

- Tak mówiła? No, za to dzisiaj mamy widoczność na całe dwadzieścia pięć jardów. Wróciliśmy na ziemię, Rick.

- Nie idę za szybko, Wilf?

- Jeszcze nie, ale to ładnie z twojej strony, że się troszczysz.

- Pewnie się zastanawiałeś, dlaczego wczoraj do was nie dołączyłem?

Pamiętając o nowej roli myśliwego, przytaknałem. - No właśnie, dlaczego?

- Pójdziemy tą ścieżką w lewo. Ta mgła coraz bardziej gęstnieje, ale nie martw się, Wilf, przez całą drogę jest poręcz. Nawet jeżeli we mgle nie będzie nic widać, to zawsze wyciamy skraj urwiska...

- Chryste Panie!

Nic wczoraj nie mówiłem, Wilf, ale ta wysokość też na mnie podziałała.

- Jesteś taki jak ona, Rick, po prostu nie jesteś cielesny. Nigdy dotąd nie spotkałem takiej prawdziwie uduchowionej pary. Ale wracając do urwiska: uprzedzam cię, nie lubię wysokości. Nie lubię nawet tego cholernego balkonu.

- Jeśli o mnie chodzi, Wilf, to nie podoba mi się zapach tych pól.

- Smród, doktorze Johnson. - To nawóz.

- Gówno, głupcze. Gówno, które wcale nie znika bez śladu w "Męskim" i "Damskim". Ludzkie gówno. Rozrzucają je tu po polach. Niczego nie marnują.

Rick zakrztusił się, przytknął garść chusteczek higienicznych do ust i nosa, po czym pogalopował do przodu i po kilku jardach znikł we mgle. Wbijając tam wzrok zauważyłem, że z jednej strony ścieżki jest nieco jaśniej niż -r, drugiej. Prawdopodobnie świeciło tam słońce, które zbliżało się do zenitu. Może później zobaczę to urwisko i zadecyduję, czy iść

dalej. Tymczasem sunąłem z wolna pośród cuchnących, niewidzialnych pól. Nie spieszyłem się. Dziesięć minut później owiał mnie higieniczny zapach sosen, choć we mgle dostrzegałem zaledwie sugestię ich g4stej ciemności. Rick czekał na mnie tam, gdzie powietrze zaczęło się nieco oczyszczać, dlatego oprócz niego zobaczyłem również po lewej stronie, na wysokości oczu, wierzchołki drzew, a na stoku po prawej korzenie sosen. Teraz widziałem, że Rick opiera się nonszalancko o poręcz biegnącą z prawej strony ścieżki.

- Patrz, Wilf... solidna jak skała.

Wyprostował się jednak, dostosował krok do mojego. Gdzieś z przodu dobiegał łoskot wody spadającej z gór. Brzmiało to dziwnie kojąco, Bóg raczy wiedzieć dlaczego. Patrzyłem w górę, gdzie od czasu do czasu pojawiała się za mgłą srebrna moneta pędząca przez gęstą białość i pustko w kierunku zenitu. Spuściłem wzrok i rozejrzałem się dokoła. Wierzchołki drzew zniknęły, co mogło świadczyć o tym, że poniżej, z lewej strony, otwierała się jakaś głębsza otchłań.

- Jesteś pewien, że ta ścieżka jest w porządku, Rick? Szedłeś już tędy? Solidna poręcz przez całą drogę? Żadnych przykrych niespodzianek?

- Żadnych, Wilf.

Jedni nie znoszą wysokości. Inni nie znoszą odchodów. *Lhacun* et cetera.

Szliśmy dalej obok siebie. Łoskot przybliżył się i nagle ukazała się woda. Był to niewielki górski strumyk, który wypływał z mgły po prawej stronie, przecinał z pluskiem ścieżkę i ginał we mgle pod nami. Rick przystanął nad strumieniem. Podniósł palec, nakazując milczenie. Zatrzymałem sil i zamilkłem. W prawej dziurce od nosa miał więcej czarnych włosów niż w lewej. Prawodriurkowiec.

Słyszeć było tylko strumyk i, gdzieś w oddali, dzwonki krów. Przysiadłem na wygodnym występie skalnym. Spojrzałem na Ricka podnosząc brwi. W odpowiedzi wskazał na wodę. Zasłuchałem się znowu, pochyliłem się i udając, że wdycham jej zapach, zanurzyłem palec, ale zaraz cofnąłem w obawie przed odmrożeniem.

- Nie słyszysz, Wilf?

- Jasne, że słyszę.

- Ale... czy ten dźwięk nie brzmi jakoś dziwnie? - Nie.

- Wsłuchaj się jeszcze raz.

Miał rację. Strumyk, cienka nitka spadającej wody, na krótko przzerwana ścieżką, mówił na dwa głosy. Słyszałem radosne frywolne gaworzenie, jakby to coś, ta *F o r m a*, cieszyła się swoim skocznym spływem w przestrzeni. A pod tym odgłosem dudnił głęboki, pełen zadumy pomruk, jakby to coś, mimo frywolności i powierzchownej paplaniny, odzywało się z tajemniczej głębi samej góry.

- To nie jest pojedynczy odgłos!

- Tak. "Dwa są tam głosy, jeden jest z głębin..." Spojrzałem na niego ze zdumieniem, które mimowolnie przerodziło się w pewne uznanie. Już wczoraj wieczorem... a teraz to.

- Nigdy przedtem nie przysłuchiwałem się wodzie... nie wsłuchiwałem się w nią naprawdę.

- Nie wierzę, Wilf.

Ponadto odnotowałem w myśli, która wsunęła się do odpowiedniej szufladki na później, że jest do napisania dłuższy kawałek prozy o słuchaniu odgłosów przyrody... o słuchaniu bez komentarza i bez żadnych założeń.

- A ty skąd, Rick? Można by właściwie zapytać, dlaczego ty?

- Nie bardzo kojarzę, Wilf.
- No, to słuchanie strumyków!
- Wiem, co o mnie myślisz. Jeszcze jeden uczciwy, ale ograniczony naukowiec.
- O rany! O kurczę blade! A to ci dopiero! - Naprawdę, Wilf.
- Bezpośredni. Uczciwy. Facet niezdolny do...

Ale Rick ciągnął dalej, jakbym poruszył w nim coś, o czym nie wiedziałem.

- Ja naprawdę słucham. Zawsze słuchałem. Ptaków, wiatru, wody.“ różnych odgłosów wody. Czasami wydaje mi się, że w morzu słychać sól. To znaczy tę różnicę.

- Wspaniałości plenerów.

- Oczywiście. A czasem znów leżysz w nocy i słuchasz ciszy, chociaż dzisiaj to już rzadkość... ale zdarza się, że można słuchać ciszy... prawdziwej ciszy i sięgać coraz dalej i dalej, w poszukiwaniu...

- Mistycyzm przyrody.

- Nie, Wilf. Na tym po prostu polega życie. No i jest jeszcze muzyka. Mój Boże! Niestety, zabrakło mi talentu.

- I trzeba było zapuszczać korzenie w gajach akademii. - Jasne. Chociaż nie... naprawdę nie!

- Chodźmy dalej.

Rick zbliżył się do mnie. Jego broda, przecięta pionowym rowkiem, wróciła na właściwe miejsce, jakby szum wody był lekarstwem na brak wiary w siebie. Przeżyłem jeden z tych momentów nie tyle namysłu, co błyskawicznej refleksji w ułamku sekundy, kiedy następuje rozważenie i odrzucenie możliwości i wyborów. Odrzuciłem. Czy rowek w brodzie jest oznaką słabości? Nie. Czy oznacza dwoistą naturę? Absurd. Może to tylko opóźnione twardnienie kości, ślad życia płodowego, jak mawiali i zapewne nadal mawiają chłopcy od biologii?

Wyciągnął rękę i wydawało mi się całkiem naturalne, że chwyciłem ją i pozwoliłem się podnieść z niskiego kamienia. Troskliwi Szwajcarzy poukładali na drodze wydrążone pnie i chociaż ścieżka wznosiła się do góry łagodnie, strumyk przecinał ją pod kątem prostym. Żeby go przejść, wystarczyło zrobić krok. Dotarliśmy do miejsca, w którym, jak Się zdawało, nie było już nic twardego oprócz niewyraźnych Zarysów poręczy po lewej i korzeni drzew po prawej.

Stałem bez ruchu.

- Jak na szlak widokowy, to kompletne zero. - Przejaśni się.

- Gdyby nie ta cisza, to moglibyśmy się równie dobrze Przechadzać po Regent's Park;.I. Przyjeżdżam w poszukiwaniu widoków, a zastaję tylko białą zasłonę.

86

- Kierownik powiedział, że to niespotykane o tej porze roku. - Zdarza się raz na dwieście lat. - Nabierasz mnie.

- Byłem w dziesiątkach miejscowości, gdzie zaklinano się, że tak podłej pogody nie mieli od dwustu lat... Wciąż te dwieście lat. Kair, Tbilisi...

- No, no!

- Przypomnij mi, żebym ci kiedyś opowiedział o przypiływie, jakiego nie było od dwustu lat.

- Opowiedz mi o przypiływie, jakiego nie było od dwustu lat.

- Płynąłem kiedyś jachtem z pewnym facetem. Wysokość przypiływu była ponoć największa od dwustu lat. Wpakowałem go na mieliznę.

Rick roześmiał się szczerze i wesoło, nie służalczo. - Skoro był szyprem, to jego wina.

- Nie, nie. To była moja zasługa. Przeklęta mgła.

- Zaraz będzie strome podejście. Na pewno z tego wyjdziemy.

- Cytuję, Matko, daj mi słońce , koniec cytatu.

- Lekarze mówią, że mu się poplątało całe życie seksualne.

- Wszystko mu się poplątało. Afektowany stary kretyn. Rick zachichotał, udając zgorszenie. Bawił się świetnie. Widziałem zapiski w jego pamięci. Mimo to...

- Wiem! Wiem! Dobrze sobie, co? - Jak Wagner.

Chichot przeciągnął się. Nagle opary zawirowały nam dziwnie przed oczami, powietrze rozdarł jakiś gwizd, coś huknęło o drzewo po lewej, a potem gdzieś z dołu dobiegł przez mgłę potężny łoskot.

- Rany boskie!

- To ta góra, Rick - stwierdziłem nie na tyle jeszcze przerażony, żeby wypaść z roli niewzruszonego czy, jeśli chcecie, niewrażliwego Anglika.

- To ta cholerna góra, stary. Rzuca w nas kamieniami. Powinniśmy się czuć zaszczytzeni. Czujesz się zaszczycony? - Ja się stac9 zmywam.



Odwrócił się, żeby odejść, ale przytrzymałem go za rękaw. - To prawdziwa gratka dla pisarza. Pomyśl, Rick. Możemy opisać brzmienie przelatującej obok armatniej kuli. Tennyson dałby za to wszystko.

- Lepiej wracajmy, Wilf. - Po co ten pośpiech?

- Nie wiadomo, co się tam wyżej dzieje, Wilf. Znam góry. Urodziłem się... to naprawdę może być lawina, a z tym nie ma żartów.

- Tu i teraz. - Jasne.

- Dokładnie w tym momencie. - Jasne.

- Piorun nigdy nie uderza dwa razy w to samo miejsce. Powinniśmy zobaczyć, gdzie to spadło.

Zabezpieczony gęstą mgłą przed widokiem koszarnej przepaści, wciąż niewzruszony i zdecydowany "pokazać" temu młodzikowi, który niespodziewanie przejawiał zbyt głęboką troskę o własne bezpieczeństwo, zrobiłem krok ku barierce.

- Wilf, nie wyglupiaj się! - Nic nie widzę.

Nadal nieustraszony, położyłem rękę na poręczy i wychyliłem się. Poręcz, wychyliła się razem ze mną.

Kilka następnych sekund można opisać w kilku lub w kilkuset słowach. Mój instynkt - jak zawsze szczodry - przemawia za setkami. I to nie tylko dlatego, że zarabiam na życie sprzedając słowa, lecz dlatego, że przeżyłem kilka bardzo walnych dla mnie sekund. Muszę wyznać, że pierwsza z nich była luką, pustką zupełną. Druga skurczem i wstrząsem zbyt nagłym, by nazwać go wiarą czy nawet przecuciem. Można powiedzieć, że była to świadomość właściwa ciału zwierzęcia postawionego w stan gotowości do śmierci tak bliskiej, że moim by go nazwać stanem oddawania się śmierci. Trzecia sekunda była w pewnym sensie bardziej ludzka - poręcz

opadała teraz na zewnątrz, w dół, szybciej i płynnie; zamieniłem się w ślepy strach, świadomość ślepego strachu, ślepy strach świadom sam siebie, przesyty niedowierzaniem. Następnie wzięło we mnie górę zwierzę; każdy nerw, mięsień, każde uderzenie serca pełną mocą i w zawrotnym tempie opierały się zagład-nie. Zniknęła wszelka przytomność umysłu. Moja ręka, ściskając poręcz i spadając wraz z nią, została ożywiona do tego stopnia, że mogłaby zmiażdżyć ten kawałek drewna i nadać mu swój kaleki kształt. Zabrakło natomiast przytomności, która zmusiłaby mnie do puszczenia poręczy. Druga ręka waliła na oślep w poszukiwaniu oparcia, znalazła i uchwyciła się

czegoś, co w dotyku przypominało roślinę; wtedy moje ciało wykonało przewrót do góry nogami i wylądowałem na skale po drugiej stronie poręczy, z takim impetem, że zaparło mi dech w piersiach. Poręcz wypadła mi z ręki, którą otworzył za mnie wstrząs. Nie pytając o pozwolenie, ta sama ręka zacisnęła się. Leżałem na plecach, z piętami wbitymi w skałę, z zaciśniętymi rękami. Zsuwałem się po stromiznie, cal po calu.

Jakaś dłoń trzymała mnie za kołnierz na karku. Przestałem się zsuwać i przyjrzałem się czerwonym plamom, poza którymi nie widziałem nic, były jedyną rzeczą, jaką widziałem. Czułem teraz wszystkimi nerwami i arteriami, że od upadku dzieli mnie pięć punktów zaczepienia i oparcia. Skuteczność czterech z nich była minimalna: ręce i pięty wbite w miękką ziemię, lewa ręka trzyma się kurczowo jakiejś wątlej łądygi, prawa wbita w mokrą glinę. No i ten dławiący uchwyt dłoni, zaciśniętej z tyłu na zamszowym kołnierzu. Pierwsze cztery punkty zaczepienia mogły się okazać przydatne, ale nie ulegało wątpliwości, że wiszę przede wszystkim na tej pięści wpijającej mi się mocno w kark. To ona podtrzymywała mnie w mętnej, wiszącej przestrzeni. A świat, dopiero co pogrążony w ciszy, rozbrzmiewał łomotem mojego serca, hukiem w uszach i dyszeniem, które samo wydobywało mi się z piersi. Strach był żywiołem tak jak przestrzeń. Nie było tu miejsca na kokietyjne rozmyślenia nad bezwartościowością lub wartością życia. Zwierzę wiedziało nieomylnie, co jest wartością najwyższą. Świadomość przejawiała się jedynie w pragnieniu, które pragnęło samo z siebie, żeby strach tak jak bombardowanie, strzelanina, świst pocisków - zniknął. Spoza pięści, gdzieś ponad nią, także ktoś dyszał.

Obsuwałem się w dół. Dyszenie nade mną uległo przyspieszeniu. Odważyłem się ruszyć jedną piętą i wbić ją o cal czy dwa wyżej, ale ziemia osunęła się i poczułem, że ten wysiłek zmniejszył tarcie, pomocne w powstrzymywaniu mego upadku we mgłę.

Rick odezwał się, wymawiając starannie każde słowo: - Nie ruszaj się.

Przestałem zsuwać się w dół. - Korzeń nad lewą ręką.

Odważyłem się puścić powoli roślinę i pozwoliłem palcom pełznąć. Trafiły na korzeń, gruby, oślizgły, ale dobry do uchwycenia, bo powykręcany.

- Podciągnij się.

Moja lewa ręka wykazała siłę, o jakiej mi się nie śniło. Jedyne jej granicę wyznaczała wytrzymałość korzenia. Mógłbym się podciągnąć nawet gdybym miał u nóg kowadła.

- Obróć się... ale powoli.

Obróciłem się. Pięść obróciła się wraz ze mną, wykręcając kołnierz., ale nie za bardzo. Nareszcie coś widziałem. Jakieś osiemnaście cali ziemi, szorstka trawa, kamyki i korzonki. Zbocze wznosiło się prawie pionowo. Rick leżał na brzuchu na ścieżce, lewą ręką obejmował pionowy słupek, do którego przymocowany był koniec złamanej poręczy. Prawą trzymał mnie za kołnierz. Słupek przechylał się z wolna w stronę przepaści, a spod jego podstawy osypywała się ziemia i kamienie.

- Jezus Maria!

Rick odezwał się -znowu bardzo wyraźnie. - Nie puszczę.

Cał po cał. Przepelniała mnie teraz taka nadzieja na ratunek, że mieszanina nadziei i strachu wydała mi się większą męczarnią niż. nagle przerażenie, bo Rick przesuwał się wraz ze słupkiem, który go podtrzymywał; słupek i ciężar Ricka przeciw mojemu ciężarowi. Patrzyliśmy sobie w twarz, oko w oko, jego oko spod zmarszczonego czoła. Wyglądał

nad wyraz spokojnie, jakby to idiotyczne igranie z naszą zagładą stanowiło zaledwie drobny problem podatkowy czy administracyjny.

Cał po cał. Pięty, palce, ręka, pięść... Najpierw położyłem na ścieżce rękę, potem łokieć, podniosłem się chwiejnie na jedno kolano i wtedy słupek przechylił się i spadł we mgłę z głuchym łoskotem. Pozostaliśmy splątani na ścieżce. Przepelzłem w poprzek na drugą stronę, gdzie moje ciało przywarło do korzeni i twardej skały. Milczałem. Najpierw na czworakach, potem chwiejnym krokiem ruszyłem z powrotem w dół, trzymając się lewej strony jak włóczęga lub pijak, który szuka poczucia bezpieczeństwa w bliskości muru. Potykając się przeszedłem przez strumyk i opadłem na głaz, na którym już kiedyś siedziałem. Ujrzałem przed sobą buty Ricka. Głębszy odgłos strumyka stłumił ton lżejszy. Jakby góra przemawiała tym samym głębokim głosem, który przedtem było słyhać, a który teraz, w moim umyśle, stał się widzialny wokół opadającego odłamu skały. Zachichotałem.

- Drzenie i trwoga. Alfred Lord Tennyson. - Spokojnie, Wilf. Wszystko będzie dobrze.

Jasne, że ,wiedział, literatura angielska i tak dalej. Drzenie i trwoga na polnej drodze, igraszki miejscowych chłopaków.

Miałem wrażenie, że czuję pod stopami beznamiętną groźbę ziemi - wulkany, trzęsienia, tsunami, okropności praw natury, kuli lecącej w przestworzach. O tym

mówiła woda; nie *Gaia Mater*, lecz kosmiczny odłamek, balansujący między siłami, gdzie siła przyciągania objawia się z taką właśnie potworną obojętnością.

- Wstawaj.

Chwyciły mnie ręce, którym nie potrafiłem się oprzeć. Uniosłem się, jakby pchnięty jakąś siłą natury, i przylgnąłem do ciepłej wełnianej powierzchni. Poczułem, że naprężają mi się ramiona. Policzek miałem wciśnięty w skórę, we włosy, w mięśnie karku. Najpierw poruszaliśmy się powoli, potem coraz szybciej. Koń, koń! Potężne stworzenie zajęło się moim biernym ciałem, unosiło mnie w swojej aurze siły i ciepła. Najbardziej niepokojące było właśnie to ciepło, które stało się kolejnym przejawem ludzkiej obecności, obok smrodu gówna w nozdrzach; bo galopował, trudno to inaczej określić, galopował przez łąki do domu. Potem mnie zdjęto. Odezwały się głosy, pojawiły się nowe ręce i nagle znalazłem się we własnym łóżku. Otworzyłem oczy i ujrzałem dwa grube filary spodni, a tam gdzie się łączyły, tuż nade mną, wypchany rozporek. Zamknąłem oczy. Słyszałem, jak się poruszyli, i zaryzykowałem otworzenie jednego oka. Stał teraz w nogach łóżka i patrzył w dół. Na wargach błąkał mu się uśmiech, który wydał mi się dość sympatyczny, chociaż wyrażał jeszcze coś poza tym. Uśmiech rozciągał mu usta.

Zamknąłem z powrotem oko. Nie miałem wątpliwości. To był uśmiech zwycięski.

- Jak się czujesz?

Przy nim stał kierownik. Naradzali się. Rick mówił coś o koniaku.

Przerwałem mu głosem, który, jak mi się zdaje, brzmiał całkiem normalnie.

- Nie chcę koniaku. Chcę gorącej czekolady.

Dziecinada. Ale kierownik oddalił się pospiesznie. Teraz siedziałem, czując w ramionach ból jak po łamaniu kołem. Raz po raz wstrząsały mną dreszcze. Wrażliwy typ, ten Wilf Barclay! Zamknąłem oczy i zacisnąłem powieki, żeby przetrwać mękę kolejnego ogniwa w łańcuchu farsy, tego nieprzewidzianego w budzecie dodatku do wypełnionej po brzegi składnicy powracających wspomnień, jak to Wilf Barclay spadł ze skały i jak uratował go...

- Nie zgubiłem spodni. Nie miałem okrągłego czerwonego nosa, rudych włosów i wymalowanego zeza.

- Połóż się, Wilf.

- I właśnie to, moja ostatnia pieprzona... jedyne, co mogło się zdarzyć, żeby wszystko zmienić. Jak ja to robię? Skąd to się bierze? Do diabła!

- Lepiej się połóż.

Kierownik wrócił pospiesznie. Z filiżanką i spodkiem. Rick wziął je od niego. Kierownik pospiesznie wyszedł. Spoza drzwi usłyszałem głos Mary Lou.

- Czy mogę wejść?

Krzyknąłem: - Nie!

Rick postawił filiżankę na stoliku przy łóżku. Zakręciło mi się w głowie i położyłem się. Zapadła długa cisza, którą przerywało kilkakrotne otwieranie i zamykanie drzwi, a potem znowu cisza.

Jakiś głos przemówił tuż przy mnie, z mocnym niemieckim akcentem.

- Musi być w szoku. Czekolada to dobry pomysł. Organizm wie, czego mu trzeba.

Zorientowałem się, że mierzą mi puls. Głos zabrzmiał ponownie.

- Nie jest tak źle. Ile on ma lat? Nie do wiary! No dobrze. Proszę wypić czekoladę, panie Barclay. Profesor Tucker? Tak. Myślę, że ~wystarczy dłuższy odpoczynek. Ma konstytucję człowieka znacznie młodszego.

Słyszałem, że Rick coś szepcze. Znowu zabrał głos doktor. - Przyślę coś. Tak, zaraz, to niedaleko. Proszę pamiętać, że nawet w Weisswaldzie mamy takie powiedzenie, że zielone pola są bardziej zabójcze niż białe.

Ale ja pod zamkniętymi powiekami wystawiałem czułki strachu, aż po kres wszechświata. Kości już się toczyły: trzy szóstki albo trzy jedyńki. Wielkie jak planety.

- Poczekam i podam ci te pigułki, Wilf.

Był wielki jak planeta, wkraczał w mój wszechświat ze swoją niezbędną, swoim ciepłem, uśmiechem, gustownym przedstawieniem przy moim łóżku, a wszystko za sprawą przyciągania ambicji, za którą nie warto cierpieć. Otworzyłem oczy, żeby uciec od toczących się kości, i ujrzałem go w naturalnych wymiarach, jak stoi w nogach łóżka z zatroskanym uśmiechem. Spojrzałem po sobie i stwierdziłem, że jestem w podkoszulku i w koszuli. Usiadłem i przysunąłem sobie filiżankę ze spodkiem, które zastukały o siebie. Nie raczyłem na niego spojrzeć.

- Pozwól, że... - Zostaw mnie!

Niewdzięczny typ, ten Wilf Barclay, i jeszcze się cieszy tą swoją niewdzięcznością, jak mógłby się cieszyć okrucieństwem, gdyby miał odwagę. Pomieszanie niewdzięczności i sadyzmu - co za bzdura! Lecz profesor Tucker nie ruszył się z miejsca, podczas gdy filiżanka i spodek dzwoniły w moich dłoniach, aż wreszcie

udało mi się wypić trochę czekolady. Natychmiast mnie uspokoiła smakiem i wspomnieniami dzieciństwa. Byłem w stanie, jak to się mówi, wziąć się w garść. Wypiłem do dna i podałem filiżankę Rickowi.

- Jeszcze.

Wtedy na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie, a uśmiech zamarł mu na ustach. Wziął jednak ode mnie filiżankę ze spodkiem i wyszedł. Siedziałem obejmując kolana obolałymi ramionami. To wszystko zaczęło się już w Schwillen, kiedy... nie do pomyślenia! ...czułem się osamotniony i było mi z tym źle... ja, Wilf Barclay, wybitny doradca do spraw samotności. Zadumałem się nad biegiem wydarzeń, które sprawiły, że znalazłem się w jedynym położeniu, jakiego sobie nie życzyłem. Drzwi do sypialni były otwarte, mogłem więc zobaczyć, że za nimi, w saloniku, wciąż leży na stole *hillet-dorr*.r Ricka, nie podpisany, nie tknięty. Dreszcze i wspomnienia zaczynały ustępować miejsca innemu uczuciu, które w końcu przywróciło mi część własnej osobowości. Był to przypływ ślepej furii. Gdy Rick wrócił z następną parującą filiżanką, opadłem na poduszkę nie patrząc na niego. Wymamrotałem oskarżenie.

- Zdaje się, że zawdzięczam ci życie.

## ROZDZIAŁ IX

Wściekłość, nienawiść i strach. W tym moim paroksyzmie musiała być taka zaciekłość, że Rick wyszedł z pokoju. Zostałem sam, w podkoszulku i koszuli, trzęsąc się jak maszyna, której brakuje jakiejś części. Najpierw jego żona, a kiedy ten plan nie wy palił, moje życie, moja cholerna, słodka, zastrzeżona własność, którą mi wprowadzie zwrócono, lecz tym razem. jak zrozumiałem, na warunkach przypominających) poddanie

obleżonego miasta. I do tego jeszcze coś - fizyczne obrzydzenie, które wywołała we mnie jego siła, ciepło i jego smród!

Środek nasenny przyniósł mi kierownik. Zasnąłem tak głęboko, że nic mi się nie śniło. Ale nawet zasypiając nie przestawałem snuć planów, na przykład o tym, jak zwabić ich na skraj jakiejś przepaści. Nie ulegało wątpliwości, że szok wytrącił z równowagi mój mechanizm. W pewnej chwili pozwoliłem nawet Tuckerowi napisać moją biografię, ale pod tak surowym nadzorem, żeby cały świat mógł się dowiedzieć, jak to wystawił na próbę cześć św. Wilfreda, podsuwając mu własną piękną żonę. Oferta została odrzucona z tak wielkim taktem i z taką uprzejmością, że rzucił się (on, Profesor Rick L. Tucker) na kolana i otrzymał tak silnego kopa w jaja jednym z tych butów, które nie nadają się na wertepy, że bezzwłocznie wstąpił do klasztoru, Zostawiając swą piękną żonę na pastwę...

Tak, bez wątpienia byłem niezrównoważony. Lecz, ten środek działał dobrze i chciałem wiedzieć, co to było. Obudziłem się z obolałymi ramionami i pustką w głowie.

Spojrzałem na zegarek i dopiero po chwili zorientowałem się, że dzisiaj to już faktycznie jutro. W ustach miałem smak jakiegoś obrzydliwego metalu. Długo płukałem je zimną wodą. Nogi ugiwały się pode mną. Wspomnieniom minionego dnia nie towarzyszyła już wściekłość ani nienawiść. Po tych złych siostrach pozostał tylko strach, żeby nie powiedzieć: panika. I zupełnie jakby z przebudzenia się po tym środku nasennym miało wynikać, że znów jestem zdany sam na siebie i narażony na jego zabiegi, dostrzegłem straszliwe skutki, jakie mogłoby za sobą pociągnąć wydanie mu pozwolenia... to zawzięte, skwapliwe rozgrzebywanie przeszłości świeżej od bezlitosnych wspomnień! Ta nieosiągalna dziewczyna, groza i ból!

Papier wciąż leżał na dopiero co odkurzonym i wypolerowanym stole. Czy ta gruba, siwa kobieta starła kurz wokół niego, czy też ostrożnie go podniosła, odkurzyła i wypolerowała blat, a potem umieściła z powrotem na stole z dokładnością sędziego, który ustawia kulę bilardową?

Zdaje się, że zawdzięczam ci życie.

u;

To mnie otrzeźwiło jak dzwonek szkolny. Zawdzięczałem mu życie, ni mniej ni więcej. Jak w tysiącach historyjek dla grzecznych chłopców.

- "Zawdzięczam ci życie, stare. - W porządku, stary. Drobiazg. - Złamałeś rękę, stary.

- Ale to nie prawa ręka, stary. W kółko ta sama kiepska komedia.

Oto i papier. Przeniosłem uwagę z niego na siebie. Wilfred Barclay nie pasował do historii przygodowej dla chłopców, tylko do jej parodii: i to nie w roli bohatera ani też nie w roli jego małego kumpla, z którym młody czytelnik mógłby się utożsamiać, lecz raczej jako typ nędznego oszusta, wetkniętego w fabułę dla pokazania, że występek nie popłaca lub że cnota -zwycięża. Zostałby powalony lewym prostym. Wilfred Barclay zatoczyłby się i trzymając się za szczękę poprzysiągł plugawą zemstę. Nigdy nie byłby taki głupi, żeby podpisywać ten papier. Wzięłby za to żonę i zwiął.

"Zwiąć! Mniejsza o żonę. "Żony są wszędzie. A może się oszukiwałem? Czy rzeczywiście podsuwano ją św. Wilfredowi? Uwaga! Czy ja zwariowałem? Czy Rick zwariował? Czasami w jego spojrzeniu pojawiała się jakieś napięcie, a wokół źrenic błyskały białka oczu, jakby gotował się do niebezpiecznej szarży. Ciekawy materiał dla psychiatry. Do diabła z, tym rozpamiętywaniem Ricka. "Te jego włosy... był po prostu obrzydliwy. Już znacznie bezpieczniej byłoby śledzić na przykład nosorożca. To dom wariatów i Wilfred Barclay, św. Wilfred, tym razem już nie jako postać z książeczki dla chłopców, da krótki pokaz lewitacji, grawitacji. Nie odejdzie w ukłonach, lecz po prostu zniknie, ulotni się kolejką zębatą, czary-mary, hej presto!

"Z chwilą powzięcia tej decyzji moje serce wezbrało uniesieniem i radością. Nie zdawałem sobie dotąd sprawy, że przebywanie w towarzystwie trzymało mnie w tak ogromnym napięciu. Odnalazłem kierownika i dowiedziałem się, że Tuckerowie poszli na spacer. Wyjaśniłem, że po doznanym szoku potrzebuję samotności. Chociaż zarezerwowałem pokój na tydzień, muszę już wyjechać! (Obiecałem wynagrodzić mu to - zamieszczę pean pochwalny o nim i jego hotelu w którejś z moich książek. Rzeczywiście, kilka lat później, już nie pamiętam ile, spłaciłem ten dług. Hotel Felsenblick w szwajcarskim Weisswaldzie jest bardzo wygodny, widok wspaniały, a przepaść przerażająca. Majora Adolfa Kaufmana, dzisiaj już bardzo emerytowanego generała, cechuje dyskrecja i milczenie). Gruba spakowała moje rzeczy i zaniósła walizki do stacji



zębarki, gdzie o trzeciej złapałem kurs na dół. I tak oto uciekłem, podając adres zwrotny: Hotel, Akureyri, Islandia. Trzy godziny później siedziałem na pokładzie samolotu do Florencji i kolejnej wypożyczalni samochodów. Późnym popołudniem jadąc przez Apeniny znalazłem się w domu rodzinnym - na autostradzie. Obserwowałem ze spokojem przepływający za oknem nieruchomy krajobraz. W metalowej osłonie czułem się panem siebie. Noc spędziłem w podłym hotelu o rzut ciastkiem od La Rotonda. Pamiętam, że z radosnym poczuciem swobody otworzyłem okno i spoglądając na wspaniały cień ułożyłem dość nieuczciwe partie dialogu dla pana i pani "hucker.

- Kochanie, w dachu jest ogromna dziura. - To chyba od wybuchu bomby, kochanie. Znowu byłem sobą. Spałem spokojnie.

Rano też się właściwie nie martwiłem, tylko byłem z lekka rozkojarzony. ~' końcu La Rotonda to takie samo miejsce jak Piccadilly czy "hime Square, gdzie można podobno spotkać każdego, wystarczy tylko odpowiednio długo poczekać. "To bałamutne powiedzenie oznacza po prostu, że bywa tam wiele ludzi. Po zgubieniu tropu Rick i Mary Lou mogą - nawet Rick nie był aż tak głupi, żeby jechać do Islandii - mogą pomyśleć o Rzymie. W kajdanach do Rzymu ? \* `ho do niego całkiem podobne. Czyż nic wspominał, że Mary Lou koniecznie musi zobaczyć Rzym i Dublin? Nagły zachwyt aż zaparł mi oddech. Nie ma pewności, czy zaliczyła już Rzym, ani też, jeśli zaliczyła, to czy nie zechce go zaliczyć raz jeszcze. Siedziałem przy kolejnym czy może tym samym żelaznym stoliku na Piazza Navona i naraz, jak to się mówi, serce we mnie zamarło. Nie. Nie zobaczyłem Mary Lou, -sobaczyłem Ricka. Zobaczyłem go w ten sam sposób, w jaki dawniej, kiedy mi jeszcze zależało, zdarzało mi się prawie widzieć Elizabeth. Inny mi słowy, nie zobaczyłem Ricka dosłownie. Ocknąłem się z nagłym szarpnięciem i byłbym wylał kawę, gdybym jej przed chwilą nie wypił.

- Jezu!

To było całkiem możliwe. Mogli przecież wyjechać natychmiast po powrocie ze spaceru i polecieć wieczornym, nocnym albo porannym samolotem z Zurychu prosto do Rzymu. Czułbym się znacznie bezpieczniej na autostradzie. Nie było to żadne przywidzenie. Raczej wspomnienie wyraźne jak akwaforta. I wcale nie wyłaniało się z otchłani. Przypominało przesunięcie czy przeskok w czasie, albo coś jak pstryknięcie przy zmianie przeurocza, a potem znów pstryknięcie, kiedy wracasz do poprzedniego. Należało wówczas powstrzymać się od przypisywania Rickowi czegokolwiek poza metodycznością i uporem. Co gorsza, nie był duchem. Ani świętym ze zdolnością

przenoszenia się z miejsca na miejsce i przebywania w dwóch miejscach na ras. On tam był na Piazza Navona! Właśnie przyjrzał się fontannie, rozpoznając zapewne mitologiczne rzeki. Właśnie się odwracał, nastawiając pod rękawem swetra ten swój aparacik fotograficzny, zawieszony na prawym ramieniu. Nie widziałem przodu swetra z wrobionym napisem OLE ASHCAN, ale dostrzegłem brzeg litery O. Poza tym niespełna dwie doby przedtem wciskałem nos w obrzydliwe ciepło tego swetra, kiedy mnie znosił przez łąkę z tej przeklętej górskiej ścieżki. Doskonale znałem ten sweter, te potężne buciory i włosy, z lekka przydługie, jak przystało na poważnego naukowca. Wreszcie odszedł, zniknął w tłumie po przeciwnej stronie placu. Gdyby nic to, że dałem się uspić pozorną skutecznością ucieczki od zobowiązań, byłbym się zerwał i uciekł, nim zdążył tam zniknąć. Mógłbym też go śledzić aż do hotelu, gdzie nadal spoczywał ten złocisty, niecielesny obłok czaru.

Poderwałem się, rzuciłem kilka monet na blat stolika i pośpiesznie wyszedłem - rozglądając się czujnie na wszystkie

strony świata, dzięki czemu widziałem, jak przechodzący obok stolika włóczęga skwapliwie zgarnął moje pieniądze, zanim dotarł do nich kelner. Wciąż się zapewniałem, że to nie pomyłka że nie mogłem się pomylić. O tak, wryła mi się w pamięć linia ramienia Ricka, jego ręce, spodnie z najmodniejszej tkaniny i te królewskie buciory na grubej podeszwie, pozwalającej turystom zachowywać dystans od ziemi, którą deptają. Tak. Gdybym nie tkwił tak głęboko w cichej rozkoszy poczucia anonimowości, być może byłbym nawet w stanie spojrzeć mu w oczy. Wówczas jednak zorientowałem się, że moje poczucie bezpieczeństwa nie może mieć przecież żadnego wpływu na Ricka. Dostrzegłby mnie, niezależnie od tego, czy ja go widzę. A może posiadałem dar kameleona? Może wyglądałem jak żelazne krzesło lub kawałek muru?

Okulary słoneczne! To dlatego poranne słońce tak bardzo dawało mi się teraz we znaki. Kupiłem je tuż obok hotelu, wychodząc na przechadzkę. Zasłoniły mi całą twarz, oprócz skołtunionej brody, a takich bród jest w Rzymie tyle co jaskrów na łące. Byłem prawdopodobnie nierozpoznawalny, jak zawodowy agent, który zbiera materiał dowodowy do sprawy rozwodowej, afery szpiegowskiej czy też śledzi złodzieja sklepowego. Aż tu nagle, do diabła!, spłoszony niewątpliwie przypomnieniem Ricka, uświadomiłem sobie, że je zostawiłem na tym co zwykle żelaznym stoliku. Na tym okrągłym żelaznym stoliku. Przez chwilę wydawało mi się, że powrót na Piazza Navona, żeby je odzyskać, to zbyt wielkie ryzyko. W końcu jednak zakradłem się ostrożnie na

skraj placu, jak zawodowiec, i wyjrzałem zza węgła. Tak, okulary zniknęły. Kolejny rabunek, robota kolejnego włóczęgi.

Czułem silny niepokój i już w południe opuściłem hotel (adres zwrotny: The Confederate Hotel, Roanoke, Virginia). Jechałem w kierunku, który, jak sądziłem, powinien zmylić wszelki pościg: na wschód. W przekonaniu, że najlepsze są boczne drogi, tuż za *unntrlare* odbiłem w bok.

A jeżeli nie był to przypadek, to jak, u diabła, Rick do tego doszedł? Gdyby szedł po śladach, powinien teraz być w drodze do Islandii. Rzecz jasna, nie powiedziałem nikomu. Na przejściu granicznym okazałem pełną obojętność: młody mężczyzna otworzył paszport i zaraz go zamknął, nie czytając. Chociaż może zrobił to celowo, żeby po-norami obojętności uspić moją czujność. Wtedy zwolniłem i zjechałem na pobocze. Zaparkowałem j i zgasiłem silnik. Powiedziałem: Wilfredzie Barclay, nadal jesteś w szoku. Powinieneś być przeczekać parę dni. Mary Lou i musiała zobaczyć Rzym i Dublin. Zwiedzą Rzym, żałując być może, że biedny stary Wilfred zniknął w tak niewytłumaczalny sposób, ale to nie dlatego, że jest Brytyjczykiem, lecz dlatego, że jest pisarzem. I dlatego, Mary Lou, kiedy taki się nagle zmywa, to nigdy nie wiadomo, co mu strzeliło do głowy. Weź takiego Shelleya i Noela Cowarda. Nie, kochanie, nie razem, osobno. Wiem, kochanie, że pisałaś dyplom z literatury angielskiej, byłaś moją ulubioną studentką, jasne, ach tak, teraz rozumiem, jak powiedziałyby nasz biedny Wilf, robisz mnie w konia. Chociaż nie, on by powiedział: usiłujesz mnie przekształcić w nieparzystokopytne zwierzę pociągowe. Ha ha. Ha Ha Ha Ha. Ha Ha. I-Ia Ha. Ha. Ha. Ha Ha. Ale co powie pan Halliday? Z tego punktu widzenia Wilf -rachował się bardzo niegrzecznie. W końcu chcieliśmy poznać tylko jego przeszłość, zwłaszcza co bardziej soczyste kawałki, może jakieś drobne przestępstwa, nie mówiąc już o niezliczonych sytuacjach, w których się zbłądził, czyli, innymi słowy, chcieliśmy zobaczyć, jak on działa. Nie wolno mu tego ukrywać, kochanie, nie ma prawa. Dlaczego więc nie mielibyśmy się nim pożywić? A co o n a powie? Nie potrafiłem jakoś wymyślać przemówień dla bezcielesnego uosobienia c-razu. Za to Rick był całkiem łatwy.

Kochanie, zapewniam cię, że nigdy nie zamierzałem cię skrzywdzić. To na pewno przez te góry, przez tę wysokość. Zakłóciła moją ocenę sytuacji. Ale wiedziałem, że nic ci nie grozi, -nie on cię odprawi. Bo to jeden z tych, wiesz, kochanie. Uwarunkowany. Mam wrażenie, kochanie, i możesz to nazwać intuicją, że nigdy nie miał nic wspólnego z kobietami. Pedał. Przecież, kochanie, wychowała go matka, a poza tym

wykształcił się w prywatnej angielskiej szkole, sama wiesz., co li to znaczy. No, kochanie, już czas wstawać. Musimy zaliczyć św. Piotra przed pierwszą, kochanie.

Rozbawiła mnie ta kiepska fantazja i poczułem się lepiej. Powiedziałem sobie, że rozdmuchuję całą sprawę. Z Rzymu pojedą do Dublin, gdzie zwiedzą stacje drogi krzyżowej pocziwego Blooma.

Multimilioner Halliday. Mary Lou wyraźnie go podziwiała w swojej naiwności. Majątek jest drugorzędną cechą płciową, jak talent, jak geniusz. Przez chwilę rozważałem ewentualność powrotu do Rzymu, żeby odszukać pana Hallidaya w stosownym rejestrze, ale odrzuciłem ten pomysł.

Tak więc mogłem wreszcie ruszyć w świat, niemal całkowicie wolny od trosk i w poczuciu bezpieczeństwa. Zauważyłem jednak u siebie coś nowego. Podatność. Bałem się zostać przedmiotem biografii. Ale jednocześnie - choćbym nie wiem jak bardzo się tego wystrzegał - czułem się pochlebiony taką możliwością. Ilekroć mój umysł odrywał się od jakiejś jątrzącej się rany przeszłości, zawsze szukał schronienia w kontemplacji dostąpionego właśnie zaszczytu. A potem, rozbierając ten zaszczyt na coraz drobniejsze części, przypominając sobie to czy tamto - o tym lub owym pisarzu - mój umysł dochodził w końcu do niejasnego poczucia własnej wartości, niezwykłości i dostojeństwa. Przyłapałem się na tym, że przez nowe ciemne okulary i spod runda słomkowego kapelusza przyglądam się różnym grupkom angielskich turystów i powtarzam sobie: gdyby wiedzieli! Tak więc jechałem dalej albo przesiadywałem przy tym moim okrągłym białym stoliku i piłem. Przyszło mi do głowy - w pewnym hotelu w pobliżu Aquila, gdzie Włosi chronią się przed upałem - przyszło mi do głowy, że taki człowiek to dopiero mógłby dać nauczkę Hallidayowi i Tuckerowi, że taki człowiek jest większy, niż mu się zdawało. Dzięki ci, profesorze Tucker! Tak trzymać! Pamiętam, że siedziałem i rozprawiałem się, jak to mówią, z butelką niezłego wina, podziwiając zachód słońca mniej więcej od strony Rzymu, i doszedłem do wniosku, że jestem spokojny, ponieważ dokładnie wiem, jaką mam napisać książkę. Poszerzy ona repertuar Barclaya. Będzie traktować o sprawach prostych, odwiecznych, o młodości i niewinności, czystości i miłości. Natychmiast kupiłem maszynę do pisania. Miejscowość była zaciszna. Nikt się do mnie nie odzywał, poza wymaganym minimum uprzejmości. Lubi seks, ale nie jest w stanie kochać, też coś! Komponowałem tę książkę ze spokojem, być może nawet z majestatycznym spokojem. Tak więc Helen Davenant i młody Ivo Clark przemierzali konno zielone pola Anglii, które przypomiinałem sobie z niemałym trudem, nie mówiąc

już o szczegółach. Jasne, że nie ma to żadnego znaczenia. "Konie u źródła" są tak samo sielanką jak "Dafnis i Chloe" albo któraś z "Bukolik" Wergiliusza. Jak pamiętam, sam bardzo się nią wzruszyłem. Helena miała w sobie coś z Mary Lou - pewną nieporadną dobroć, mozolną i nieświadomą, przy całkowitej niewinności. Natomiast Ivo, przyznając bez wstydu, to oblubieniec, który był kiedyś urzędnikiem bankowym, i niezłe się napracowałem, żeby go jakoś oczyścić. Jak to się łatwo i przyjemnie pisało! Dowiedziałem się, że krytyka zareagowała nieprzychylnie (twierdzili, że powieść śmierdzi), ale nie wydaje mi się, żeby książka była aż tak zła. Wiodłem żywot niezwykle spokojny. Ale posłałem maszynopis agentowi z uczuciem pewnego triumfu i r lekkim żalem. Podałem adres poste restante w Jugosławii i czekając na odpowiedź nie ruszałem się z Titogradu, dokąd nigdy nie przyjeżdżają żadni turyści. W rezultacie otrzymałem całą masę korespondencji z Anglii. Najpierw, wyprzedzając wszystko inne, przyszedł telegram od Liz. **JESZCZE RAZ CO MAM ZROBIĆ Z TWOIMI CHOLERNYMI PAPIERZYSKAMI ZNAK ZAPYTANIA CODZIENNIE ICH PRZYBYWA HUMPH** **PROTESTUJE MAM NADZIEJĘ ŻE TELEGRAM ZASTANIE CIĘ W TAKIM** **STANIE W JAKIM MNIE OPUŚCIŁ EMMY POZDRAWIA. LIZ.** Następnie przyszła entuzjastyczna depesza od agenta, z gratulacjami i informacją, że maszynopis jest w przepisywaniu. Bardzo mi to pochwiliło i podniosło moje mniemanie o sobie. Lubi seks, ale nie jest w stanie kochać, też coś! Ha et cetera. A potem zwała się cała tona innych przesylek. Męczyło mnie już picie wina Dingaę, najbardziej tuczącego na świecie, i w dodatku obrzydliwie słodkiego. Dlatego wciąłem te wszystkie listy z powrotem do Włoch i tam zabrałem się do lektury. Ciekawy okazał się jedynie rozmyślnie powściągliwy list (nie depesza, lecz list pisany wcześniej) od Liz. Czy mógłbym coś zrobić, żeby Tuckerowie odczepili się od niej? Ten Rick jest prawdopodobnie jednym z agentów Pinkertona! Nie przeszkadza jej, że Humphrey zaleca się do Mary Lou, pogodziła się już z męską naturą, wilk (to chyba nie uświadomiony dowcip) nigdy nie zmieni się w owcę, ale martwi ją, że Rick spotyka się w Londynie z Emmy. Czy pamiętasz jeszcze Emmy? (Ostry sarkazm). Emmy wycierpiała już swoje, miała zostać przygaszona, inna niż młode kobiety normalnie atrakcyjne dla mężczyzn, i Liz obawia się, że Rick wykorzystuje ją do osłony, jak konia przy podchodzeniu zwierzyny czy jak jedną z tych "skór" Humphreya, których pełno w całym domu, żeby ani na chwilę nie tracić mnie z oczu. Albo nawet chce ją wziąć (prawdopodobnie nieświadoma gra słów) na wspomnienia o mnie w roli tatusia. Rick ma pewien program i ona musi mi powiedzieć, że ukoronowaniem dzieła jego życia ma być moja biografia, biedny Wilf, chociaż przedtem Rick zajmie się pracą: Wilfred

Barclay. Materiały źródłowe. Szkoda, że ten Halliday nie umiał znaleźć lepszego przeznaczenia dla swoich pieniędzy, lecz władza deprawuje i tak dalej. Liz wyrażała nadzieję, że gdziekolwiek jestem, znalazłem upragnione szczęście oraz (wciąż ta sama Liz) że niewątpliwie poświęciłem w pogoni za nim niemało czasu, pieniędzy i ludzi. Teraz, kiedy minęło jej rozgoryczenie, zrozumiała, że postąpiłem wielkodusznie pozwalając jej zatrzymać udział w spółce z ograniczoną odpowiedzialnością, bo nie wie, co by zrobili z Humphem, nie mówiąc już o Emmy, gdyby nie ten udział, Humph nawet nie kiwnął palcem, jak to mężczyzna. P.P.S. Pustułkę niestety trzeba było uśpić, ma nadzieję, że jestem szczęśliwy z osobą, z którą teraz jestem. Ona sama czuje się nie najlepiej.

Czytałem ten list kilka razy, tyle zawierał informacji, z czego większość w domyśle. Czuje się nie najlepiej! Kto by się dobrze czuł, żyjąc z tym sukinsynem. Kobietom powinno się stanowczo dobierać mężów... Mój Boże! Mają wyjątkowy talent do czepiania się takich sukinsynów! A oni.., kiedyś myślałem, że sobie na to zasłużyła, to znaczy na niego, ale po latach beztroskiej obojętności było mi jej teraz naprawdę żal. Dobrze, wystarczy. Ważniejszy był Rick! Boże! Agent Pinkertona! Ogarnęło mnie takie przerażenie, że chociaż przekonywałem się, że to przesada, nie mogłem myśleć o niczym innym. Nie mając żadnej książki do pisania i poruszony listem od Liz, poczułem, że czas ruszyć w drogę. Pomyślałem też, że lepiej dowiedzieć się czegoś o Hallidayu, bo to on krył się zapewne za całą tą operacją. Nie podobała mi się wzmianka o jego władzy. Zaczęłem miewać złe sny. W rzeczywistości nie były takie złe, tylko przepełnione niepokojem. Chodzi o to, że dysponując we śnie ograniczoną możliwością reakcji na wydarzenia, które na jawie wywołałyby przerażenie, odczuwałem niepokój, *gdy* moje Ja skazywano we śnie na powieszenie, a nie strach, jaki bym odczuwał, gdyby zdarzyło się to naprawdę. U kogoś, kto nie miewa snów (brak podświadomości, mawiała) była to duża niespodzianka. Szkoda Pustułki i Emmy.

Spakowałem ubrania, pozbyłem się przywiezionej z Titogradu korespondencji i pojechałem do Rzymu, w ciemnych okularach. W tym niewielkim mieście próbowałem dowiedzieć się czegoś o Hallidayu w rozmaitych wydawnictwach źródłowych. Ale, rzecz ciekawa, nigdzie nie mogłem go znaleźć. To prawda, że szukałem w niewłaściwej książce, *ho w IX'ho's IY'ho* zamiast w *Ix'ho's Ix~ho in America*, chociaż w *Who's Ix'ho* są tacy ludzie, jak Fulbrightowie, ambasadorzy, sekretarze stanu i inni - a Hallidaya nie ma! Zaczęłem się nad tym zastanawiać i byłbym został w Rzymie dłużej, gdyby nie myśl, że facet jest albo nie dość ważny, albo zbyt ważny, żeby występować wśród naszej hałastry, a także gdyby nie koszmarny sen, który jednak wywołał we mnie coś więcej niż niepokój.

Przepelił mnie przerażeniem, Śniłem, że jestem w Rzymie, tam, gdzie właśnie byłem. Śniłem, że widzę jeden z tych afiszy, pisanych

wy

ręcznie przez sprzedawców gazet i wciąż aktualizowanych, na przykład GUERRA? albo o zakonnicy, co wygrała na loterii, SBALIO! Afisz, który° ujrzałem we śnie, zapytywał DOV'E BARCLAY? Przyspieszyłem kroku, po czym, zupełnie jak postąpiłbym "na jawie", pospiesznie zawróciłem, żeby sprawdzić, czy mi się nie przywidziało, ale nie mogłem już znaleźć tego afisza i obudziłem się zlany potem.

Natychmiast wybrałem się w podróż dookoła świata. Z pewnością robiono to już przede mną - to zniczy udawano się w podróż dookoła świata ze strachu - lecz ja czułem się tak, jakbym był pierwszy. Ten przekłety człowiek, jeżeli to w ogóle człowiek, był wszędzie, a jak nie on, to jego wpływy albo nieruchomości, jego mężczyźni i jego kobiety. Siedziałem w barze na Hawajach, gdy jakiś mężczyzna siedząc przy drugim końcu baru powiedział całkiem wyraźnie, że Halliday jest właścicielem połowy wyspy. W barze panował półmrok, poza tym byłem w ciemnych okularach, więc mogłem przysunąć się do niego i zapytać, której połowy, ~ on się roześmiał i odparł, że tej lepr-rej. Kiedy dobrnąłem do swojego pokoju na górze, zacząłem się zastanawiać, czy rozmawialiśmy o Hallidayu. Nazwisko wprawdzie pasowało, ale kłopot związany z podróżowaniem dookoła świata ze strach polega na tym, że dużo się pije. Karty kredytowe okazują się wtedy prawdziwym błogosławieństwem, chociaż od czasu afery Global and Tracker trzeba strasznie uważać na daty. Ja nie uważałem. I wpakowałem się w kabałę c powodu - kto chce, niech wierzy - przekroczenia międzynarodowej linii zmiany daty i do dziś nie rozumiem, dlaczego. Ale kto, oprócz pilotów, rozumie linię zmiany daty? Przypominam sobie, że znacznie pogorszyłem wówczas swoją sytuację upierając się, że winę za wszystko ponosi Halliday. Przez to niefortunne wydarzenie zostałem zdemaskowany i podano o ty ~ w radiu. W telewizji też, chociaż pokazali tylko dalekie ujęcie, jak znikam za rogiem, -r. twarzą ukrytą pod słomkowym kapeluszem. Co gorsza, zaledwie dwa dni później przechodziłem przez osadę w znacznie chłodniejszej strefie klimatycznej nieważne gdzie. Przechodziłem więc przez osadę i nagle ocknąłem się z przerażeniem, ponieważ na sznurze z suszącym się praniem wisiał sweter z napisem OLE ASHCAN. Nie miałem już wówczas I żadnych wątpliwości, iż szok, jaki przeżyłem w związku z zatrzymaniem, chociaż tylko na krótko, przez policję, wytrącił mnie jednak z równowagi.

Ponadto, jak już wspomniałem, piłem więcej niż zazwyczaj i to, co było przed tą osadą, pamiętam bardzo mgliście, z wyjątkiem tych dwóch dni tuż przed nią. Trzeba powiedzieć, że dodatkowy wstrząs wywołany widokiem swetra pociągnął za sobą dalsze skutki i znowu zacząłem pić, akurat wtedy, gdy właściwie już przestałem na te czterdzieści osiem godzin, i nie pamiętam, co się działo. Wyciągnął mnie z tego pewien sympatyczny, dyskretny młody człowiek z ambasady. Doskonale rozumiał moją potrzebę ukrycia się przed panem Hallidayem i Rickiem. Przyjął czek na pokrycie różnych spraw, za które musiałem podobno zapłacić, chociaż już nie pamiętam, co to było, i wsadził mnie do samolotu.



## ROZDZIAŁ X

Dwie fazy później - młody człowiek stanowczo odradzał mi na jakiś czas prowadzenie samochodu - znalazłem się na pewnej greckiej wyspie, gdzie w owych czasach były jeszcze miejsca ustronne, wprawdzie z prymitywnymi urządzeniami sanitarnymi, ale wkrótce przestało mi to przeszkadzać i wolałem to od marmurowych, plastikowych czy ceramicznych cudów, gdzie spotyka się tylu ludzi. Bo w dzisiejszych czasach w tak zwanych dobrych hotelach toaleta męska stała się właściwie klubem. Nigdy nie wiadomo, obok kogo wypadnie sikać. Wyspa nazywała się - teraz nie ma już po co ukrywać tego faktu - Lesbos lub Lesvos w zależności od tego, czy przerabiało się w gimnazjum grekę czy nie. Wydawało mi się, że samotność i plaża pomogą mi przyjść do siebie po aresztowaniu czy aresztowaniach i całym tym pijaństwem. Kazałem więc zawieźć się w drugi koniec wyspy do nędznego hotelu przy rozległej plaży. (Aż trudno uwierzyć, jaką jechało się drogą! Najpierw wyschnięty strumień, a dalej kamienie wielkości piłki golfowej - jak pięść dziewczynki - nadaje się najwyżej do płoszenia wron). Jedną z zalet Grecji jest to, iż zwyczajne wino nie nadaje się do picia. Byłem w Grecji już przedtem, jak to się mówi, na dłużej, tak jak wszyscy. Piłem wtedy tak dużo, że udało mi się uwierzyć, że lubię rodzinę, a potem znowu piłem, żeby pozbyć się tego złudzenia. Teraz uchroniłem się, że tak powiem, przed samym sobą, jeśli nie liczyć delikatnego czerwonego wina kreteńskiego bez żadnej żywicy. Nazywało się Minos, o ile dobrze pamiętam, i kupowało się je w *galonia*, to znaczy w glinianych dzbanach oplecionych łożyną, które można było mieć zawsze pod ręką, jeden albo więcej.

Pływałem sobie spokojnie, czasami leżałem na plecach z zamkniętymi oczami i rozkoszowałem się niewiedzą o tym, co piszą i mówią o "Koniach u źródła", i tym, że nikt nie wie, gdzie jestem, więc i tak nic nie można mi powiedzieć, a pan Halliday i Rick niech się teraz pastwią nad kim innym. Trochę się niepokoiłem, co ludzie powiedzą, bo w "Koniach u źródła" było coś, co można by mylnie wziąć za Prawdziwą Miłość, a to nie jest chodliwy towar, chociaż nie bardzo mogłem im powiedzieć, że miało to służyć zniechęceniu Hallidaya. Ale niewiedza to szczęście, jak to się mówi, lub przynajmniej spokój. Wylegiwałem się więc całymi dniami na brzuchu w płytkiej wodzie, z maską na twarzy i wystającą za uchem rurką, obserwując liczne, bezimienne i obojętne stworzenia, ich barwy, bezruch i niespodziewane skoki, ich zwyczaj powszechnego kolegowania się między posiłkami. Wydedukowałem (jedyne osiągnięcie mojej podwodnej archeologii),

że kiedyś na tej plaży musiała być przystań i nadal ją widać tuż. pod powierzchnią wody, ponieważ wyspa podnosi się i opada spokojnym, geologicznym rytmem, jak jojo. Pełno tam małych, niegroźnych rybek - małych, bo wszystkie większe zostały już zjedzone przez rybaków', którzy muszą teraz wypływać daleko w morze, żeby cokolwiek złowić. Ta zatopiona przystań - w duchu nazywam ją moją przystanią - nie jest ani tak egzotyczna, ani nie działa na wyobraźnię tak silnie jak to, co widać na Wielkiej Rafie Koralowej czy w Eilat na Morzu Czerwonym. Wiem o tym, bo zakosztowałem obu. Jest za to łagodniejsza, jeżeli to określenie nie brzmi -zbyt głupio. Poza tym do rozpadającego się hotelu przyjeżdża nie więcej niż trzech turystów rocznie. Poza sezonem opiekuje się nim zawsze jakiś przypadkowy Grek, usiłując przy okazji handlować na przykład tymi niesamowitymi obrazkami, na których młode kobiety wysłuchują serenad z gondoli, i tak dalej, albo Bóg wie, czym jeszcze.

A zatem, po jakimś nieokreślonym upływie czasu, przebierałem z wolna płetwami, wracając do mojej podwodnej przystani na plażę, kiedy nagle nabrało mi się wody do maski. Często się to -zdarza nam, brodaczo, bo nigdy nie ma dość śliny na wąsach, żeby maska była wodoszczelna. Nie wiem, dlaczego ukląknęłam - woda była głęboka na jakieś dziewięć cali, z gestem zniecierpliwienia zerwałem maskę z twarzy. Wtedy mężczyzna, który właśnie się pochylał i wkładał swoją maskę, podsunął ją gwałtownym ruchem na czoło i wydał z siebie najprawdziwszy pisk.

- Nie może być! Toż to przecież... no nie, ale ze mnie szczęściarz! Należy mi się nagroda *News Chronicle!*

- Zjeżdżaj, Johnny, zjeżdżaj. To pomyłka. Cholera.

- Wszędzie poznałbym tę rozwidloną brodę. Zaczynasz łysieć na twarzy, mój drogi. Będziesz sobie musiał zafundować sztuczną brodę, taki tupecik na dolną szczękę. Już widzę, jak to wchodzi w modę.

Usiadłem, trzymając w rękach maskę i rurkę. Czułem się jak chłopiec, któremu skończyły się właśnie wakacje. Podciągnąłem kolana pod brodę i posłałem mu ponure spojrzenie.

- Czy jest sens prosić cię, żebyś trzymał język za zębami? Johnny zanurzył swoje długie ciało w wodzie i usiadł na wprost mnie.

- Otóż, widzisz, Wilf, to -zależy, prawda? Szczerze mówiąc, jestem zbyt poważnie zaniepokojony nie najlepszym stanem mojej kasy, żeby myśleć o czymkolwiek... dosłownie fatalnym stanem. Zastanawiam się, czy...

- Tak, tak. Tak jak ostatnio.

107

- To prześlicznie. Muszę przyznać, Wilf... - Daruj sobie.

- No, skoro nie zależy ci na podziękowaniu... Co ty tu właściwie robisz?

- A ty?

- Nic za darmo... nie powiem, jeżeli ty nic powiesz\_. No, ale mówiąc poważnie, Wilf, ta ostatnia twoja... "Konie u źródła"...

- Nie chcę tego słuchać. Dlaczego, do cholery, złe wieści potrafią człowieka dopaść nawet na pustyni?

- Ależ, kochany, to takie wzruszające! Cytuję, takie ludzkie, koniec cytatu. Tych dwoje młodych... i ten komiczny stary dupek. Czy przypadkiem ta postać nie została oparta na mało istotnych cechach niżej podpisanego? Bo skąd byś tyle wiedział, Wilf? Przecież nigdy nie uważałeś się za jednego z nas, prawda? Oczywiście: zagubiony, zamknięty w sobie i, powiedzmy, w początkowym okresie ciut-ciut eksperymentatorski?

- Nie chcę słyszeć o tej cholernej książce.

Johnny wyciągnął się pod wodą i położył na brzuchu.

- No cóż - powiedział, nie mogąc powstrzymać się od zadania choćby płytkiego ciosu. - Cóż, Wilf, nie sądzę, żebyś miał długo o niej słyszeć.

Ja też posiadałem swoje słabostki. - No więc, powiedz, jaka jest zła.

- Chwileczkę. A kto powiedział, że jest zła? Możesz mi wierzyć, że kiedy ten strumień tak płynie, a oni w milczeniu pojmują, że to miłość, moje oczy wezbrały łzami. Słowo daję!

Zachichotał. (:kwilę odczekałem, potem podniosłem się na kolana. Johnny zorientował się, że może stracić niezłą zabawę. Wrzasnął:

- Nie możesz stąd wyjechać, Wilf, ot, tak sobie! Samochód z portu dostaniesz najwcześniej jutro, a jutro sobota i w dodatku dzień miejscowego patrona, a tego nie wolno ci opuścić pod żadnym pozorem Litania jest przecudna: "pobłogosław nam, fanie, pobłogosław im, Panie, a Turków niech szlag trafi". Zapewniam cię, że ogólnie biorąc, nie przyjęto jej źle. Są, oczywiście, kreatury od brudnej roboty, znamy je. Na przykład Liliam a także jeden i drugi Henry. Ten młodzik z telewizji powiedział, że powieść jest ciepła i krzepiąca. Zapewne nigdy nie przypuszczał, że przyjdzie mu powiedzieć coś takiego o tobie. No i jak? Sprawilem ci miły !j niespodziankę, co?

- Aż tak źle. Ale co tam, skoro forsa nie jest zła.

- Jasne, to nie w twoim stylu. Nawet to, że Lilian stwierdzili duła, że kiedy próbujesz tchnąć w jakąś postać trochę ciepła, i to ono ci się rozłazi po całej książce, tak, nawet to spływa po tobie jak woda po kacze. Szukałem odpowiedzi. Myślę, że usiłowałem zdobyć się na szczerłość.

- W końcu... trzeba pisać złe książki, jeżeli się chce napisać dobre.

- Tak, Wilf, ale popracuj nad tym jeszcze. Bo na razie to brzmi trochę jak kiepskie tłumaczenie z francuskiego. Dobrze, że przynajmniej chwalił cię ten kawaler Emmy.

- Jakiej Emmy?

- Twojej Emmy. Twojej i Liz. Ten, z którym przez jakiś czas chodziła, taki postawny amerykański naukowiec...

- Tucker! To on jest ciągle w Europie?

- Czulem nawet do niego przez chwilę pewną słabość... i przez jakiś tydzień. Ogromny facet, nie? Myślisz, że można by go namówić na jakieś świństwa? Ale z tymi wielkimi Amerykanami cały kłopot w tym, że wciąż biorą prysznic i używają zdecydowanie aseksualnych dezodorantów, w przeciwieństwie do naszych rybaków... czy siedziałeś kiedyś po ich zawietrznej? Można od razu dostać orgazmu.

- A co on robił z Emmy? "To znaczy... skąd bierze pieniądze? Jest żonaty... Dopiero cztery lata temu miał urlop naukowy... może go wywalili. Nie do wiary!

- To ty nic nie wiesz? - Czego nie wiem?

- Nie znasz tej ślicznotki?

- Helen... to znaczy, Mary Lou... i

- No właśnie. Aha! S t ą d tyle ciepła w "Koniach u źródła"! Tak, ona coś w sobie ma, prawda? Jakie to niesprawiedliwe. TO cóż! Wróciła do Stanów. Tucker pogrywa tam z jakimś filantropem, multimilionerem. I ona została teraz jego sekretarką, archiwistką, no w każdym razie czymś. Tak, myślę, że czymś.

- Halliday ! - Zgadza się.

...a ja znowu byłem w Weisswaldzie i syciłem się widokiem Mary Lou, prawdziwie inspirującym.

Nie, Wilf. Pan Halliday bardzo lubi kobiety.

Miliardy. "Tryliony. Mary Lou interesuje się astronomią. Kwadryliony. W każdym razie dość forsy, żeby spowodować Wielki Wybuch. Można też, nie posiadając zwinnych członków Parysa, nabyć Mary Lou. Dziewczyna, którą spotyka się za późno. Dziewczyna, o której zapomniałeś. Ten wypreparowany kawałek ciebie, ten rzadki okaz. Albo kupić Wilfa, wytropić go, nasłać, wypuścić. Uciekasz czy stoisz, i tak cię dopadnie. On może stać i czekać, aż sam się pojawisz. Czystość na sprzedaż, świętość, świetlistość, piękno niezrównane. O, bolemy nad nią. Ten krąg, który usiłowała zamknąć z Rickiem, żeby go uodpornić, teraz okazuje się kruchy i nieodwracalnie rozerwany...

- Wilf.?

- Wiesz, skoro ten krąg pękł, skoro przestała patrzeć tylko do środka i potrafi już spojrzeć na zewnątrz, na kogoś innego, to może być teraz całkiem inna... zapewne umie prowadzić porywające rozmowy i przestała być ciężka w sensie fizycznym, pod wpływem jego siły przyciągania, tylko stała się leciutka jak powietrze, kokieteryjna...

- Słuchaj, Wilfi Ty tkwisz w jakiejś obłądnej fudze! - Halliday.

- Wilf... słońce dziś tak mocno grzeje. Może byś jednak... - Co wiesz o Hallidavu?

- Przejdźmy lepiej do cienia.

Rick zostawił mu pewnie list na jakimś olbrzymim jak pole dyrektorskim biurku, "biorąc pod uwagę wyżej wymienione zasługi mojej żony Mary Lou Tucker"...

- Co najmniej miliard.

- Chodź już, Wilf. Przecież nie możemy- cię stracić, prawda?

Z taką forszą Rick był w stanie posłać moim śladem CIA, FBI, naszych rodzimych darmozjadów, nie mówiąc już o KGB! Stąd mój uzasadniony niepokój w tylu miejscach, kontrola paszportów i inne takie.

- Zdejmujemy teraz nasze malutkie płetwy, Wilf, o, tak, proszę bardzo.

- Pierdol się, Johnny, jeżeli jeszcze potrafisz. - O, jak brzydko.

- Mówię poważnie.

- Słuchaj, Wilf, pominąwszy moją nienaturalną słabość do ciebie, ty mnie naprawdę

intrygujesz. Jak to się dzieje, że facet tak demonstracyjnie obojętny na otoczenie potrafi,

że tak powiem, robić w majtki z powodu krytycznej opinii... - Hm. Ty też jesteś opinią krytyczną, więc czemu się I dziwisz?

- Potwór!

To jasne, że Halliday był bardziej niebezpieczny niż Rick. Przecież mając takie źródła informacji, nie musiał niczego zgadywać. Po prostu znał moją biografię i mógł ją przekazać temu włochatemu najemnikowi Tuckerowi.

- Kto zna twoją biografię?

- Johnny stał na schodkach przed wejściem do hotelu. Przestał już ciągnąć mnie za rękę, ale wciąż trzymał mnie za przegub i wpatrywał się w moją twarz. Wyrwałem się.

- Muszę wziąć prysznic.

- Nic ma jeszcze wody, sam wiesz. ' - Muszę się położyć.

Z powagą pokiwał głową.

- Hm, brawo! Odżywciciel natury, zob. "Makbet" .

- Ha et cetera.

Kiedy odchodziłem, Johnny nadal kiwał głową.

Zmęczyłem się pływaniem i wiedziałem, że cokolwiek na siebie włożę, będzie lekko od soli, a następnie od potu. Przysiadłem na brzegu łóżka i postanowiłem nic nie robić. I nie ruszałem się, prawie nie oddychałem. Nie myślałem i nie *czułem*. Siłą woli wprowadziłem się w stan nicości, rozmyślnej katatonii, jak mięczak porzucony przez odpływ. Ocknąłem się z bolesnym szczęknięciem: klik! - być może to było nawet słyszalne - jakby nagle podjechała do góry roleta wpuszczając do pokoju bezlitosne światło dnia. Przypomniałem sobie Prescottta. Nigdy nie spotkałem go osobiście, znałem go tylko z listów i rękopisu, którymi mnie nękał. Rzecz była słaba, beznadziejnie słaba, chociaż oparta na całkiem dobrym pomysłe. Powiedziałem mu o tym, a on mimo to nękał mnie przez lata, zarzucając pytaniami i pomysłami. W końcu musiałem go zacząć ignorować. Problem jednak w tym, że główna myśl mojej czwartej powieści t o b y ł o k ł a d n i e t e n d o b r y p o m y ś l z b e z n a d z i e j n e g o r ę k o p i s u P r e s c o t t a ! Oczywiście odpowiednio przyrządzone i tak dalej, ale jednak! Przysięgam, że ani pisząc "Bezbrzeżną równinę", ani nigdy potem nie myślałem nawet przez chwilę o Prescottcie, jego rękopisie i całym tym męczącym odżegnywaniu się od skojarzeń, co zna dobrze każdy pisarz, który staje oko w oko z opinią publiczną.

Czy p a m i ę t a ł e m? Czy było to wyłącznie dzieło podświadomości, na którą, zdaniem Liz, nie cierpię, czy też może jednak ukradłem ten pomysł świadomie? O ile mi wiadomo, Prescotttowi nie udało się wydać tego rękopisu, chociaż do tej pory mógł już

mieć na swoim koncie sporo książek i być równie znany jak ja. Czy sobie to przypomni i czy powie o tym w jakimś wywiadzie? W miarę, jak popołudnie przechodziło w nieco chłodniejszy wieczór, nabierałem przekonania, że nie ma w moim życiu takiego absurdalnego, poniżającego czy na wpół przestępczego czynu, który by do mnie nie powrócił, nie dręczył mnie i nie palił.

Gdy zszedłem wreszcie na dół, musiałem zastać czekającego tam na mnie Johnny'ego, ponieważ jest to jedyny hotel w okolicy.

- Napij się ouzo, Wilf, i niech grymas cierpienia zniknie z twego oblicza.

- Boże broń! Mam tu w barze własny *galoni*. Całkiem niezłe. Minos.

- Przypuszczam, mój drogi, zważywszy sposób, w jaki dosłownie pochłaniasz te butelki, że chyba tylko dzięki tym twoim sławetnym wędrówkom udaje ci się zachować tycią nie najgorszą figurę.

- Sławetnym?

- No ty i Ambrose Bierce. Cytuję, *gdzie się podziewa Wilfred Barclay*, którego ostatnia powieść "Konie u źródła", koniec cytatu.

- Och, zamknij się. Skoro już o tym mowa, to co ty teraz piszesz?

- Ja, maluczki? Wielką książkę z obrazkami. Naturalnie o Safonie. Nie mogę się zdecydować, czy nazwać to "Panie z Lesbos", czy "Palę Safo". Żałuję, że nikt nie spalił naprawdę tej wstrętnej baby. Nic o niej nie wiadomo, absolutnie nic. Poza tym, wiesz, nominalnie to historia, więc nie czuję się zbyt twórczo.

- Jak dotąd, to twoja najlepsza kwestia.

- Łatwo ci się śmiać. A ja wkurzam się za każdym razem, kiedy się do tego zabieram.

- Nie jesteś specjalistą od antyku.

- Jestem specjalistą od erotyki. Nie wyobrażasz sobie, ile informacji udało mi się zebrać od koleżanek, że nie wspomnę o tym, *czego* mogę się tylko domyślać. Wiem, będziesz się zaklinał, że nie podwędzisz mi tego pomysłu, ale jak myślisz, do czego neolityczne damy używały tych rozkosznych figurek matki-ziemi? Wziąłem się nawet za coś w rodzaju pseudofilologii - albo raczej podrobionej heraldyki - i twierdzę, że słowo "Lesbos" pochodzi od "Olisbos", co w starożytnej grece oznaczało reklamowane dziś pomoce seksualne. A jak ty sobie radzisz podczas swoich wędrówek, Will? Wciąż w pozycji na misjonarza?

- A ty?

- Niezmiennność przychodzi nieproszona.

Umilkł. Korzystając z okazji odpłynąłem na fali ponurych rozmyślań, z których wynurzyłem się dopiero, gdy się odezwał ponownie.

- Dlaczego jesteś tym wszystkim tak śmiertelnie znudzony?

Z nowym ożywieniem wpatrywał się w różne widoczne fragmenty mojej twarzy, próbując z nich coś wyczytać. Pomyślałem, że w następnej kolejności mógłby powiedzieć Rickowi, gdzie jestem. Właściwie mógłby nawet sprzedać tę informację prasie albo wszystkim środkom masowego przekazu naraz.

- Gdzie on teraz jest? - Kto, Will?

- Mój... mój ewentualny biograf.

- Ale z ciebie szczęściarz! Wydobyć cały swój dobytek na światło dzienne! Niestety, mnie nikt nie zaproponował, że napisze moją biografię. Będę musiał zrobić to sam, niewdzięczne zadanie, rodzaj literackiego onanizmu, który, mów co chcesz...

- W moim przypadku...

- Tak, tak, wiem. Jesteś o krok od ogłoszenia całkowitej heteroseksualności, podobnie jak naiwny młody Keats. Pamiętasz? To chyba jest w "Lamii". Słuchaj, Wilf! Kochany! Musisz to dać jako epigraf do swoich "Dzieł zebranych". Czeka, czeka... mam.

I niech poeta, jak chce, stroi lirę, Bzdurząc o czarach bogiń, wrózek, syren, Takich uczt wdzięku nie mają w zwyczaju, Te dziwożony z grot, jezior, z ruczajów, Jak ma kobieta...\*

Co za prostak! Nic dziwnego, że takie coś zyskało sobie miano "Cockney School".

Przyniesiono mój *galom* i przystąpiłem do picia. Wspomnienia niczym robactwo wgryzające się w mięso, Rick ściga, robactwo się wgryza, a ogromny Halliday zadumany nad tym wszystkim. Pomyślałem, że niepokój narasta we mnie, bo przestałem pisać, i dlatego natychmiast powinienem zacząć nową książkę, ale w głowie miałem pustkę, prócz myśli rozbudzonych przez Johna St. Johna Johna, który wciąż mówił nie zważając na to, czy go słucham, czy nie.

- Strzeż się robaka...



Ocknąłem się z obrzydliwym wzdygnięciem. On to po wiedział, nie ja! Oczywiście, zorientowałem się do tej pory, że podczas gdy wydawało mi się, że rozmyślam w milczeniu, musiałem jednak mamrotać coś o tym robaku; wtedy wydało mi się to równie przerażające jak czarna magia. Miałem wrażenie, że cały świat, oprócz mnie, widzi, ma jakieś doświadczenie, a tylko ja siedzę uwięziony w sobie, nieświadomy, ograniczony własną skórą, pozbawiony wszystkich tych czułek, w które oni zdawali się wyposażeni, żeby dotykać mojej utajonej jaźni. - Jaki robak?

- ...nocą wśród wyjących wicherów... czy ten Britten nie był bosko genialny? Zazdroszczę kompozytorom, a ty? Są jak matematycy. Nie muszą się przejmować żadną polityką, po prostu bujają sobie w obłokach.

- Jaki robak?

- Mój drogi. One cię zjadają żywcem. Czy mam ci podać pełną diagnozę?

- Nie.

- Biolog powiedziałby, że masz szkielet zewnętrzny. Większość ludzi ma szkielet wewnętrzny. Lecz ty, z powodów znanych tylko Bogu, jak zwykle się mówi o ciałach anonimowych, spędziłeś całe życie na wymyślaniu sobie szkieletu zewnętrznego. Jak kraby i homary. I to, widzisz, jest okropne, bo robaki dostają się do środka i, jak babcię kocham, czują się tam jak u siebie w domu. Ponieważ zamierzasz udzielić mi pożyczki i z powodu noblesse oblige et cetera daję ci dobrą radę, żebyś pozbył się tej zbroi, tego zewnętrznego szkieletu, tego pancerza, nim będzie za późno.

- Co proponujesz?

- Mógłbyś zająć się, powiedzmy, religią, seksem, adopcją, dobrymi uczynkami... sądzę, że w tej sytuacji najlepszy będzie seks. Przecież nawet homary się parzą, chociaż przyznam, że nie mam pojęcia, jak to robią. Chodzi zapewne o jakiś dziwny onanizm, na co Ten z Góry zezwala i nie rzuca klątwy, pod warunkiem, że się to odbywa pod wodą.

- Łosoś i jemu podobne.

- Otóż to. Na pewno czytałeś wierszyk, który napisałem dla *Times Literature Supplement*: "Bo człowiek to zabaw na rybka, rybka malutka, lecz filutka, to taka święta, święta rybka

pipka, dla której gdzie ma rozsiać mlecz (tę najdziwniejszą rybią ciecz) to ważna rzecz". I tak dalej. Dobrze, co?

- Nie.

Niech cię diabli! *Jeu d'esprît*, oczywiście. Ty nie masz wycucia rytmu. Zawsze tak uważałem.

- Jestem zmęczony.

- Tak jak mówiłem, potrzebny ci jakiś kumpel, Widzisz, mój drogi, na pewnych rzeczach znam się dość dobrze. Szufladkujesz na swój sposób i wyobrażasz sobie, że jestem starzejącym się pedałem. Naturalnie jestem, między innymi. Chyba nie będę jadł zupy ze ślimaków. Zamówię jeszcze raz musakę. Czy ta grecka kuchnia nie jest doskonale odrażająca? Gdyby nie ta cholerna Safo... A już w zupełnej ostateczności potrzebna ci jest przynajmniej kobieta. A może ty jesteś z tych, co to odnajdują się dopiero w podeszłym wieku i potrafią stracić głowę dla jakiegoś uroczego młodzieńca?

- Na miłość boską, zamknij się!

- Zdaje się, że to wszystko już cię opuściło, odpłynęło w siną dal, tak, mój drogi, przypadło wśród walki i zmagania. Tak. Potrzebna ci kobieta.

- Masz kogoś na myśli?

- W takich razach chory, et cetera.

- Wiesz, co powiedział Apollo? Jasne, że wiesz! Poznaj sam siebie. Być może przeszedłeś przez te wszystkie lata wcale siebie nie znając. Potrzebny ci jakiś kumpel. Zaczynaj od dołu, od psa.

- Nie lubię psów.

- Robaki pod pancerzem to nie tylko ludzki sadyzm. To czysta poezja sztuki. Tylko Ten z Góry może być tak pomysłowy.

- Męczy mnie rozmawianie o Hallidayu. Chciałem... - No, tak. Zawsze byłeś prozaikiem, prawda?

- Ale byстрыm.

- No i gdzie się podziała twoja słynna "bezlitosna bystrość", *je me demande*?

- Jestem stary. Idę coraz szybciej. - Dokąd?

Musiałem chyba krzyknąć.

- Tam, dokąd wszyscy idziemy, idioto!

Wydaje mi się, że pamiętam słowo w słowo, co Johnny wtedy powiedział, ponieważ mam przed oczami jego twarz przysuwającą się do mojej nad stolikiem tak blisko, że widziałem kredkę na jego brwiach.

**- Wilf, mój drogi. Jeszcze raz w zamian za pożyczkę. Idź do księdza albo do psychoanalityka. Jeżeli nie, to przynajmniej trzymaj się z daleka od lekarzy pracujących we dwójkę. Bo inaczej cię zamkną, zanim zdążysz powiedzieć "dipso-schizo".**

## ROZDZIAŁ XI

To nie jest biografia. Sam nie wiem, co to jest, bo są tu ogromne luki w miejscach, w których nie pamiętam, co się działo, i tam, gdzie pamiętam, że nie działo się nic. Na domiar złego, zapiski z okresu Lesvos i Johnny'ego, wprowadzone dla nadania tej masie papieru jakiejś spójności, są chaotyczne ze względu na stan, w jakim się znajdowałem. Pamiętam, że wieczorem, po tym, jak Johnny postawił tę swoją absurdalną diagnozę, zrozumiałem, że za wszelką cenę muszę uciekać. Lecz zamiast tego urzyznałem się przepędzając dzień za dniem w oparach Minosa i jedynie z rzadka widując Johnny'ego, bo wśród jego licznych wad nie figurowało nadużywanie alkoholu. W końcu udało mi się załatwić transport na pas startowy i wyjechałem. (Adres: Rinderpest, Bloemfontain, Afryka Południowa). Dzięki Ci, Panie, za samoloty! Potrafią w ułamku sekundy, niczym trąby Sądu Ostatecznego, zmienić cały światopogląd. Przypominam sobie, że siedziałem obok jakiegoś faceta, zdaje się, że był to Kanadyjczyk, i głądziłem o tym, jak cudownie jest latać samolotami, bo jeżeli się dużo lata, to wreszcie za którymś razem musi się spaść, a wtedy śmierć jest natychmiastowa i ze wszech miar pożądana, . Kanadyjczykowi, którego Johnny nazwałby strachliwą ciepłą kluchą, wcale się nie podobało, że mu przypominam, jak to dzięki zwariowanemu wykorzystaniu praw aerodynamiki jesteśmy zawieszeni nad paskudnie bezbrzeżną głębią. Przesiadł się na inne miejsce. Dobrze wiedziałem, że Ateny będą zapchane facetami z Wielkiej Brytanii czy ze Stanów, więc przesiadłem się po prostu na samolot do Afryki Południowej, zapominając, że podałem adres właśnie w Afryce Południowej. Przypomniałem sobie o tym dopiero w drodze, toteż postanowiłem wrócić tym samym samolotem. Lecz tutaj pojawiają się luki - w niewiadomy sposób znalazłem się w klinice. Miałem oślepiające spotkanie z rozpalonymi do czerwoności robakami spod mojej skorupy i pewna miła lekarka wydobyła je ze mnie różnymi szczelinami, na dowód czego pokazała mi żywego homara z targu rybnego, chociaż właściwie czasami wydaje mi się, że to był sen. Oczywiście, nadal trawiła mnie od środka ta gorączka, ale uważałem, że to potrafię już wytrzymać. Wydawało mi się, że łatwiej ją zniosę gdzieś w łagodniejszym klimacie, ale po wykorzystaniu tylu różnych adresów, miałem niewielki wybór krajów, w których się jeszcze nie skompromitowałem. Wobec tego poleciałem do Rzymu (adres: Shangri La, Katmandu, Nepal). Podczas lądowania przypomniałem sobie Ricka na Piazza Navona. Oskoczyłem więc w bok lokalną linią lotniczą, a potem wynająłem samochód.

Odjeżdżałem bardzo powoli, bo nie przyłożyłem się zbytnio składając podpis tam, gdzie się je składa.

Muszę teraz powiedzieć o tej wyspie, chociaż robię to niechętnie, bo na myśl o niej znowu dostaję drgawek. Muszę jednak o niej opowiedzieć, bo to jest pierwsza połowa. Drugą napiszę kiedy indziej. Rzecz w tym, że zbieram się do tego już od dawna, ale na trzeźwo nie potrafię, i o to właśnie chodzi. Wiem, wiem, zejść rano do kuchni, żeby policzyć puste butelki, i nie pojawi się tam żadna Liz niczym zjawą z "Vogue". A Rick nie będzie grzebał w śmietniku, *w ole ashcan*. Prawdopodobnie włóczy się gdzieś w pobliżu, żeby mieć mnie na oku. Ponieważ Liz kazała wyciąć wiązy, mogę teraz sięgnąć okiem ponad trawnik, gdzie właśnie siedzę, aż do lasu po drugiej stronie rzeki, albo raczej mógłbym tam sięgnąć okiem, ale nie jestem w stanie, bo jest około trzeciej nad ranem. To stamtąd przychodzą borsuki, żeby upokarzać mnie, i Ricka także.

A teraz wsiałem na prom i wylądowałem w mieście, w którym natychmiast, na moich oczach, przy głównej ulicy zastrzelono szefa policji. Była to robota Maffii i przyszło mi do głowy, że wynajął ich Halliday, więc wsiałem na następny prom. To znaczy wcale nie był to prom płynący stamtąd, skąd przybyłem; płynąłem dalej, wciąż przed siebie, ale znalazłem się w samochodzie, na jakimś nabrzeżu, od którego odchodziły uliczki zbyt ciasne, żeby po nich jeździć. Ponieważ nie przypadła mi do gustu kombinacja rudery, szopy, baru i burdelu pod nazwą hotel Marina, ruszyłem piechotą do miasta w poszukiwaniu czegoś większego i lepszego, z porządnym barem zamiast dechy podpartej jakimiś dwoma starymi niechlujami. Doszedłem do jakiejś bramy, otworzyłem ją i udałem się w kierunku domów, które wyglądały tak, jakby kryła się wśród nich jedna z tych włoskich willi, zawsze przerabianych na hotele. Powinienem był zauważyć, że domy nie mają okien. Głupota z mojej strony. No więc zanurzyłem się w jakiś długi korytarz w jednym z tych domów i, oczywiście, stały tam stare trupy, wystrojone i oparte o ścianę, no bo trudno się spodziewać, żeby stały o własnych siłach. Trzęsło mną, kiedy stamtąd wychodziłem i, rzecz dziwna, trzęsączka zamiast ustąpić, bo nie bałem się bardziej niż zwykle, trwała nadal. Przystanąłem wśród tych domów bez okien i krzyknąłem do nich.

- Wyspa się trzęsie!

Bo tak było. Mówienie żywym lub umarłym o wstrząsach na wyspie było równoznaczne z noszeniem drew do lasu. Znalazłem wreszcie hotel z oknami i bez żadnych trupów w zasięgu wzroku, z wyjątkiem barmana, którego nie używano od lat. Przyniesiono moją walizkę z samochodu i przesiedziałem całą noc na brzegu łóżka,

czekając, aż trzęsączka ustanie, co nie nastąpiło. Musiałem chyba spać, lecz albo wynalazłem podświadomość, albo zawsze ją miałem wbrew temu, co mówiła Liz, bo śniło mi się, mój Boże, co za sen. Zjadłem chyba śniadanie, bo przypominam sobie, że chodziłem tu i tam i odkryłem, że wyspa jest ze sproszkowanego pumeksu, z którego wystają noże z czarnego szkła, przypominające ucztę wieżyc. Ciekawe miejsce dla ludzi normalnych, ale nie dla kogoś, kto ma nierówno pod sufitem. To wszystko chyba tam naprawdę było? Tak, oczywiście, sądząc po tym, co nastąpiło później.

W pewnej chwili zdecydowałem, że będę pił tylko kawę, i już rano wypilem jej kilka wiader. Następnie, aby zachować trzeźwość, postanowiłem udać się na spacer, omijając *centre ville*, martwe centrum, ha et cetera. Zob. "Obrzędy pogrzebowe na Sycylii".

Wyszedłem więc, przezornie tuląc się do murów. Dostrzegłem wysokie wzgórze i zacząłem się do niego skradać. Tak, wiem doskonale, że to zwariowany pomysł; i taki właśnie był. Zacząłem się zbliżać, jakby to był ten stary, to znaczy mój rówieśnik, według Mary Lou... ale on nie jest starszy od ciebie! Jakżeż ta dziewczyna kłamie! Pomyliłem się co do niej. Jest starszy niż kościół, na który sra. Uliczki, szczerze mówiąc, wyjątkowo nędzne, nawet jak na tę okolicę. Wkrótce zobaczyłem, że budynek widoczny na szczycie to kościół, prawdopodobnie katedra. Czując palenie w środku postanowiłem, że zbadam ten chłodny przybytek w poszukiwaniu szkiełek, mimo znikomej szansy na coś wartościowego, najwyżej jakieś szkaradztwo ufundowane przez Mafię gdzieś tam około roku 1900. Po pewnym czasie musiałem przystanąć, bo zabrakło mi tchu, ale chociaż czekałem długo, gorączka w środku nie ustawała, podobnie jak ta na zewnątrz, bo panował zabójczy upał. To nie było zwyczajne światło dzienne, nie był to blask słoneczny; to było światło rozżarzone; świecące powietrze. Z początku myślałem, że to przez alkohol, ale potem zdałem sobie sprawę z tego, że skoro jestem w stanie myśleć, to nie jest ze mną tak źle z powodu alkoholu, jak sądziłem, lecz z tego drugiego powodu... to znaczy tego, że jestem ścigany 1 Ze mnie szpiegują, i że, szczerze mówiąc, właśnie to wytrąciło mnie nieco z równowagi. Co do picia, to wcale nie miałem żadnego kaca, co nie rokuje nic dobrego. Nawet pierścień morza wokół wyspy wyglądał niesamowicie, jakby był z mosiądzu. Jakiś wyspiarz schodzący ze wzgórza mijając mnie zegnał się znakiem krzyża jak mechaniczna zabawka. I wtedy dopiero spostrzegłem, o co chodzi, i zrozumiałem, dlaczego wyspa ma drgawki. W pewnym punkcie horyzontu, Bóg wie, jaka

to była strona świata, widniał pióropusz czarnego dymu jak po wybuchu megatony ładunku nuklearnego.

Mówcie, co Chcecie, ale trzęsąca się ziemia to coś gorszego od trzęsączki. Potrafi doszczętnie zniszczyć w człowieku poczucie bezpieczeństwa, mam na myśli to poczucie, że w ostateczności zawsze zostaje coś stałego, na czym można oprzeć stopę. Ale ziemia, która się trzęsie, przypomina o tej szalonej kuli lecącej w przestrzeni, a to - jeżeli się tylko chce - musi o tym pomyśleć - oznacza potworność, która graniczy, nie, przerasta, gwałt. Niemniej jednak nie należy się w tym miejscu spodziewać opisu potworności wybuchu wulkanu lub trzęsienia ziemi, ponieważ, widzę to teraz dobrze, byłem wtedy zbyt wstawiony, toteż mogłem jedynie potraktować całe to wydarzenie jako osobistą zniewagę lub hołd, a poza tym drżenie - to znaczy wstrząsy ziemi - ustało; i oczywiście po opuszczeniu szczytu wzgórza było mi zupełnie obojętne, czy cała wyspa, szklane noże i wszystko inne pogrążyło się w morzu.

Na wzgórze prowadziły bezkresne schody, bezkresne w górę - zdawało się, że wznoszą się do samego nieba - lecz także wszere. Można by nimi poprowadzić całą kompanię wojska ramię przy ramieniu, i nie bez powodu, ponieważ były to schody dla osłów, wznoszące się łagodnie, o szerokich stopniach, chociaż zapewne właściwy termin architektoniczny brzmiałby: stopnie głębokie. Szedłem więc pod górę, a brat osioł protestował za wszystkich, że te schody zostały wzniesione dla jego wygody, aż dotarłem na równy plac przed głównymi drzwiami i potężnej budowli. Były to drzwi zachodnie i jest całkiem prawdopodobne, jak sądzę, że to, co wydarzyło się potem, nie mogło mieć miejsca gdzie indziej, chociaż nigdy nie wiadomo. Przed środkowym skrzydłem tych trój

skrzydłowych drzwi siedziała na wyplatany krześle wiekowa dama i przędła cienką nitkę. Nie, wcale nie była jedną z Parek. Była po prostu starszą panią, którą posadzono tam w celu dopilnowania, aby żaden z turystów odwiedzających to miejsce mniej więcej raz na dziesięć lat nie miał przy sobie aparatu fotograficznego. Dlaczego? Nie lubią fotek, i bardzo słusznie oraz stosownie. Miło było spotkać dla odmiany ludzi, którzy, podobnie jak ja, wiedzą, że fotka coś nam odbiera. Więc przemówiłem do kobiety swoją najlepszą łamaną włoszczyzną, pragnąc ją zapewnić, że nie należę do tych, co noszą ze sobą *una machina photographica*. Ale widocznie nie zrozumiała, władając wyłącznie językiem, którym posługiwano się na wyspie. Chcąc jednak okazać szczerę

chęci, wskazałem pióropusz dymu na horyzoncie, na co zaczęła się żegnać znakiem krzyża, przerywając rytm przedzenia.

- *Volcano!*

To do niej przemówiło. Dobrze przynajmniej, że nie bomba. Niezłe trafiłeś, pomyślałem sobie, a kiedy wróci prom, to hej, Wilf, na przytulne szosy, i niech diabli porwą Ricka i Hallidaya razem z tą ich całą Mafią. Wszedłem więc do środka, gdzie było bardzo, bardzo ciemno, nawet jak na kościół.

Dopiero wtedy zorientowałem się, że wciąż mam na nosie te ogromne słoneczne okulary. Wydedukowałem z tego, że musiały tam pozostawać od kilku dni, nawet wtedy, gdy siedziałem na brzegu łóżka czy też śniłem. Poczułem się dość dziwnie, kiedy stojąc wewnątrz tej jakby wstępnej drewnianej skrzyni między drzwiami zewnętrznymi i wewnętrznymi, uświadomiłem sobie również, że od pewnego czasu się nie myłem. Zdjąłem więc okulary, pchnąłem drzwi wewnętrzne i wśliznąłem się do środka.

Była to rzeczywiście katedra, bo widziałem tron biskupi. Zrobiłem parę kroków, rozglądając się dokoła, i od razu stwierdziłem, że witraże nie zasługują na uwagę. Po następnych kilku krokach zauważyłem, że najlepszy jest sufit, ponieważ pachwiny łuków pokryte były dość starą mozaiką. Z mozaikami jest jak z witrażami - im starsze, tym lepsze. Zrobiłem jeszcze kilka kroków z postanowieniem, że najpierw szybko rzucę okiem na całość, a potem skupię się na co lepszych fragmentach, kiedy nagle spadł mi pod nogi kawałek li mozaiki, obluzowany ostatnim wstrząsem tego dnia.

No więc tak: szedłem bardzo wolno i gdy ten drobny brudnoniebieski kamyk upadł jakiś jard przede mną, stałem na i prawej nodze i miałem właśnie postawić lewą stopę na posadzce, ale tego nie zrobiłem; zatrzymałem ją w powietrzu przyglądając się kamykowi. Miał nie więcej niż pół cala kwadratowego powierzchni. Leżał na wprost mnie. Postawiłem stopę i stałem bez ruchu. Góry ciskają we mnie kulami armatnimi, kościoły spuszczają odłamki kamyków wielkości paznokcia. No tak, pomyślałem, pamiętając co się stało, gdy nie posłuchałem ostrzeżenia góry, należałoby mieć się tu na baczności. Nie chcemy przecież spaść w otchłań. Co więcej, czuło się w tej katedrze coś dziwnego, jakąś atmosferę. Było tam, jak zauważyłem już bez okularów, ciemniej niż być powinno, skoro na dworze świeciło mosiężne słońce, a większość okien miała szyby z bezbarwnego szkła. Można by powiedzieć,

I że czuło się tam całkowity brak Jezusa malusieńkiego. Niezbyt mi się to wszystko podobało



i miałem ochotę wyjść, ale wiedziałem, że jeśli wyjdę, to znajdę się w nieskończonej rzece

czasu i nic nie pomoże mi o tym zapomnieć. Wobec tego brnąłem dalej.

Jak długo to wszystko trwało? Przysiadłem na cokole kolumny i poczułem, jak pali mnie w środku, mimo kościelnego chłodu. Czułem też ucisk w piersiach, jakby mi kazano stać na palcach. Ucisk sprawiał, że odpoczywanie na siedząco zupełnie, ale to zupełnie straciło sens, więc wbrew kawałkowi mozaiki, który spadł przede mną, brnąłem dalej.

Nastąpiło to w nawie północnej. Wznosił się przede mną, oddalony o szerokość nawy. Chrystus z litego srebra, lecz w dziwny sposób srebro miało wygląd stali i przerażająco siną barwę. Był wyższy ode mnie, szeroki w ramionach i kroczył przed siebie jak antyczny grecki posąg. Na głowie miał koronę, oczy z rubinów albo granatów, albo karbunkułów czy po prostu z czerwonego szkła, które płonęło jak ucisk w mojej piersi. Może był to Chrystus. Chociaż niewykluczone, że w tych okolicach dziedziczyli go po przodkach, zmienili tylko imię, a naprawdę był to Pluto, kroczący przed siebie bóg podziemi,

Hadesu. Stałem z otwartymi ustami i skóra na mnie cierpła. W niszczycielskim ułamku sekundy pojąłem, że przez całe swoje dorosłe życie wierzyłem w Boga, i ta wiedza była wizją Boga. Strach przeniknął mnie do szpiku kości. Otoczony, osaczony, zagubiony, o krok od zagłady, rzucony w nurt kosmicznej nietolerancji, z otwartymi ustami, krzyczący, zasikany i zasrany, rozpoznałem swego Stwórcę i runąłem na ziemię.

Zdaje się, że znalazła mnie ta gruba kobieta przęda pod drzwiami. Nie słyszała chyba, jak krzyczałem, bo tam by nie usłyszała. Zresztą i tak by nie słuchała, nastawiając uszu na pomruki dochodzące z wnętrza sąsiedniej wyspy. Pewnie przyszła pora, kiedy obchodziła kościół, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie zwiąłem z kościelną tacą. Musiała więc mnie znaleźć.

Ocknąłem się w szpitalu i nawet nie musiałem sobie nic przypominać. Ocknąłem się pamiętając wszystko. Leżałem pod okiem siostry zakonnej, która odmawiała różaniec, tak jak tamta staruszka przęda. Nie wiem, czy to normalne być pod okiem zakonnicy. Może dlatego, że powaliło mnie w kościele, uważały, że ponoszą za mnie szczególną odpowiedzialność, albo coś w tym sensie. Nie wiem i jest to oczywiście nieistotne. Wydaje mi się, że nie był to dobry szpital.

Leżałem przez... o, długo, bardzo długo. Ujrzałem wiele spraw z taką jasnością, jakby światło poprzedniego dnia, jeżeli to był dzień poprzedni, przepełniło mnie swoim straszliwym blaskiem. Nie mogłem myśleć o niczym innym ani widzieć niczego innego oprócz prawdy. Zrozumiałem, że zaplanowano mnie od samego początku. Miałem swoje miejsce wśród rzeczy i zdarzeń. Nieważne, co zrobiłem lub co zrobię. Zostałem stworzony przez tę okrutną nietolerancję na jej własne podobieństwo. Być może domyślacie się, o czym mówię, chociaż byłoby dla was lepiej, gdybyście nie wiedzieli. Pojąłem, iż jestem jednym lub być może jedynym przeznaczonym z góry na potępienie. Widziałem to gorąco i jasno. W piekle nie ma powiek.

Przyszedł ksiądz, coś bełkotał, a ja się śmiałem, co go rozdrażniło, zakonnica zaś, jak maszyna parowa, zaczęła się żegnać. Oto, co mnie tak rozśmieszyło: ksiądz wcale nie był księdzem, ponieważ wszyscy prawdziwi kapłani nietolerancji wyginęli przed tysiącami lat i ten wyglądał jak przebieraniec na scenie. Wyszedł, zapewne po to, żeby zmyć charakterystykę. Po nim przybył lekarz, i ten wyglądał nieco lepiej. Chwycił mnie za rękę i ścisnął kiwając głową. Zrozumiałem, że chce, żebym odwzajemnił uścisk, co uczyniłem. Obmacał mnie całego i marszcząc czoło coś powiedział. Gdy zorientował się, że nie rozumiem, użył

innego słowa.

- *Colpo. Colpo?*

*Mea maxima culpa. Ha et cetera.* Wydawało mi się, że wiem, o co- mu chodzi, więc spróbowałem odpowiedzieć: "*Si, massima colpa*", ale mi nie wyszło, bo język miałem ciężki jak wół. Lekarz uśmiechał się, pokiwał głową, poklepał mnie, po czym odszedł. Kiedy znów pojawił się tego samego wieczoru, przyniósł kilka nowych słów.

- *Zawal. Piccolo.* Mała zawal.

Znowu mnie rozśmieszyło, kiedy pomyślałem o tym uniwersalnym biczu, ale on wciąż kiwał głową, uśmiechał się, sprawdził moje czynności odruchowe i wyjaśnił, że wyniki badań potwierdzają, że był to niewielki zawal, chociaż ja mogłem mu powiedzieć, że pijacy nie miewają zawałów, natomiast nawiedzają ich rozmaite koszmary, wśród których trafia się czasem prawdziwe cudo, pierwsza klasa, predestynowani i przeklęci, boska sprawiedliwość, która nie zna litości. *In vino veritas*, jeszcze jedno z moich powiedzonek.

Na wspomnienie tego zdarzenia do dziś robi mi się gorąco. Za jego sprawą o wpół do czwartej nad ranem stałem się osobnikiem myślącym, trzeźwym jak świnia. To

znaczy myślącym w sensie technicznym, zamysłonym nad rzeczywistością uniwersalną. Mówi się, że niektóre zawały - no, właściwie nie ma w tej sprawie żadnego "mówi się", bo wiem z własnego doświadczenia, że czasem mała zawał powoduje, iż zamiast jednego słowa wymawia się inne. Mówi się też, że nie ma żadnego związku między tymi wyrazami, oprócz fizycznej natury mózgu, ale ja wiem lepiej. Wilfred Barclay, wybitny doradca: Związek jest, i to bardzo ścisły: na przykład, kiedy mówisz "zdrada" zamiast "tata", albo "magma zamiast "mama". Na tej podstawie - a także na podstawie nieugiętej rzeczywistości nietolerancji - doszedłem do przekonania, że nie był to wcale mała zawał, a nawet jeżeli był, to tylko za sprawą zbiegu okoliczności.

Jakie to ma znaczenie? Kiedy tak leżałem na twardym łóżku, opuszczony przez siostrę zakonną, pozostawiony w błogim zapomnieniu, oddając się rozważaniom nad naturą predestynacji insektów czy też, bardziej elitarnie, homarów i krabów, facetów w skorupkach, szukając prapoczątku woli, to znaczy naszej woli, i nie znajdując go, wiedząc, że to nie my wymyśliliśmy, powtarzam: nie my wymyśliliśmy samych siebie, i że teraz w tym odwiecznym układzie nie pomoże nam to, co robimy, bo chodzi o to, czym jesteśmy, a to, czym jesteśmy, nie zależy od nas; kiedy więc tak leżałem, jak mówię, z zuchwalstwem potępieńców, którzy nie mają nic do stracenia i dlatego nie muszą się podlizywać w bezcelowych próbach wywarcia jakiegoś wpływu na boską nietolerancję, na nieugięty, kroczący naprzód Hades!; kiedy, jak mówię, leżałem, to nie wiem: albo werbalne transpozycje mojego mata zawał, albo mój naturalny język całkiem spontanicznie ułożył coś w rodzaju cyklu psalmów, antypsalmów, jeśli wolicie, naturalne bluźnierstwo wobec naszej kondycji, jak to, przecież tu jest piekło, ja z niego wcale nie wyszedłem. Przypomina to spontaniczny mozół, z jakim pewien gatunek os składa jaja w pewnej gąsienicy, i to ma sens, trudno spodziewać się czego innego. Co za ironia, że to takie sensowne, takie rozumne. Ponieważ ja musiałem chyba w tym okresie s p r a w i a ć w r a ż e n i e zupełnie obłąkanego, kalecząc słowa, mamrocząc do siebie w języku, który nie był nawet angielskim, lecz moim językiem przyrodzonym.

Wygrzebałem się jednak z tego i podjąłem próbę ponownego nauczenia się języka obcego, którym posługuję się obecnie. Przez jakiś czas trzymałem się wyłącznie sylab, co było, albo mogło być, dość interesujące, gdyby nie ten bezustanny wewnętrzny ucisk, który mnie podkręcał jak stalową strunę skrzypiec... gdybym był katgutem, pękłbym i byłoby po wszystkim, tak sobie myślałem, wiedząc, już od wczesnego dzieciństwa, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent tego języka to metafora, a teraz doszły jeszcze wątpliwości co do tego jednego procenta. Mimo to ćwiczyłem ten obcy język, aby

zastąpić nim tak zwane mamrotanie. Napotykałem trudności. Wyglądało to jak przesuwanie każdej sylaby stąd dotąd; nie, to nie pasuje; jak konieczność pracowitego przerabiania posągu, malowania skomplikowanego obrazu, żeby nie wymówić ustami słowa "napić się", gdy umysł pomyślał "wschód słońca". Przeszedłem regulamin szpitalny w stanie pokrewnym, to właściwe słowo, szaleństwu lub delirycznym mękom, bo gdy przyjdzie twoja pora, cały ten religijny ładunek powraca z łoskotem, z tym łoskotem, albo łoskotami, ech, zgubiłem wątek.

W pewnym momencie znalazłem się ponownie w hotelu, potem w wynajętym samochodzie, potem na promie i każdy z tych etapów występował osobno, jak obrazek w ramkach, niezbyt istotny w porównaniu z uciskiem tej struny napinanej coraz silniej na coraz wyższą nutę. Lecz wbrew niej ćwiczyłem dalej pojedyncze sylaby. Na pokładzie promu (zdaje się, że obserwowałem wtedy włoski liniowiec, Włosi powiedzieli, że to *Cristoford Colombo*, więc dla potrzeb mojej biografii, to znaczy naszej biografii, będzie można odszukać miejsce i datę) próbowałem pomyśleć słowo "koniec". Wymówiłem je na głos, ale z moich ust wyszło słowo "grzech". Roześmiałem się z tego krzywo, rozpatrując związek między tym nowym słowem, gorączką trawiącą mnie od środka, stalową struną, widzeniem, wszystkimi sprawami, które biografia odkryje, mimo że usiłowałem je ukryć w tym naszym tańcu. O, jak mnie to rozśmieszyło. Ale opanowałem przynajmniej alchemię jednego słowa, mogłem więc dodawać inne. Przypominało to chodzenie po cienkim lodzie.

- Mój... grzech.

Udało mi się to z siebie wydusić. Chociaż, naturalnie, była to rozmyślna pomyłka tej samej nietolerancji, dzięki której tyle spraw skończyło się katastrofą. Spróbowałem raz jeszcze, żeby nie dać jej się okpić.

- Nie. Grzech. Ja. Jestem. Grzech.

## ROZDZIAŁ XII

Nie miałem serca ani odwagi, żeby przeczytać to ponownie. To były złe czasy i ich wspomnienie popycha mnie ku butelce, której usilnie staram się unikać. Oto Ohydny fach błakający się z nieodłączną św Wiadomością, że ten stary wiecie-kto nigdy nie spuszcza go z oka. Nie przeszkadzała mi ta włóczęga, bo i tak nic innego nie można było zrobić. Nie potrafię tego wytłumaczyć, musicie to brać dosłownie. Nic można było zrobić. P r o s z ę was, zrozumcie, że to naprawdę śmieszne! Oto Wilfred Barclay, do którego dobijał się (na niewielką skalę) świat (nie ma go w domu). Oto stary Wilf, który posiada to, o czym marzą młodzieńcy: więcej pieniędzy, niż mógł wydać, owszem, posuwający się w latach, ale nieświadom tego, że krzyczy, rozżeniony, jeżeli można to tak ująć, ale prawdopodobnie mógłby stać się przedmiotem małżeństwa, gdyby zatrzymał się w jakimś miejscu odpowiednio długo, mógł jeździć konno, latać samolotem, na lotni, siedzieć, stać, chodzić, zdrów na ciele i umyśle wbrew wszystkim przeciwnością, człowiek, przed którym świat stoi otworem - oto, powiadam, Wilf w stanie idealnej wolności. Ludzi należy przed nią ostrzegać. Wolność powinna być opatrzona ostrzeżeniem o szkodliwości dla zdrowia, jak papierosy-rakotyki! Nauczajcie o tym w szkołach, grzmijcie z ambon, zgłaszajcie wnioski, Panie Przewodniczący, brawo, brawo, nie wierzcie jej za żadną cenę, dziewczęta!

Czy właśnie to staram się przekazać?

No' więc tak. Jest wolność i wolność. Wynurzając się na powierzchnię, jak to nazywam, podzieliłem się na różne kawałki, połączone i zarazem pod groźbą żelaznej struny. Najpierw spróbowałem katatonii. Był to cios wymierzony prosto w dumę Barclaya. Nie potrafiłem wytrwać. Nie potrafiłem udawać, że mnie nie ma. Po pierwsze, ubikacja. Adepti w królestwie Katatonii są w stanie także i to zignorować, toteż ich posłuszni niewolnicy spowijają ich w pieluszki. Po prostu nie byłem w tym dobry. Na przekór własnym chuciom (tu widać, jak znikają co dziksze rubieże wolności, musiałem wstawać i iść do ustępu. Musiałem jeść i pić, to znaczy nie alkohol, ale wodę, herbatę, kawę, sok, coś mokrego. Nie potrafiłem nawet wyzbyć się myśli, że dziewczyny są interesujące. No, może nie interesujące, po prostu dużo różnych innych rzeczy. Odkryłem w sobie potworną- nienawiść do homoseksualizmu. Kiedy zorientowałem się, że katatonia to całkowita klęska, postanowiłem spróbować rozrywek. Rozerwać się. Tak właśnie myślałem. Zachowuj się, jak na twój wiek przystało, powiedziałem sobie, jesteś dopiero po sześćdziesiątce i możesz spojrzeć swojej młodości w oczy, nie musisz wciąż

ogładać się za siebie, wystarczy od czasu do czasu. Popełń. Niech ten czasownik pozostanie nieprzechodnim. Idź, starcze, i popełń. Popełniaj od nowa. Skoro nic się nie da zrobić, równie dobrze możesz coś zrobić. I zabaw się także, kochanie. I wtedy przyszedł mi do głowy najbardziej łądacki pomysł na popełnienie, jaki potrafiłem sobie wyobrazić. Myślicie pewnie, że Barclay, prawdziwie chrześcijańskie dziecko dwudziestego wieku, rozwinął w sobie jakąś podejrzaną skłonność do dziewczynek albo do dzieci; ale nie.

No więc, o tym popełnieniu. Śmiać mi się wtedy chciało, ale teraz, rzecz jasna, nie, nic po tym, co się przez ten czas wydarzyło, i nie tu, gdzie teraz jestem. Zza lasu, na drugim brzegu rzeki, wylania się bladziutkie światło świtu. Niedługo odezwie się poranny chór, którego nie usłyszę przez stukot tej podłej maszyny do pisania. Powinienem mieć cichą maszynę. Porzucałem różne cicho piszące maszyny to tu, to tam, bo łatwiej było zdobyć maszynę w nowym miejscu, niż wszędzie taskać ze sobą starą.

Ale do rzeczy. Jeszcze raz o popełnieniu. Doszedłem do wniosku, że czynem najbardziej stosownym do mojej nowo odkrytej natury będzie zabicie psa Johnny'ego. No dobrze. Mojego psa, jeśli wolicie. I'ak, wiem, zapomnieliście o psie Johnny'ego. Sprawdźcie.

Myślałem nadal. Wiedziałem, że zwyczajne morderstwo będzie dziecinadą niegodną nas obu, niegodną wyobrażenia i oryginału. Potrzebne było coś filozoficznie czy raczej teologicznie d o w c i p n e g o. ~Wierzcie mi, myślałem tak długo i tak usilnie, że chwilami mogłem rzeczywiście być o włos

od katatonii! Pora tym wcale nie doszedłem do tego drogą nudnej, mozolnej dedukcji, jak do jakiegoś odkrycia naukowego, które stanowi tylko wynik kompilacji statystycznej. To było prawdziwe objawienie. Otworło przede mną tak rozległe widoki, że zaparło mi dech z podziwu jak tej mniszce wielbiącej z Wordswortha .

Bardzo trudno było znaleźć Ricka. Przebywałem w jakimś tam kraju, chyba w Portugalii, albo gdzie indziej, i załatwiałem wszystko przez telefon. Skontaktowałem się z agentem i wydawcami. Oczywiście Rick nachodził ich wszystkich, lecz żaden z nich nie wiedział, gdzie się aktualnie znajduje, mogli tylko powiedzieć, gdzie był. Satelity musiały się przez nas nieźle rozbrzęczeć. Zaskoczyło mnie to, bo myślałem, że będzie przykuty za nogę do swojego uniwersytetu, ale nie. Mój agent twierdził, że Rick jest wolny, ponieważ oddelegowano go do badań nad niżej podpisanym. Nikt nie musiał mi mówić, że oddelegował go Halliday. Podałem agentowi adres na poste restante w Rzymie, dokąd

rzeczywiście pojechałem, tym razem nie żeby mu umknąć, ale z konkretnym na niego zapotrzebowaniem, żeby doprowadzić sprawę do końca. Zdaje się, że rozdzwonili się też w Anglii, bo odebrałem z poste restante tonę listów od wydawców, od agenta, od Liz oraz przeróżne śmieci nic wiadomo od kogo. Wziąłem taksówkę i zabrałem to w workach do podłego hotelu przy La Rotonda.

Było tego za dużo, żeby wszystko dokładnie przejrzeć, więc zostawiłem korespondencję rozrzuconą na podłodze, zadzwoniłem do agenta i po prostu podałem mu swój numer telefonu i nazwę hotelu, w którym się zatrzymałem! Strach przed ujawnieniem się przestał mnie nie dotyczyć. Agent połączył się ze mną po godzinie i przekazał mi wiadomość od wydawców, którzy już wiedzieli, gdzie jest Rick. Prowadził wykłady, zgadnijcie o kim, o czym, na uniwersytecie w Hamburgu. Ponieważ zaplanowałem wszystko z góry, wsiadłem w samochód i ruszyłem na północ w kierunku Szwajcarii. Kiedy znalazłem się w bezpiecznej odległości od Rzymu, zatrzymałem się i zatelefonowałem do niego z automatu, który znalazłem w jednym z tych sklepików, co przylegają zazwyczaj do stacji benzynowych. Połączenie otrzymałem w dziesięć sekund, wynik całkiem niezły, nawet w erze powszechnej "instantynizacji". Przez tyle lat mnie nie dogonił, chociaż wiele razy się o mnie ocierał. Wspominając, ileż to razy widziałem go albo pamiętałem, że go widziałem, jak węszyć po moich śladach, nie mogłem się powstrzymać od śmiechu na myśl o tym, że mój głos -zabrzmiał mu w uchu ni stąd, ni zowąd.

- Gdzie jesteś, Wilf, gdzie jesteś Poczekaj Nie odchodź

- Nie zamierzam.

- Tyle już razy dzwoniłeś i odkładałeś słuchawkę!

- Nie rozczulaj się!

- No więc, gdzie jesteś?

- Powiedzmy, że na autostradzie.

- Europa czy Stany?

- Po prostu na autostradzie. Posłuchaj, Rick, stary przyjacielu. Chcę się z tobą zobaczyć.

- Dobrze, oczywiście, oczywiście! Boże! To naprawdę ty.

- Spotkamy się w miejscu, które obaj znamy.

- Gdzie zechcesz, Wilf! Mój Boże!

- W tym hotelu w Weisswaldzie.

Zapadło długie, długie milczenie. Nawet panienska w kasie myślała, że już skończyłem, i podniosła wzrok. Zastanawiałem się, czy czegoś nie popsułem.

- Czekam, Rick.

- Tak, tak, wiem, Wilf.

- Zdecydowałem, że czas rzucić przynętę.

- Wiesz, Rick, myślałem o tej biografii.

- O Boże! Wilf! "ho zupełnie tak... tak jak gong, który obwieszcza koniec morderczej rundy. Boże drogi! Dał mi siedem lat i...

- Będę tam w czwartek. Powiedz temu swojemu panu i Hallidayowi, żeby ci natychmiast kupił bilet.

- Do diabła, do Weisswaldu niedaleko. Obejdę się bez niego.

- A co u Mary Lou?

Chwila ciszy. Oczami duszy widziałem, jak jego broda się cofa. Nie bardzo umie rozmawiać przez telefon ten nasz Rick. Jego głos przybrał niskie tony i zabrzmiał żałościwie.

- Piękna z nich para, Wilf. - Tak jak z nas.

Chwila bezdźwięczna. Ciągnąłem dalej.

- Będę tam w czwartek. Nie przyjeżdżaj przed sobotą. Chcę być wcześniej, żeby się przystosować. 7.aklimatyzować. Odwiesiłem słuchawkę. Nie jestem taki jak Rick, potrafię

być stanowczy przez telefon, znacznie łatwiej niż w cztery oczy. Jakby mój głos bez twarzy był kimś innym, kogo mogę wykorzystać, tak samo jak ludzie wykorzystują adwokata, żeby opowiadał o ich brudnych sprawkach. A zatem ruszyłem przed siebie z tym napiętym drutem w piersiach, dalej, coraz dalej. Pamiętam, że przenocowałem w tym gigantycznym motelu, nie wiem, gdzie to było, a potem przez góry do kochanego, starego Weisswaldu. Ku mojemu zdziwieniu, kolejka zębata tym razem nie zrobiła na mnie większego wrażenia. W hotelu przywitał mnie nie Herr Adolf Kaufmann, polecany gdzieś tu na kartach tego dzieła, lecz jego bratanek zupełnie inny Adolf Kaufmann, który po zasięgnięciu informacji w księgach hotelowych powitał mnie jak starego przyjaciela i umieścił w znajomym apartamencie, gdzie czekała już na stole otwarta butelka Dole. A mówi się, że dziś nie jest już tak dobrze, jak niegdyś bywało! Chociaż widok kierownika aż tak odmłodzonego dosyć mnie zadziwił. Umarła stara pokojowa. Poza tym zmienił się wystrój baru, i to wszystko. Stałem więc przed lustrem w łazience, żeby się sobie przyj-



rzec i, Boże drogi!, zobaczyłem się po raz pierwszy od wielu, wielu lat. Jeżeli nic zmieniasz uczesania, bo wypadły ci już prawie wszystkie włosy, i jeżeli się nie golisz, to nie masz powodu wystawać Ar-red lustrem. Tak, czas odcisnął swoje piętno na tym, co było widać, toteż przy okazji przypomniałem sobie, że należy powrócić do regularnego mycia się. W wyniku błyskotliwej dedukcji natychmiast wziąłem prysznic. W torbie nie znalazłem żadnej bielizny, więc kazałem sobie przysłać i wkrótce mi ją dostarczono.

Zapomniałem powiedzieć, że w barze wisiała fotografia. W pierwszej chwili rzuciłem na nią okiem od niechcienia. Ot, fotografia, jakie widuje się w tanich magazynach ilustrowanych: Kapitan W.F. Hunkelberry-Fawcett "Twardy" z młodą przyjaciółką na balu myśliwskim w Bonktown...

Dopiero potem zauważyłem, że kelnerem jest wuj kierownika, świętej pamięci stary Kaufmann. Kazało mi to przyjrzeć się lepiej brodatemu pajacowi, który siedział przy stole i w błazeńskim uśmiechu szczyrzył zęby do dziewczęcia po przeciwnej stronie. No tak, oczywiście, nasze grzechy zawsze nas dopadną, bo Ten z Góry ma notes i aparat fotograficzny i nie pozwala nam pozować, tylko po prostu strzela fotkę, kiedy zechce, i zawsze na naszą niekorzyść. Był to Wilfred Barclay, sławny Wilf, który wyświadczył barowi taką przysługę, że go tam powiesili... Uchwycony w momencie, kiedy, choć był pijany, nie mógł się przewrócić, bo siedział; sfotografowany przez starego kumpla, mięsistego Ricka L. Tuckera, kudłatego Aina, silnego mężczyznę emanującego ciepło, pachnącego dezodorantem i z wypchanym rozporkiem... dlaczego tego nie ma na zdjęciu? Byłby chlubą każdego zakładu. Mam na myśli rozporek.

I ta dziewczyna. Tak, dziewczyna. Taki jest ten flesz. Odbiera twarzy życie i kolor, każdej twarzy, nawet najdelikatniejszej, i dlatego to nie była Mary Lou, która uwielbiała swojego wielkiego siłacza i starała się za wszelką cenę zamknąć magiczne koło... O, nie! To była lalka, modelka, plastikowa imitacja dziewczyny z białą twarzą pod zamarzną chmurą czarnych włosów, bez cienia delikatności. A mówi się, że aparat fotograficzny nie oddaje prawdy Oto i my, Wilf-klown, niepoprawnie lubieżny, chociaż od kilkunastu lat powinien już mieć swój rozum, i dziewczyna ze szminką równie czarną jak włosy, o tępej, płaskiej twarzy, która dokładnie odzwierciedla umysł nieciekawy jak kawałek sznurka! Zamknąłem oczy; nie mogłem na to dłużej patrzeć.

A jednak ten pajac na zdjęciu nie był tak odrażający jak mężczyzna, którego oglądałem w lustrze. Z tego wyszłoby półtorej fotografii! A Mary Lou? Co zrobiły z niej lata nieudanego małżeństwa, lata z Hallidayem? Pomyślałem, że Rick

powinien nam zrobić nowe zdjęcie, przed i po, ale oczywiście to było to samo co z Lucindą: są sytuacje, w których nie da się uchwycić dwóch pożądanых twarzy na tym samym zdjęciu, bo to po prostu niemożliwe. Więc wróciłem do siebie, włożyłem czystą bieliznę, upewniłem się, że w Weisswaldzie nie można kupić gotowego garnituru, otworzyłem drzwi na balkon w "moim" salonie, rzuciłem okiem na Spurli, wziąłem głęboki oddech, przeszedłem przez balkon, chwyciłem się oburącz balustrady, pochyliłem się i spojrzałem w dół.

W ciągu pięciu sekund przeżyłem to, co potocznie nazywa się piekłem. Potem nie czułem już nic, oprócz masy przestrzeni i uderzenia o dno, co przyniosło mi nawet pewną ulgę. Zakomunikowałem więc sam sobie:

- Dorosłość.

I każdy się zgodzi, że czas był najwyższy! Wróciłem do salonu zamykając za sobą drzwi na balkon. Błat stołu na środku pokoju wciąż błyszczał, jakby za sprawą ducha grubej sprzątaczk, chociaż była tu zapewne nowa gruba sprzątaczk. Na stole znajdował się tylko jeden arkusz papieru: menu obok otwartej butelki Dole. Posłałem jej tęskne spojrzenie. Byłoby niedobrze, gdyby Rick zastał mnie w stanie upojenia i trzęsączki. Jeżeli mam panować nad sytuacją, rozumowałem, muszę zmobilizować w sobie całą posiadaną stanowczość. Wytrzymałem spojrzenie butelki... nie takie to proste, jak się wydaje... i wybrałem się na poszukiwanie ciepłej odzieży. Kierownik wyposażył mnie w sweter i kurtkę, pozostawione przez gości hotelowych. Aż dziw bierze, co potrafią zostawić różni pijani nicponie, którzy tylko czekają na *apres ski*. Mój sweter miał z przodu napis TRY ME , wrobiony na drutach zupełnie jak OLE ASHCHAN Ricka. Ruszyłem w drogę bardzo ostrożnie (pamiętając, iż należy się zaaklimatyzować), z postanowieniem, że będę spacerował tak długo, aż nadejdzie rozsądna pora na drinka. Alkohol rzeczywiście rozluźnia trochę ten stalowy drut, ale, jak już mówiłem, albo jak sami mogliście wywnioskować, niezmiennie rod-ni problemy. Doświadczenie nic tu nie pomaga. Problemy wcale nie maleją z wiekiem, lecz narastają. Gdybym miał mocną głowę na starym karku, ha et cetera. Szedłem w górę inną ścieżką, z której niedawno zsunął się śnieg. Tą samą, po której szliśmy razem przed laty i którą znosił mnie Rick. Nic poznałbym jej, gdyby była pod śniegiem, znałem tylko kierunek. Przedtem, z powodu mgły, nie widziałem ani kawałka krajobrazu. Teraz powietrze było przejrzyste jak przestrzeń kosmiczna. Mimo to dopadła mnie dolegliwość znana pod nazwą potrzeby zaaklimatyzowania się. Poruszałem się coraz wolniej, wreszcie przystanąłem. Nie

rozglądałem się zbytnio; przysiadłem na jakimś kamieniu czy występie skalnym i czekałem, aż serce i oddech trochę mi się uspokoją. Złapałem się na tym, że wsłuchuję się w odgłosy wody. Strumień mówił tylko jednym głosem, tym beztrosko gaworzącym. Otworzyłem oczy i kiedy spojrzałem w dół, wierście lub nie, rozpoznałem głaz, na którym siedziałem, a tuż przed sobą miałem tę barierkę. Był też i strumień. Oczywiście wyglądał inaczej, przede wszystkim był znacznie szerszy, poza tym wypływał z zasy pod lodową jamą, która, że tak powiem, uciskała wodę, stąd tylko jeden wysoki głos.

Rozejrzałem się wokół. Szczęka musiała mi chyba opaść aż na piersi. Nie mogłem się mylić. Dostrzegłem zatopione półbelki, które wkopano w ścieżkę dla odprowadzania wody. Głaz stanowił niezbitą dowód. Zbyt wielki, żeby go ruszyć bez dynamitu albo ludzi i maszyn, wystawał ze zbocza bez wątpienia od kilku okresów geologicznych. No i tak, jasne, przecież kiedy byliśmy tu poprzednio, słyszałem we mgle dzwonki krów, ale zabrakło mi przytomności umysłu, żeby pojąć, co to znaczy. Stary Don Kichot na drewnianym koniu.

A któż to, pomyślałem, postanowił zrobić coś teologicznie dowcipnego? Na blisko dziesięć sekund oślepiło mnie uczucie ponizenia i wściekłości... nie od razu była to wściekłość na Ricka: przecież to jeden z tych momentów kiepskiej komedii zesłanych przez los, jak upadek z konia prosto w gówno czy wyciągnięta ze śmietnika Lucinda. Mniej więcej raz na dziesięć lat trafia się w życiu urodzonego kłowna prawdziwy> naturalny numer cyrkowy. Teraz doszedł do tego nowy, może najlepszy ze wszystkich... kłown wiszący na skale.

zawieszony we mgle, ocalony od zagłady przez własnego biografa... odzyskany, pożyteczny, żeby zapominał z wypiekami na twarzy w bezsenne godziny, kłown natury, gdyby nie Rick agent bezpośredni, Rick dostępny, Rick-przedmiot, Rick-Tryk...

Tuż poniżej miejsca, gdzie zawisłem we mgle, rozciągała się łąka, a na niej pasły się krowy. Dzyń, dzyń. Zorientowałem się, że stoję z zaciśniętymi pięściami i drzę.

Odwrociłem się i zacząłem schodzić ostrożnie w kierunku hotelu... ostrożnie, bo nie chciałem, żeby mojemu staremu sercu przydarzyło się coś paskudnego na tej wysokości, musiałem dożyć do przyjazdu Ricka. Więc wykonałem parę ćwiczeń oddechowych, żeby mimo przesłaniającej oczy wściekłości dojść jednak do stanu równowagi. Dzwoniło mi w uszach, a serce łomotało w gardle. Nie pamiętam ani ścieżki prowadzącej do domu, ani otwierania drzwi. Pamiętam tylko, że spojrzałem na butelkę Dole i postanowiłem zostawić ją w spokoju. Poinformowałem nową grubą i młodą

sprzątaczkę, która postoi za barem przez jedno czy dwa pokolenia, a potem umrze, że zamierzam się zaaklimatyzować, jasne, tak właśnie powiedziałem, ponieważ spotkanie z Rickiern odbędzie się przy dziesiątym stopniu zasilania. To też jej powiedziałem. Podejrzewam, że nic nie rozumiała. Umieściłem na drzwiach wywieszkę "Nic przeszkadzać", łyknąłem garść pigułek i odjechałem, może trochę za daleko. Spałem od czwartku wieczorem do południa w piątek. Potem się obudziłem. To lekkim lunchu, złożonym z Dole, bo postanowiłem jednak zaryzykować, ponownie próbowałem swoich sił na ścieżce i rzeczywiście, nieco się już zaaklimatyzowałem, ponieważ dotarłem do głazu bardzo szybko, usiadłem i syciłem swoją wściekłość, tak jak podsyca się ogień kawałkami drewna. Nie wiem, jak długo to trwało. W końcu jakoś ją w sobie zdusiłem i wróciłem do hotelu. Oczekując przyjazdu Ricka chodziłem tam i z powrotem po salonie. Zapomniałem, że piątek to nie sobota, i musiałem zajrzeć do swojego dziennika, żeby się upewnić, ale tam też panował chaos, więc znów zażyłem parę pigułek i znów odjechałem.

Sobotni poranek nic był zbyt przyjemny. Nic, dajmy spokój angielskiej powściągliwości. Sobotni poranek był cholernie obrzydliwy. Czułem w sobie tak silne napięcie tego drutu, że chyba wszyscy - poza mną, były tam jeszcze trzy osoby, ale udało mi się je zignorować - musieli słyszeć, jak nadchodzę. Przypominam sobie jednak, że prosiłem bratanka kierownika - to on był kierownikiem - żeby pozwolił mi skorzystać ze swojej maszyny do pisania, bo w Weisswaldzie nie ma sklepu z maszynami. Napisałem starannie przemyślany dokument. Położyłem go na środku lśniącego stołu. Wyglądał tam bardzo przyjemnie i gdy się na niego patrzyło, czas szybciej mijał, więc usiadłem, tyłem do okna, w okularach, które zasłaniały mi górną część twarzy, i pociągałem od czasu do czasu z nowej butelki Dole, ale nie za wiele, ponieważ musiałem zachować pewien stopień trzeźwości.

Pukanie do drzwi rozległo się gdzieś po południu. Nie było to pukanie zdecydowane. Rozmyślnie zostawiłem drzwi zamknięte tylko na klamkę, żeby nie było żadnych pozorów, że wyświadczam mu uprzejmość.

- Proszę.

Tak, to był Rick, nie ten zapamiętany, lecz prawdziwy. Wszedł ostrożnie, wypełniając sobą całą przestrzeń między framugami, tak samo olbrzymi, ale jakby w zmienionym kształcie. Być może zapadła mu się nieco klatka piersiowa. Stał w drzwiach i oślepiiony światłem mrużył oczy. Potem rozglądał się uważnie po pokoju, jakby podejrzewał zasadzkę. W końcu spojrzał na mnie.

- To naprawdę ty, Wilf? - Jasne.

Rozciągnął usta, ukazując mnóstwo amerykańskich zębów. - Mam nadzieję, że już się z a k i m a t y z o w a ł e ś, Wilf?

- Jasne.

Dostrzegł papier. Niesamowite: oczy rozszerzyły mu się prawie tak jak usta. Można by pomyśleć, że nie miał wcale powiek, tylko... o, potęgo obserwacji bazarza!... tylko same rzęsy naokoło oczu. Smakowity kąsek ten nasz Rick.

- Wilf, widzę twój podpis! - Jasne.

Ponieważ nie mógł już szerzej otworzyć oczu, wybałuszył je. Skinąłem głową.

- Przyjrzyj się dobrze, synu. Wchodzimy w zwanie. Nie zamierzam cię unikać jak na Pia-zza Navona.

Jego oczy wróciły na swoje miejsce. Widziałem, jak pogłębiają się zmarszczki na widocznej części jego czoła. Czy opisałem wam już włosy Ricka? Otóż profesor R.L. Tucker zmienił uczesanie z włosów lekko zapuszczonych na fryzurę afro. Naprawdę. Były kręcone i znacznie jaśniejsze niż przedtem. Zauważyłem też inne zmiany, na które zwracają uwagę jedynie wytrawni obserwatorzy, na przykład na ubranie. Miał białe spodnie z rozszerzonymi u dołu nogawkami i cekinami na klinach. Tak mnie rozbawiły jego oczy, że przeoczyłem całą resztę i dopiero po chwili spostrzegłem, że jego koszula czy raczej podkoszulek, jak zwykliśmy to nazywać w okolicach trzydziestego południka długości geograficznej zachodniej, wycięta jest z przodu aż do miejsca, gdzie mógłby widnieć pępek, gdyby go nie zasłaniała ta strzecha, gęstwina, ta plątanina Tuckerowskich włosów. No, ale skoro ma się włosy na piersiach, to nie powód, żeby to ukrywać, że się tak wyrażę. Elegancja jego stroju karała mi jednak na powrót poczuć się Brytyjczykiem, mimo tego grzbietu środkowoatlantyckiego, pod który się podszywałem.

- Zechce pan usiąść, profesorze?

Opadł na fotel na wprost mnie, aż zaskrzypiało. - Jak się udał pobyt w Rzymie, profesorze?

- Mówiłeś do mnie po imieniu, Wilf. Jaki pobyt w Rzymie? - No, jak to? Zaraz po moim wyjeździe stąd, ze sto lat temu, pojechaliście za mną do Rzymu. Sprytnie pomyślane! No i oczywiście łut szczęścia.

Ale Rick nie słuchał. Znowu wpatrywał się w arkusz papieru na wypolerowanym blacie stołu, jakby się bał, że papier może lada chwila odfrunąć. Dla wyjaśnienia sytuacji wziąłem dokument do ręki.

- Nie ma absolutnie żadnego powodu, żebyś to robił, Wilf. Zapewniam cię.

0- Rick, co się stało, że wyrażasz się w taki sposób? To zapewne wpływ wieloletniego pobytu w Anglii.

- Wilf, co się stało, że wyrażasz się w taki sposób?

- Mam na myśli ten złagodniały ton.

- Dajmy- spokój geografii, Rick. Powiedz mi tylko, pytam ciekawości, co robiłeś wtedy w Evorze?

- Zamrugał. Nie wytrzeszczał już tak oczu.

- Gdzie jest Evora, Wilf? Dajmy spokój geografii, Rick. Powiedz mi tylko

- Nic udawaj, Rick. Chciałbym tylko wiedzieć co tam robiłeś. No cóż, widzę, że postanowiłeś nie wyjaśniać swoich zamiarów. Dobrze, niech będzie. Na razie zainteresuje cię zapewne wiadomość, że zdążyłem się już zaaklimatyzować. Przeszedłem się dwukrotnie do tamtego miejsca.

- Widziałeś, prawda? Wiedziałaś, wtedy we mgle, kiedy walczyłem o życie, srałem w portki ze strachu, że spadnę, gdy tymczasem tuż przede mną w

odległości najwyżej jarda, rozciągała się wielka łąka, hala, jak to się mówi. Gdybym spadł, to nie dalej jak jard niżej, a gdybym chciał spadać dalej, to musiałbym pognać przez łąkę i rzucić się z przeciwnego jej krańca. Nie kręć tak głową. Wiedziałaś. Poszedłeś tam dzień wcześniej, żeby zbadać okolicę i zaprowadzić mnie w to miejsce...

- Zgoda, być może nie zaaranżowałeś tego spadającego kamienia, ale i tak ci się niezwykle poszczęściło, prawda? Ta mgła, gład, który zniszczył barierkę, i to, że chciałem się na niej oprzeć. Przyznaję, szybko pan myśli, profesorze, wystrychnąłeś mnie na dudka, Rick, ty sukinsynu...

- Nic, skądże, nie wiedziałem, skąd mogłem... nie...

- Cytuję: "Zdaje się, że zawdzięczam ci życie", koniec cytatu.

- Ale... Przecież to ty powiedziałeś, Wilf, nie ja, i...

- Rzecz jasna, przyczynił się do tego również ten stary robol składając jaja pod moją skorupą, niewątpliwie tak, ale na Boga!, ty przecież byłeś po stronie stworzenia, tak czy nie?!

- Ja nie...

- Gdyby nie mój zdrowy tchórzowski odruch, żeby wziąć nogi za pas, Bóg jeden wie, co by się mogło zdarzyć.

- Wilf, pozwól mi coś powiedzieć. Pamiętaj, że ja doszedłem tylko pod Hochalpenblick. I tylko raz za dnia. A potem z tobą, podczas mgły. Przecież n i e m o g ł e m znać drogi krok po kroku i wiedzieć, co jest za mgłą, musiałbym być chyba komputerem.

- Wiedziałeś.

- Dobra, wiedziałem. Ale to, co wiedziałem, opierało się na przypuszczeniach i nie mogłem mieć pewności. Wierz mi, Wilf, myślałem, że nadstawiam karku, i to za ciebie. Przysięgam.

- Słowo harcerza.

- Sprawiasz mi przykrość,, Wilf.

- To się wyplącz. Jak skończysz, zajmiemy się psem. Dziwne, ale wydaje mi się, że jego oczy rzeczywiście zwilgotniały i, jakby chciał mnie przekonać, wyjął skądś chusteczkę i wytarł je.

- Po tylu latach, Wilf...

- Zamknij się, stary. Nie chcesz tego papieru? Zastanawiał się, pociągając nosem i wycierając oczy. Wreszcie odezwał się wątłym głosem.

- Chcę, Wilf.

- No to fajnie! Bomba. Świetnie, Tucker. - Mówiłeś do mnie...

- Wiem, Tucker. Do rzeczy. Opowiedz mi teraz o Hallidayu. Nie oszczędzaj mi niczego. Mnie nie przestraszysz, rozumiesz. Chcę się dowiedzieć wszystkiego, ze szczegółami. Tym razem zbierał się w sobie przez dłuższą chwilę.

- On jest wspaniały... ci, którzy go znają...

- Mary Lou.

- Wiesz, e robiła dyplom z układania kwiatów i bibliotekoznawstwa, wciąż ma wielkie pole do popisu w jego zbiorach.

- Włączył ją do kolekcji.

- - Nie. Chodzi o rękopisy.

- - Ha et cetera.

- Wiem, Wilf, że me interesujesz się historią literatury, ostatecznie stanowisz jej część...

- Nie interesuje mnie historia, kropka. Powinno się ją trzymać w zwojach Halliday! Jeszcze o Hallidayu!

- Na przykład za to zapłaciłby każdą sumę. Sięgnął po napisany przeze mnie dokument. Dałem mu po łapie i odsunąłem papier.

- O, nieładnie! - Ależ, Wilf...

- Skoro już o tym mowa, to dlaczego tak się przebrałeś, jakbyś się urwał z cyrku?

Spojrzał w dół na strzęp odzienia, który mógł dostrzec poniżej tych swoich chaszczki. Mary Lou łkała w te chaszczki... ale czy rzeczywiście? Czy to fakt, czy wyobraźnia? Ze zdziwieniem -zauważyłem, że nie potrafię rozróżnić między jednym a drugim.

- Co ci się nie podoba w moim ubraniu? Kiedy mnie ostatnio widziałeś, miałem na sobie to samo, a nawet jeszcze więcej. Nosilem wtedy naszyjnik. Zdjąłem go teraz, bo mi się wydawało, że Weisswald nie jest właściwym miejscem.

- Nie udawaj głupka. - No przecież nie jest.

- Nie o tym mówię. Kiedy cię ostatnio widziałem, nosiłeś się tradycyjnie jak Beatlesi... Nic wykręcaj się, Rick. Ja się na tym znam.

- Ty też przestań się wykręcać. Wymachiwałeś do mnie tym papierem!

- Kiedy? Gdzie?

- W Marakeszu. Nie pamiętasz? - Słuchaj, Rick...

- I powiem ci, Wilf, że to niezbyt ładnie z twojej strony. 'rolko ja zawsze byłem zdania, że ty i jeszcze parę innych osób korzystacie z pewnych przywilejów.

Zajrzałem mu głęboko w oczy. Miały wyraz podobny do oczu polityka, który przeżył więcej niepokojów, wiary, uległości, ambicji, niepewności, niż był w stanie znieść. Wokół źrenic pojawiło mu się dużo białego. Nie jest to wprawdzie znak niezawodny, ale mimo to świadczy o napięciu, zbliżonym do tego, co mówiłem o piekle. Może to również oznaczać ból lub strach. Czemu nie? Człowiek gryzie psa.

- Wobec tego opowiedz mi o Marakeszu, Rick.

- Czy to konieczne? No, dobrze. To było przed Hotel de France. O Boże, Wilf! To jest gdzieś w twoim dzienniku, wystarczy poszukać!

- Jeszcze. Mów- dalej. Więcej szczegółów!

Rick rozłożył szeroko ręce. 'hen gest tak daleko odbiegał od jego stylu, że pojąłem, jak bardzo jest zrozpaczony.



- Stałeś na balkonie, na lewo od głównego wejścia... na pierwszym piętrze. zobaczyłeś mnie. Śmiałeś się i wymachiwałeś do mnie tym papierem. Po czym zaraz zniknąłeś wewnątrz... -zrobiłeś mi kawał! Ja się znam na kawałach, Wilf.

- Skąd wiedziałeś, że ten papier zawiera nominację na wykonawcę mojego literackiego testamentu?

- A cóż innego mógł zawierać? Wcale się nie obraziłem za ten kawał, Wilf, tylko wiesz... jak już mówiłem, poszedłem do recepcji, gdzie mi powiedziano, że wcale tam nie mieszkasz. Pomyślałem, że pewnie kogoś odwiedzasz, więc wszedłem na pierwsze piętro i pukałem do drzwi, nasłuchując.

- I wszyscy byli tobą zachwyceni.

- Mogłeś mi pomóc. Kawał to kawał, ale kiedy mnie wyrzucali... wiesz, Amerykanina, Wilf. "ho bardzo bolesne.

- Rick. - No?

- Kiedy to było?

Zamyślił się, marszcząc brwi.

- Sześć... nie, siedem miesięcy temu.

- Słuchaj, ostatni raz widziałem cię ponad rok temu. Szedłeś kruzgankiem hotelu w Esorze. Miałeś na sobie jasnoszary letni garnitur. Szedłeś w przeciwnym kierunku, więc nie mogłeś mnie zobaczyć. Musiałem natychmiast wyjechać.

- Nigdy nie...

- Cisza! Gdybym powiedział, że zamierzam ci wyznać całą prawdę, przysięgając na wszystko, w co wierzę: upał, światło i dźwięk, nietolerancję, konieczność... uwierzyłbyś? - Tak. Tak, uwierzyłbym!

- No to posłuchaj, stwierdzam -r całą mocą i całą dosłownością, na jaką mnie stać: Nigdy nie byłem w Marakeszu! Milczenie.

Wytrzeszczył oczy. To znaczy białka wokół źrenic najpierw' rozszerzyły się, a potem natychmiast skurczyły. Wpuścił powietrze z płuc i położył obie dłonie płasko na stole. Rozmyślnie przewrócił sutym oczom kształt normalnej elipsy lub półelipsy, z częściowo przysłoniętą źrenicą. wyglądał tak, jakby nic tyle wypuścił z siebie powietrze, lecz jakby cały skurczył się do swoich prawdziwych rozmiarów i zaprzestał trwających już jakiś c-nas starań o to, żeby wyglądać imponująco. Zaczął się uśmiechać. Wciąż kiwał głową.

- No tak, rzeczywiście. Wszystko rozumiem, Wilf. To był ktoś inny. Tak dużo myślałem o tobie i o tym, że muszę się zająć twoją biografią, i że pan Halliday ciągle się jej domaga, że kiedy w końcu zebrałem tu i tam pewne wiadomości i zobaczyłem kogoś bardzo do ciebie podobnego...

- Myśliwy i jego trofeum.

- ...w dodatku masz brodę, Wilf, a wszyscy Arabowie też mieli brody...

Kiwałem głową w tym samym rytmie co on. - Pewnie patrzyłeś pod słońce.

- Może być, może być, Wilf. Jasne. Południowy zachód zaraz po sjeście, słońce stało równo nad hotelem, nad... ten człowiek... śmiał się i wymachiwał papierem...

- Widzisz? Proste.

- Ale w tej chwili wiem, gdzie jesteś... - Nie wiesz, gdzie jestem. Nikt nie wie.

- No oczywiście, nie ma przecież potrzeby... możemy teraz być w stałym kontakcie, skoro jesteś...

- Nie wiesz, kim jestem! Nikt nic wie, kim jestem!

- Nic, nie. Oczywiście, że nikt. W porządku. Słuchaj, może lepiej...

- "Tylko Halliday. On wie. Nikt inny. - Może jednak...

- Powiedz "hau, hau".

- Nie rozumiem. Chcesz się w coś bawić?

- Tak, profesorze. Proszę powiedzieć "hau, hau". - Hau, hau.

Odetchnąłem głęboko i rozparłem się wygodnie w fotelu. Rozłożyłem dokument i przeczytałem od początku do końca. Wydał mi się wystarczająco rzeczowy, chociaż przyszło mi na myśl, że właściwie powinienem był go przedstawić adwokatowi. Pomyślałem z rozdrażnieniem o zmarnowanym czasie i wysiłku. Chociaż w Zurychu są przecież jacyś prawnicy czy adwokaci. Byłem jednak zły na siebie i spochmurniałem.

- No, to teraz twoja kolej, Wilf, tak? - Jaka kolej?

- No przecież gramy, prawda? Hau, hau. - Ach, tak! Ja nie mówię nic.

- Jak to, Wilf?

- Wszystko w swoim czasie. - A ten papier, Wilf?

- Papieru też nie dostaniesz. No, Rick, nie nadymaj się tak, przyjacielu. Bo cię mój kumpel, bratanek kierownika, i ta nowa gruba kobieta wyrzuca. Chciałem powiedzieć, że nie dostaniesz, tego egzemplarza. Ale jak będziesz, że tak powiem, grzeczny, to dostaniesz śliczny dokumencik z podpisem i pieczęcią...

- Wilf, nie wiem, jak ci...

- ...gdzie ci i kiedy ci. Niestety. Konieczne są pewne przygotowania.

- Wszystko co zechcesz! Wiesz, zostało mi jeszcze niecałe dwa lata, Will. Nie masz pojęcia, jak...

- To jest aż tak źle?

- Co tylko zechcesz! Tak..

- Więc, jak już ustaliliśmy, muszę dokładnie poznać cały układ między tobą i wiesz kim.

- Panem Hallidayem?

Przytaknąłem z namaszczaniem. Rick podrapał się po nosie z zakłopotaną miną. Czuł się jednak odprężony. Szczęśliwy.

- To całkiem proste. Sfinansował mnie na siedem lat, żebym mógł się poświęcić...

- A na jak długo dostał Mary Lou?

- Mary Lou przestała dla mnie cokolwiek znaczyć. - Nie korzystasz nawet od czasu do czasu?

Zapadło milczenie, które po chwili usłużnie przerwałem. - Surowy szef, ten pan Halliday. A więc, jeżeli w ciągu siedmiu lat mnie nie złamiesz i nie zdobędziesz autoryzowanej biografii... niekompletnej, oczywiście, ponieważ można powiedzieć, że jeszcze jakoś ziپیę... to będzie płacz i zgrzytanie tych pięknych zębów.

- Halliday przestanie łożyć na badania. Ale wiesz, nie jestem tak zupełnie bezradny. Mogę uderzyć gdzie indziej... - Nie bądź głupi. Jest tylko jedno źródło. Kiedyś, przed

laty, myślałem, że powiesz Guggenheim albo Fulbright, ale nie. Ona nie odeszłaby tylko dla pieniędzy, Rick, ja nie bylbym taki zdenerwowany, spięty i ty też nie. Widzisz? To tak, jakbyś chciał służyć i mnie, i jemu czy czemuś tam, jakbyś był na usługach Boga i Mamony. Zgadnij, które jest które.

- Obiecałeś ten albo podobny dokument! Nie złamiesz przecież danego słowa?

- Nie. Ale nie dałeś mi dość czasu na wyłożenie warunków.

- Już nie pamiętam. To straszne.

- Nie dostaniesz tego dokumentu teraz i nie dostaniesz go tutaj. Musisz najpierw wykonać kilka zadań.

- Co tylko zechcesz...

- Zamieram ci dać pozwolenie na napisanie oficjalnej, autoryzowanej biografii Wilfreda Barclaya, ty szczęściarzu. Podam ci istotne informacje. Mianuję cię opiekunem prasowym wszystkich materiałów na mój temat.

- Przysięgam, że...

- Będę sprawował osobisty nadzór nad każdym słowem. - Oczywiście, oczywiście!

- Spotkamy się w miejscu i czasie wyznaczonym przeze mnie.

Ponownie wypuścił z siebie powietrze. - Ale... Wilf... stan twojego zdrowia...

- Chcesz powiedzieć, że mógłbym, na przykład, wyzionąć ducha?

- Nie, ale twoja pamięć... nie masz już takiej pamięci, jak kiedyś. Pisarze są roztargnieni, dobrze o tym wiesz, Wilf. - Nie na tyle, żeby postawić wszystko na jedną kartę, tak

jak ty. Widzisz, mam cię w garści. Zezwalam ci. Tylko tyle. Ty masz pozwolenie.

Ja - zobowiązanie... Tylko tyle.

- Ale, Wilf!

- Jutro rano znowu wyjeżdżam. Nie zamierzam już nigdy powrócić do tego miejsca, gdzie... Skontaktuję się z tobą... Nie wolno ci za mną jechać. W przeciwnym razie umowa jest nieważna. Wcześniej czy później będziesz mógł mnie przedstawić Hallidayowi.

- To będzie bardzo trudne.

- Ale ty, Rick wspaniały, potrafisz to załatwić. Masz przecież wejście.

- Ale słuchaj, Wilf, pan Halliday nikogo nie dopuszcza... chyba że naprawdę jakaś piękna...

- Żadnych chłopaczków? Żadnej sodomii? Żadnych innych zbrodni, tortur czy morderstw? No to po co mu te jego miliony? Tylko dla *E2uige Weib*, czy jak się to tam nazywa? Przecież ty wiesz, że my, ludzie prawdziwie oświeceni, wracamy do prymitywnych praktyk dla odzyskania zdrowia. Jeden z... mój drogi, czuję w powietrzu jakiś wykład.

- Zaczekaj, zaczekaj! Wyciągnę magnetofon... Wysunął z rękawa aparat fotograficzny.

- To jest magnetofon?

- Oczywiście. Zdjęcia też tym można robić. Zawsze go trzymam w rękawie, kiedy jestem w pobliżu ciebie. Tylko że czasem nie nagrywa wszystkiego, więc będzie lepiej, jak go tu postawię na stole.

- Nigdy mnie chyba nie nagrywałeś!

- Owszem, Wilf, zawsze, nawet podczas tej kolacji, dawno temu, u ciebie w domu. Żałuję tylko, że nie zarejestrowałem tego wieczoru, kiedy się poznaliśmy.

- Nie wierzę!

- Mam nawet wcześniejsze nagranie. Oczywiście nie na tej zabawce, ale jeszcze z moich studenckich czasów. I przysięgam, że od tamtej pory zmieniło ci się wszystko, nawet akcent!

- Nie rób z siebie większego głupka, niż trzeba. Mój akcent jest i zawsze był międzyplanetarny.

- Nie, Wilf.

- Mówisz, że wcześniej? Zanim zjawiłeś się u mnie i Liz? - Kiedy byłeś w Stanach. Dam ci kiedyś posłuchać. - Nie. Po moim i twoim trupie. Skasujesz to wszystko albo koniec z naszą umową. - Te nagrania nie należą do mnie, Wilf.

Zapadło długie milczenie, podczas którego trawiłem tą informację. Jasne, Halliday trzymał nagrania w fundacji Barclaysa. Razem z Mary Lou stanowiły część umowy. Pan daje i pan odbiera, przekłete niech będzie jego imię, jakiegokolwiek sobie wybierze. Kto wie, gdzie147

on jest? Kto go potrafi znieważać, zbić z tropu, zaatakować, obalić? Możemy najwyżej ciskać kamieniami w jego kapłanów, licząc na to, że to do niego dotrze.

- Wilf, miałeś coś powiedzieć.

- Ach, tak. Wykład. Na temat rytuałów przejścia. To znasz, Rick, więc będę mówił do siebie. Z rytuałem przejścia mamy do czynienia na przykład wówczas, gdy dochodzimy do wniosku, że jeśli potrzebujemy pinezki, to zamiast grzebać w mamusinej miseczce, w popielniczce czy w bibelotach nad kominkiem, możemy iść do sklepu i kupić całe pudełko. Inny rytuał przejścia ma miejsce wtedy, gdy coś z premedytacją zabijamy, na przykład psa. A właśnie, czego się napijesz?

- Chyba wszystko jedno.

- Bourbon? Dowiedziałem się, że Bourbon znowu jest w modzie. A może wódka? Whisky? Ja nadal preferuję wino.

- Poproszę wino, Wilf.

- Mając przed oczami wizję kosmicznego gniewu, nietolerancji... do diabła, Rick, nie taką wizję, jak to, co malują, powiedzmy, we Włoszech, ale prawdziwą jak skała. Każdy wie, że będzie trwała wiecznie jak brylanty. To właśnie jest rytuał przejścia.

- Tak, Wilf. - Nagrywasz? - Chyba tak.

- Sprytny aparacik! Napiłbym się kawy. Czy mógłbyś przynieść mi kawę, Rick? Tylko po to, żeby pokazać tej maszynie, jak bardzo szanujesz starca?

Wybiegł z pokoju ochoczo, jak skarcone dziecko, które już odzyskało pewność, że słońce znowu świeci. Przyglądałem się aparatowi. Wydawałem z siebie dziwne dźwięki, nie wiedząc, że część fotografująca nie zwraca uwagi na miny. Fick wrócił z tacką i nakryciem do kawy dla dwóch osób.

- Najpierw napijemy się wina, stary przyjacielu. - Jak sobie życzysz, Wilf.

- Nalej wina do jednego z tych spodków, Rick. - Słucham?

- A jak myślisz, po co mi ta kawa? Żeby ją wypić? Szczerze mówiąc, równie dobrze mogłaby to być herbata.

Rick postawił tackę na stole. Oczy znowu wychodziły mu z orbit. Opadł na fotel.

- To jest rytuał, synu. A po spełnieniu rytuału nic nie wygląda już tak samo. Chodzisz spać, potem wstajesz i robisz to w kółko, aż do usranej śmierci, i nic się nie zmienia. Ale to jest co innego, prawda? O czym to rozmawialiśmy? A no, więc, jak mówiłem, dostaniesz upoważnienie. Jaką mam jednak gwarancję, że ty dotrzymasz umowy? Powiadasz, że zrobisz, co zechcę? No to w dowód tego... taka mała przyjacielska próba, Rick. Weź spodek i nalej do niego trochę Dole.

Czekałem zaciekawiony. Nie ruszył się.

- No dalej, chłopcze. Śledzisz mnie, nagrywasz, nękasz, wreszcie kusisz, tak, kusisz : prześladujesz, kupujesz mnie i sprzedajesz, a wszystko dla tej twojej parszywej literatury. Miałbyś się teraz cofnąć? Jak to? Pomyśl o rozdziale poświęconym akcentowi Wilfa!

Dyszał ciężko. - Jasne.

- Co znaczy jasne?

- Masz akcent dzemojada.

- Jesteś zbyt obcesowy, Rick. Mówiłem ci, że międzyplanetarny.

- Nie, Wilf, nie mówię o tym co teraz, tylko o tym co kiedyś.

- A co ty możesz o tym wiedzieć?

- Mam dobry słuch. Miałem. Dlatego wybrałem fonetykę. Byłem naprawdę dobry. I wciąż jestem dobry. Tylko to nie ma przyszłości... Nieważne. W każdym razie mój profesor polecił mi nagrać próbkę twojego języka dla archiwum.

Z trudem brnąłem przez college i nie mogłem być obecne na spotkaniu. Nagranie zrobił kolega. Podłożył magnetofon w Klubie Wydziałowym pod fotelem przeznaczonym dla gościa. Słuchając cię potem nie mogłem uwierzyć, że to ty. Te dyftongi! Ta intonacja... mój Boże! Istna chińszczyzna.

- Słuchano mnie z szacunkiem i w skupieniu!

- Nie, Wilf. Słuchano nie tego, o czym mówiłeś, tylko jak mówiłeś. A dopiero potem... tego, co mówiłeś.

Podniósł się i chwytając brzeg stołu pochylił się nieco.

- I musisz wiedzieć, Wilf, że to nagranie stało się potem atrakcją wielu przyjęć. Puścili to na moim przyjęciu dyplomowym. Nie, Wilf, to nie była moja sprawka, więc nie miej do mnie pretensji. Po prostu ci o tym mówię. I prawdę powiedziawszy, na tym przyjęciu słuchałem po raz pierwszy tego, co mówisz, i nie zajmowałem się fonemami. Od fonemów robiło mi się już wtedy niedobrze.

Zorientowałem się, że też stoję. Opadłem z powrotem na fotel.

- Co za świństwo. Prawdziwe świństwo.

- Mylisz się, Wilf. Pomijając dźwięki, nie było w tym nic śmiesznego, gdyby nie zbieg okoliczności. Rozwodziłeś się na temat angielskiego systemu społecznego... że Brytyjczycy są Grekami, a Amerykanie Rzymianami... I dalej opowiadałeś o "spartańskiej nieprzekupności" urzędników państwowych. Dawałeś przykłady ich bezgranicznego poświęcenia, jak to, że nacjonalizację przemysłu zorganizowali tradycyjnie konserwatywni urzędnicy, zamiast socjalistów. Tylko że niedługo przed tym moim przyjęciem dyplomowym, na którym mój kumpel puścił tę taśmę, dowiedzieliśmy się właśnie, że wasz aparat państwowy roi się od Philbych i im podobnych. Zabawne? Słuchaj, ludzie pokładali się ze śmiechu. Ale byli też wkurzeni. Bo ci twoi urzędnicy państwowi nie tylko was, Anglików, wepchnęli w gówno. Nas też wepchnęli! Taki jest ten wasz akcent!

Ze zdziwieniem stwierdziłem, że trzymam się blatu stołu tak samo jak on.

- To było bardzo nierozsądne z twojej strony, Rick, jeśli zechcesz mi wybaczyć ten -złożony, właściwy dzemojadom sposób wyrażania myśli. Dałeś się ponieść, co? Teraz już wiemy.

Ogień zaczął w nim wygasać. Wypuszczał z siebie powietrze, powracając do stanu, który, jak zauważyłem, wcale nie miał wyrażać potępienia, ignorancji czy służalczości, lecz. tajemniczość. Robiliśmy postępy w nauce.

- No to oddałeś swój strzał, synu, a teraz wino na spodek, jeśli łaska.

Nadal czekał.

Tucker. Rick - jebany tryk.

- Nie ma wina na spodku, nie ma autoryzowanej biografii. Ani listów od MacNeice'a, Charleya Snowa, Pameli, nie ma całej furi smakołyków! Różne wersje dzieł. Oryginalny maszynopis "Wszyscy jak owce", który różni się zasadniczo od wersji opublikowanej. Fotografie, dzienniki, jeszcze z lat szkolnych. To będą najpiękniejsze dni twojego życia, Tucker, kiedy dostaniesz to wszystko w swoje łapska... Udobruchany Halliday. Będziesz mógł podnieść się z kolan. Otworzy się perłowa brama niebios. Rozgłos.

- Stypendium... - Bzdura.

Z trudem wyciągnął rękę, z. trudem nalał Dole na spodek. - Postaw na podłodze.

Po raz pierwszy w życiu widziałem oczy dosłownie nabiegające krwią. Naczynia krwionośne w kącikach jego oczu nabrzmiały. Przez chwilę myślałem, że pękną. Zaśmiał się skrzekliwie, a ja za nim. Zawołałem do niego "hau, hau", a on odpowiedział "hau, hau", śmieliśmy się obaj, postawił spodek na podłodze i ukląkł, zrozumiał, co ma robić.

Słyszałem, jak chłepcze.

- Dobry pies, Rick, dobry pies!

Zerwał się na nogi, cisnął mi spodek w twarz, ale ja wiedziałem, kim jestem, i spodek przeleciał mi koło ucha, uderzył w zasłonę i spadł na podłogę. Dywan był na tyle gruby, że spodek wylądował miękko. Nawet się nie potłukł; potoczył się tylko, zataczając coraz mniejsze kręgi, aż zatrzymał się właściwą stroną do góry. Tucker rzucił się na fotel. Uszło z niego więcej powietrza niż kiedykolwiek przedtem i zapadł się w sobie tak bardzo, że ubranie obwisło na nim jak żagle, I które straciły wiatr. Ukrył twarz w dłoniach. Dopiero wtedy spostrzegłem, że drży, jakby był w stanie głębokiego wstrząsu.



Pies. Siedział pochylony, z twarzą w dłoniach, opierając I ', łokcie na wypolerowanym stole.

Skierowałem uwagę z powrotem ku nietolerancji i zadałem jej bezczelne pytanie.

- No i jak?

Spomiędzy jego palców wyciekała woda. Pojedyncze krople j kapały raz po raz bezpośrednio na blat stołu, to znów, wśród łkania, podrywane jego wstrząsami tryskały w górę i spadały

w pół drogi między nami. Jego płacz stał się głośny. Nigdy nie słyszałem odgłosu, który

wydobywałyby się z takiej głębi i z takim trudem, przypominając odgłos łamanych

kości. Płacz odebrał wolę jego ciała: oklapło, łokcie zsunęły mu się ze stołu,

rozwarłe dłonie opadły płasko na blat.

- Hej, ty tam! Słyszysz mnie?

Dłonie te, zsunęły się pod stół. Wyobraziłem sobie, jak zwisają, czy też może opierają się kłykciami o podłogę, jak u małpy.

- Pytałem, czy mnie słyszysz?

- Słyszę.

- W porządku. Do rzeczy.

Wyprostował się trochę i siedział teraz z lekka przygarbiony. Nie patrzył na mnie. Mimo to ja mogłem mu się przyglądać. twarz ociekała mu łzami, oczy- miał czerwone, ale już nie nabiegłe krwią; wyglądały raczej jak rozmazane plamy.

- Koniecznie teraz? Wolałbym się chyba przespać albo coś.

- Napij się jeszcze. Otrząsnął się.

- Nie, nie!

Rzuciłem okiem na mój dokument.

- Zrobię cię kuratorem mojej literackiej spuścizny wspólnie z Liz lub na przykład Emmy. Upoważnię cię do napisania mojej biografii jeszcze za mojego życia, ale są pewne zastrzeżenia, których jeszcze nie wymieniłem.

Rick ziewnął. Naprawdę ziewnął. - Uważaj, synu!

- Przepraszam.

- Po zasięgnięciu porady u prawnika co do właściwej formy' dokumentu, który podpiszesz, skontaktuję się z tobą ponownie i wyznaczę miejsce naszego spotkania. Jasne? Kiwnął głową.

- W porządku. Pozdrów ode mnie Helenę, jeżeli ją znowu zobaczysz. I pana Hallidaya - pozdrawiam go jak bankier bankiera. Wyobrażam sobie, że ma jakiś bank.

- Kilka.

- Powiedz mu, żeby dalej tak dobrze się spisywał. Bystry gość, ten twój pan Halliday. Czy już to mówiłem?

- Tak jest, sir.

- Odwołuję. No dobrze. To chyba wszystko. Czy masz jakieś pytania?

- Tak jest, sir... to znaczy, Wilf. Jak myślisz, kiedy to będzie? Czas jest...

- Bezcenny. Mój nie. Chociaż w twojej sytuacji przypuszczam, że... A więc może za tydzień albo dwa, albo za miesiąc... lub dwa. Nie dłużej. Zresztą co za różnica? Nie masz przecież stałej posady, eks-profesorze?

- Powiedziałeś jeszcze, Wilf... mówiłeś coś o zastrzeżeniach.

- Ach, tak. Dotyczą wyłącznie biografii. Nie przejmuj się.

Podniósł na mnie wzrok, przygnębiony i udręczony.

- Wolałbym wiedzieć, Wilf, jeśli ci to nie robi różnicy. - Słusznie, Rick. Spodziewałem się, że zechcesz je, być może, poznać, zanim się zaangażujesz. Wymienię zastrzeżenie główne, żebyś mógł się nad nim zastanowić. Dostarczę ci pełne sprawozdanie z mojego życia nie ukrywając niczego, a ty napiszesz, co zechcesz. Ale zdasz również dokładną relację z tego, jak podsunąłeś mi Mary Lou i jak podsunąłeś ją Hallidayowi, który przyjął ofertę. Tak więc ta biografia będzie duetem, Rick. Pokażemy światu, jacy jesteśmy... papierowi ludzie, tak można by' nas nazwać. Co powiesz na taki tytuł? Pomyśl, Rick... dzięki temu wszyscy ludzie, których prześladowają takie pluskwy jak ty, wszyscy szpiegowani, ci, którym depczą po piętach, ci, o których opowiada się kłamstwa, których rzuca się na pastwę szerokiej opinii publicznej... wszyscy zostaniemy pomszczeni. Zostanę pomszczony wraz z nimi wszystkimi, ha et cetera. Tu, w tym pokoju, mój synu... Mary Lou i ja, kiedy ty poszedłeś spać... uwiedź starego sukinsyna, "Rick Tucker, który z pewnością dostarczy wam rozrywki", czy w tym też podrobiłeś tego starego poetę, któremu pewnie lizałeś buty, tylko po to, żeby potem powiedzieć, że go znasz? To jest handel, synu. Ja za ciebie. Moje życie za twoje. Nie mów, że tego nie

zrobisz. Musisz, nie masz wyjścia, musisz wylizać miskę do czysta, jak ten latający spodek. Chryste, nie potrafisz nawet prosto rzucać. Teraz już wiesz. Spieprzaj i staw się na

moje wezwanie. Zagwizdź.

Zamilkliśmy ponownie. Miałem czas na refleksję, że prawdziwie męski mężczyzna o posturze Ricka złapałby mnie i wyrzucił z balkonu, żebym się roztrzaskał. Ale Rick był mężczyzną papierowym. Nie było w nim żadnej siły. Czułem się bezpieczny, dałem się zwieść. Nie był wcale silny ani gorący, ani ciepły. Nie był mordercą. Najwyżej samobójcą, chociaż nawet w to wątpiłem. Samobójstwo to choroba zdrowych, a Rick był całkowicie poczytalny. Była to jego jedyna... nie, miał przecież skazę Marakesz.

Ale mężczyzna podnosił się właśnie z miejsca. Widziałem, jak nabiera powietrza. Czy zamierzał postąpić, jak mawiał Johnny, "okrutnie", i zrobić mi krzywdę? Stwierdziłem ze zdziwieniem, że jest mi to obojętne. Patrzyłem mu prosto w oczy myśląc, że być może robię to po raz ostatni. Powstrzymałem go mocą, jaką ludzkie spojrzenie potrafi mieć nad bestią. Na koniec spuścił wzrok i ruszył do drzwi. Ale nie wyszedł, jak się spodziewałem, tylko odwrócił się nagle, cały rozдутy, jakby napompowany. Zaciśnął pięści i wrzasnął.

- Ty jebany skurwysynu! Dopiero wtedy wyszedł.

No, no, pomyślałem. Są chwile, kiedy nasi czworonożni przyjaciele nas zaskakują. Potrafią zachowywać się niemal jak ludzie. Można by przysiąc, że wiedzą, o czym się mówi.

Kochany Reksio! Oczywiście nie ugryzą. Warczą tylko dla zabawy i chwytają zębami pańską rękę niewinnie. Poza tym dotrzymują towarzystwa.

Usiadłem i rozejrzałem się po pokoju, gdzie odbyła się nasza potyczka na papierowe lance lub najwyżej przestarzałe pióra kulkowe. Spodek wciąż leżał na dywanie. Pozwoliłem mu tam leżeć z uczuciem, że przestał być po prostu spodkiem. Stał się teraz jednym z przedmiotów wyposażonych w *rnanę*, w moc. Być może rzeczywiście był to latający spodek, który wpadł tu z wizytą. Co u diabła? A te wilgotne plamy na stole? Zauważyłem, że niektóre się rozmazały, a inne wysychały w cienkich obwódkach zawartej w nich soli. W magii takie krople na pewno mają ogromne znaczenie. Dziewicze łzy? Jeżeli znajdziesz łzy dorosłego mężczyzny, mój synu, zbierz je przy pełni księżyca, bo są one niezastąpionym środkiem przeciwko nudzie, napuszeniu i zmęczeniu życiem: to sól w oku staruchy nietolerancji, która dostaje w ten sposób za swoje. Nalałem sobie

**Dole. Patrząc na wino odniosłem wrażenie, że nie mam jakoś na nie ochoty, chociaż to niedorzeczne. Gdy Rick opuścił pokój, zacząłem coraz dotkliwiej odczuwać ucisk stalowej struny. Zdawało mi się, że nie tylko się naprężyła, ale wrzyna mi się w pierś. Zapomniałem o Ricku i skupiłem się na niej. Wtedy poczułem, że za sprawą niepojętej magii nie jest już długa i cienka, lecz że się rozszerzyła, najpierw w pas, a potem w obręcz. Obręcz zaciskała się wokół mnie, obejmując nawet głowę, moją głowę. Zacząłem się trząść, wrzeszczeć i grzebać przy rozporku jak przedszkolak.**

### ROZDZIAŁ XIII

Ten fragment nigdzie nie pasuje. Nie potrafię, po prostu nie potrafię przypomnieć sobie kolejności wydarzeń, które nastąpiły po naszym drugim spotkaniu w Weisswaldzie. Stalowa obręcz zacisnęła się zbyt mocno, zbyt ciasno. Muszę przypominać sobie poszczególne sceny, jakbym przeglądał taśmy filmowe, pełne ogromnych luk. Jedna scena ma miejsce w Zurychu, gdzie znalazłem prawnika, chociaż nie pamiętam jak do tego doszło. Prawnikiem okazała się kobieta, która po zapoznaniu się z treścią umowy spojrzała na mnie tak jakby miała zamiar mnie kupić, a nie świadczyć mi usługę. Niskiego wzrostu, pomarszczona, była jedną z tych kobiet, które łączą w sobie skrajną brzydotę z niezwykłą kobiecością. Nie mann tu na myśli *folie laide*, ponieważ to wyrażenie umieszcza opisywaną osobę w seksualnym zamęcie, z którym nie mamy lub nie mieliśmy do czynienia. Biło od niej coś w rodzaju poczucia bezpieczeństwa, wynikającego prawdopodobnie stąd, że idzie nam całkiem nieźle, mimo braku pewnych mniej przyjemnych ludzkich cech, jak na przykład potrzeba zemsty potrzeba osiągnięcia większych niż ront sukcesów, poparcie innych lub obojętność wobec nich. Pamiętam swoje zadowolenie z powodu rezygnacji z pomysłu napisania kolejnej pięknej książki Wilfreda Barclaya, ponieważ spotkałem oto znowu prawdziwą osobę, bezużyteczną dla powieściopisarza, bo jedną z tych, których nie umie opisać, a które nie zajmują się opisywaniem samych siebie, żyjąc bardziej milczeniem niż mową. Do dziś nie wiem, jak zdołała mnie przekonać, że taki dokument wcale nie jest mi potrzebny i że na jakiś czas mogę sobie dać z tym spokój, skoro i tak nie mam zamiaru spotykać się z Rickiem, dopóki ucisk obręczy nie zelżeje. Pamiętam też, że rozstałem się z nią z gorzkim uczuciem zazdrości. Bez iluż rzeczy mogła obejść się taka kobieta!

Druga sprawa, druga taśma filmowa z Zurychu, dotyczyła cmentarza. Chodzi o to, że na płycie nagrobnej widniała data urodzenia i nic ponadto. Przypomniawszy ją sobie później zorientowałem się, że była to moja data urodzenia. Nie mara co do tego żadnych wątpliwości. Siedząc u jednym z tych plastikowych hoteli, jakich pełno w wielkich miastach miałem tę płytę przed oczami, odczytywałem cyfry jedną po drugiej, za nimi było wolne miejsce. Wobec tego znowu ruszyłem w drogę wynajętym samochodem. Zdaje się, że zajechałem dość wysoko, chcąc przedostać się na drugą stronę gór, a to dlatego... zdaje się... dlatego że cały czas jechał za mną karawan. Chyba go zgubiłem skręcając w boczną drogę, używaną tako przez robotników leśnych. W tym miej zaczynają się luki, bo przypominam sobie tylko zjazd z g po włoskiej stronie i linię

lasu gdzieś w dole. Bóg raczy wiedzieć, gdzie runie zanosło. Potem zatrzymałem się, bo zauważyłem jakiś ruch ziemi. Ale tam, gdzie stanąłem, nie b ziemi, tylko błoto. Droga składała się z kamieni i żwiru, i ówdzie zdarzały się paskudne wyrwy i sterczące głązy, które na pewno nie wychodziły na dobre wynajętemu samochodowi. Siedząc za kierownicą spostrzegłem, że za mną i n mną zaczynają wynurzać się z błota korzenie, fragmenty i gałęzie drzew które, co gorsza, też się ruszały. Wówczas pojąłem, że całe to błoto osuwa się, że jego skóra rozdziera się i zasklepia a patyki i reszta wiją się jakby z bólu albo machają, jakby wzywały. pomocy, która nie nadchodziła, o nie. Nie przyszło mi wtedy do głowy, że zdarzają się lawiny błota, a to właśnie była taka lawina. Ominęła wprawdzie samochód, ale przecięta drogę tak, że nawet czołg nie mógł by Tamtędy przejść. Musiałem się przez nią przedrzeć ślizgając się, zsuwając, czołgając i pełznąć. Natknąłem się włoskich robotników, którzy robili coś z tą drogą na dole kiedy im Wyjaśniłem, że zostawiłem samochód na górze wysmiali mnie po prostu. Dostało mi się sporo szyderstw i obelg.

Mam też taśmę o tym, że jestem z powrotem w tym samy gigantycznym motelu, i że wciąż mi się śni ten sam sen. Przesiedziałem tam chyba parę tygodni, tak tam było bezosobowo To znaczy ten motel był bezosobowy. Wyróżniał się, owszem jak beton sterczący, I betonowej pustyni. A sen był o tym że jestem w Marakeszu, gdzie nigdy nie byłem, i uciekaj przed Rickiem, który mnie ściga karawanem. Miałem jedno wyjście: wydostać się na bezdroża Sahary, żeby nie mógł mnie złapać. Resztę Snu spędzałem na pustyni. Za każdym razem ubywało początku snu, skracał się albo dawał do zrozumienia że dochodzę d0 miejsca, w którym jestem już tylko na pustyni. Wypełniała wszystko i stanowiła główne źródło przykrego doznania, Zdaje się, że zawsze byłem nagi, w każdym razie nie pamiętam nic o ubraniu. Trwałem w stanie nieodpartego przymusu. Nie tego zwyczajnego, trudnego do opisanania, nieuzasadnionego, bezsensownego przymusu właściwego sennym koszmarom; mój przymus kierował się logiką, bo działał w następstwie faktów. Znacie chyba te wąskie kładki z desek, przerzucane przez plaże w ciepłych krajach, żeby umożliwić dojście do morza bez poparzenia stóp? To więc tutaj nie było żadnej takiej kładki, był tylko piasek, bardzo gorący, niezwykle gorący, jak w rozpalonym piecu. Nie zauważyłem też żadnego nieba nad tą pustynią, a nawet jeżeli było, to cała moja uwaga skupiała się na piasku. Czy dostrzegacie logikę tego przymusu? Chryste, jak ja się zwijałem, jak tańczyłem, jak się miotałem podskakując do góry! W powietrzu było mi znacznie lepiej, jeśli w ogóle było nad tym piaskiem jakieś powietrze,

ale mogłem unieść w górę najwyżej jedną nogę, bo nawet w snach nie jestem specem od zawieszania praw grawitacji. Mimo to, wykorzystując całą swoją inteligencję senną, zdołałem osiągnąć pewien kompromis, który po jakimś czasie mógłby doprowadzić do rozwiązania problemu. Pochylając się i cierpliwie znosząc żar obejmujący stopy, wygrzebywałem jedną ręką dołek w piasku. Wydawało mi się wówczas całkiem logiczne, że w wyniku tego powstanie dziura tak głęboka i tak czarna, że aż ohydna, jak dziura w kosmosie, ale nie będzie przynajmniej parzącego piasku. Gdybym wygrzebał odpowiednią ilość dziur, miałbym gdzie postawić stopę i uniknąłbym żaru. I w tym właśnie momencie następowało przebudzenie. Czasem w trakcie rozgrzebywania piasku okazywało się, że piszę coś w nie znanym mi języku albo rysuję, dzięki czemu uzyskiwałem miejsce dla obu stóp, i wówczas się budziłem. Ale prawdziwe kłopoty pojawiały się dopiero, kiedy zażyłem tyle pigułek, że całkiem odjeżdżałem; wtedy nie miałem żadnych snów i oczywiście o to chodziło, tylko że one po prostu na mnie czekały i po przebudzeniu - znowu były: nachodziły mnie w barze albo podczas spacerów po betonowej pustyni, gdzie choćbym się nie wiem jak starał, nie byłem w stanie rękami wygrzebać dziury, i tylko ściągnąłem na siebie uwagę. Wydaje mi się, że pojechałem dalej. Ale sny podążyły za mną.

Telepatia istnieje. Musi istnieć, bo inaczej nie byłoby żadnego powodu, żeby moja kolejna taśma dotyczyła tego, czego dotyczyła, to znaczy miejsca, gdzie spędziliśmy razem z Liz nasz miodowy miesiąc, rok przed ślubem.

Odkąd się rozwidliśmy, unikałem tego miejsca. Nie jestem sentymentalny, ale gdybym nawet był, to po co, do cholery, miałbym wracać tam, gdzie to wszystko się zaczęło? A jednak jakoś tam dotarłem. Po pewnym czasie rozpoznano mnie dzięki rejestrom hotelowym, a poza tym w niewyjaśnionych okolicznościach ktoś wetknął mi złotą kartę kredytową do paszportu, który wraz z kolejnym wynajętym samochodem stanowił cały mój dobytek. Znalazłem się więc w hotelu, skąd przeszedłem do tego podłego obok, i kazałem sobie tam przesłać worki z korespondencją. W obie strony szedłem piechotą.

Zapomniałem powiedzieć, że film opowiada o Rzymie, nie, nie tym religijnym Rzymie, ale o hotelu Rzym. Idzie się przez Plac jakiś-tam z fontanną w łódeczce, a potem schodami w górę, prosto do hotelu. Tuż obok znajduje się kościół, ale witraże są do niczego, więc hotel jest znacznie, znacznie przyjemniejszy. To niezwykle wyrozumiały hotel. Zwrócili mój wynajęty samochód i dali mi pokój, którego sobie życzyłem: z

balkonem, bo jeżeli się ma coś, o czym nie chce się myśleć, to zawsze można podziwiać widok i zgodnie z nakazem mody narzekać na szpetotę pomnika Wiktora Emanuela, chociaż jest lepszy od całej reszty podłej rzymskiej architektury; od razu widać, że nie mam gustu. Zresztą pustynia i tak wciąż zasłaniała mi widok. Teraz opowiem o czymś znamionym, co, moim zdaniem, należy do tej samej grupy zjawisk co Padre Pio i Wilfred Barclay, urzędnik bankowy, to wszystko tkwi w głowie. Chodzi o to, że nawet kiedy nie spałem i byłem trzeźwy, zaczynały mnie boleć stopy i ręka. Toteż pisząc czy rysując we śnie musiałem co trochę zmieniać rękę, chociaż bolały mnie przez to obie. Dlatego spędzałem dużo czasu w łazience: odkręcałem kran z zimną wodą, siadałem na brzegu wanny i moczyłem stopy, wsuwając raz jedną, raz drugą pod zimny strumień, co przynosiło mi pewną ulgę. Muszę właściwie zwrócić uwagę na jeszcze jedno z tych farsowych wydarzeń, których przedmiotem był Wilf: miał stygmaty jak św. Franciszek, tyle że jakby odwrotne, bo za to, że był jebanym skurwysynem, jakby powiedział mój najlepszy przyjaciel, a nie w nagrodę za dobroć. Żartuję sobie, chociaż zupełnie niepotrzebnie, bo to już jest żart, ale wiercie mi, nie było w tym nic przyjemnego. Cała sytuacja wymknęła mi się z rąk. Pamiętam taki wieczór... nie. "ho już inny film.

Pewnego wieczoru, kiedy ręce i stopy zachowywały się stosunkowo znośnie i kiedy mogłem dojrzeć horyzont,) siedziałem na balkonie i starałem się wszystko uporządkować. Tego ranka wybrałem się do miasta, ponieważ szukałem *It's Who in Anzerica*, żeby dowiedzieć się czegoś o Hallidayu. Po jakimś czasie odnalazłem wreszcie ponownie Schody. Porozkładali się na nich, jak zwykle, włóczędzy, hipisi, épuny, kurwy, punki, pedały i lesbije oraz studenci i wszyscy mieli gitary i albo na nich grali, zresztą bardzo kiepsko, albo usiłowali handlować jakimiś wycinankami z blachy, które ułożyli na stopniach jako naszyjniki, pierścionki, kolczyki do uszu i do nosa, i były też kobierce ze sztucznych kwiatów i inne takie. "I, trudem wspinałem się na górę, ale nikomu to nie przeszkadzało, nikt nie usiłował mi niczego wciskać, co na pewno miałyby miejsce, gdybym wyglądał na takiego, którego stać. Ale patrząc na nich pomyślałem, że sam muszę bardzo podle wyglądać, więc wdrapałem się na swój balkon, oparłem głowę na rękach i próbowałem się zastanowić. Postanowiłem posłużyć się dziennikiem, żeby sobie wszystko uporządkować i zorientować się, co z tego wynika. I wtedy oczywiście przypomniało mi się, że nie mam przy sobie dziennika. Natychmiast stanął mi przed oczami obraz, film, jak się szwendam to tu, to tam, w Szwajcarii i we Włoszech, i pilnie prowadzę swój dziennik - a to na kartkach książek telefonicznych, a to na ścianach na oknach samochodów, na papierze toaletowym, a potem odchodzę, jeżeli w ogóle mam



dokąd odejść. Widziałem też siebie, jak rano tego samego dnia przeglądam *Who's Who in America*... dlaczego wcześniej nie pojąłem, jakie to przerażająco znamienne? Strona, na której powinno znajdować się hasło "Halliday", była pusta, pusta, pusta, po prostu czysta, biały papier! No i wtedy zerwałem się, zapominając nawet o stopach, i patrzyłem przed siebie na ten sam kościół z kiepskimi witrażami, a tam na górze, o Boże, stał on. Stał tam, a ja, potykając się, wycofałem się z balkonu do sypialni, usiadłem na łóżku, drżący i rozpalony. Zaczęło mną trząść. Tłumaczyłem sobie, że nie wolno mi zasnąć, ponieważ jeżeli zamknę oczy, to on po prostu zejdzie z dachu i mnie zabierze. Oczywiście nie wchodziły w rachubę, razem czy osobno, ani pigułki, ani alkohol, bo zarówno razem, jak każde z osobna mogłyby mnie uczynić bezradnym albo niezdolnym do jakiegokolwiek oporu, gdyby zechciał do mnie przyjść. Ta ostatnia myśl spowodowała, że wszystko się całkiem poplątało. Nie wiem, jak długo siedziałem, trzęsąc się i nie mogąc zmrużyć oka. Pamiętam, że weszła jakaś kobieta, żeby pościelić łóżko, ale ja na nim siedziałem, poza tym pościel nie była używana, więc wyszła; potem przyszedł jakiś mężczyzna, ale z hotelu, nie z sąsiedniego dachu, więc się go nie obawiałem i nie zwróciłem na niego uwagi. Podczas wojny zrobił mi się ropień, bardzo paskudny ropień na skutek odniesionej rany, i ten ropień pęczniał, pęczniał, aż przyszła chwila... może z pół godziny... kiedy ucisk idący od serca tak mocno parł na ropę pod skórą, że o mało nie zemdlałem z bólu. Pamiętam, że nie wierzyłem, żeby ten ból mógł być jeszcze gorszy, ale mógł. No więc ten ucisk wciąż przybierał na sile. Zdaje się, że spałem albo osiągnąłem stan, który nie był do końca ani stanem świadomości, ani po prostu szaleństwem. Można powiedzieć, że śniłem.

Stałem na sąsiednim dachu, tam gdzie przedtem Halliday. Patrzyłem w dół, na schody. Wszędzie świeciło słońce, ale nie tym ciężkim światłem Rzymu, tylko rozsiewało blask, jakby było wszędzie. Dopiero teraz, patrząc w dół, spostrzegłem, że schody są symetrycznie wygięte jak instrument muzyczny, gitara, wiolonczela czy skrzypce. Ten harmonijny kształt przyozdabiali i zakłócali teraz ludzie, kwiaty i błyski porozrzucanej wśród nich na stopniach biżuterii. Wszyscy byli młodzi i przypominali kwiaty. Zorientowałem się, że on jednak stoi obok mnie na dachu swojego domu, i zesliśmy razem na dół, i przystanęliśmy wśród ludzi i deseni ułożonych z klejnotów, i stert kwiatów promieniujących do wewnątrz i na zewnątrz. Potem ludzie wydobyli ze stopni muzykę. Trzymali się za ręce, kołysząc się, i ten ruch był muzyką. Spostrzegłem, że nie są ani płci męskiej, ani żeńskiej, a może jednej i drugiej naraz, ale nie miało to żadnego znaczenia. Ważna była ich muzyka. Męski czy żeński to dla mnie nieistotne, powiedział,

po czym wziął mnie za rękę i poprowadził za sobą. Schodziliśmy po schodach aż do drzwi, nad którymi widniał wizerunek bębna. Weszliśmy. Wydaje mi się, że po drugiej stronie rozciągało się ciemne, spokojne morze, bo mogę to powiedzieć tylko za pomocą metafory. Były w tym morzu również stworzenia, które śpiewały. Nie potrafię żadnymi słowami opisać śpiewu ani pieśni.

Obudziłem się nie ze śpiewem, lecz z płaczem, chociaż o tych łzach lepiej będzie powiedzieć, że po prostu płakałem i płakałem. Wiercie albo nie, ale byłem bardziej pijany, kiedy się obudziłem, niż kiedy zasypiałem, a łzy ciekły mi tak obficie, że kiedy się połapałem, gdzie jestem, obejrzałem łóżko, żeby sprawdzić, czy się nie zsikałem, ale nie. Prześcieradło i poduszka były mokre od łez jak w książkach. Nawet ropień pękł, a ból i ucisk ustały, bo już wiedziałem, dokąd idę, albo może raczej znałem kierunek, a także czułem, że nie ma już po co biec. Wystarczy, że będę szedł, a reszta podróży po prostu przebiegnie zgodnie z planem. Do drzwi zapukała kobieta i wniosła rogaliki, kawę i butelkę wina. Kiedy weszła, śmiałem się, co ją przestraszyło, ale nie potrafiłem jej wytłumaczyć, z czego się śmieję. I tak by nie uwierzyła. A chodziło o to, że ból w stopach i dłoniach przestał być nie do zniesienia. Owszem, bolały jeszcze, ale tak jakby lekarz przyłożył jakąś kojącą maść, która powodowała ból, bo leczyła. Myślę, że nie ma na to żadnego naukowego wytłumaczenia, chociaż jeżeli się jest naukowcem, to można jakieś upitrasić i jeżeli zachowało się własną religię, to też można jakieś upitrasić, ale przecież, do cholery, ja się nie zajmuję takimi durnymi abstraktami, jak religia czy nauki ścisłe, zajmuję się przecież życiem i tym jak jest, zdaje się, że nazywają to czasem "jakjestnością", czyli jak to jest być człowiekiem, cytuję, rybką malutką, lecz filutką, koniec cytatu. Również i dlatego, że ból w rękach i stopach łaskotał jak prąd, jakbym się uderzył w cztery łokcie na raz.

Ten dzień spędziłem w szlafroku i piżamie, po które posłałem kogoś z hotelu, odkrywszy, że nie mam żadnego bagażu. Kolejne dni w hotelu upłynęły mi na umawianiu się z krawcami i tym podobnymi, żeby mnie ubrali. Zająłem się także workami z pocztą. I pierwszy list, jaki otworzyłem, był od Liz. Oto streszczenie: sprowadzał się do tego, że Capstone Bowers dał nogę. Mam to już za sobą i ty chyba też. Może wrócisz? Zaraz po przeczytaniu wysłałem telegram: tak, potrzebuję kilku dni, żeby się przygotować! Przesiadywałem na brzegu wanny, trzymając stopy w wodzie i ręce pod zimnym strumieniem z kranu, a na przykład krawiec siedział na klozecie i tak dyskutowaliśmy o życiu i sprawach pokrewnych. Po prostu przez wiele dni nie mogłem pogodzić się z tym, że jestem szczęśliwy! Trzeba się tego nauczyć, bo inaczej ścina z nóg. Więc rozmawiałem

z szewcami, bielizniarzami, kapelusznikami, jubilerami, nadzwyczaj sympatyczne towarzystwo. Zamówiłem brulion, żeby pisać dziennik, ale kiedy próbowałem go zapisać przejrzystą prozą, którą czytelnicy znajdują w większości moich książek, moja pisząca ręka bolała jak diabli, więc musiałem przestać. I wtedy zacząłem dostrzegać, jak różne rzeczy zaczynają do siebie pasować. Zrozumiałem, że nietolerancja jeszcze ze mną nie skończyła, i że ja lub ktoś inny musi napisać książkę, nie jakiś dziennik, ale coś bardziej ekstra. Przecież przed laty ten hipnotyzer powiedział, że jestem idealnym medium. Zrozumiałem, jak sugestia zmieniła moje książki, szczególnie "Ptaki drapieżne" i "Konie u źródła". Często płakałem i wstydzilem się tego, bo nie byłem zbyt przyzwyczajony do łzawego żywota. Piłem, rzecz jasna, ponieważ doszedłem do wniosku, że nagle odtrącenie butelki mogłoby się okazać niebezpieczne, toteż ograniczyłem się do mniej więcej jednej butelki dziennie.

Nadeszła pora na rozpatrzenie sprawy psa. Zanim nie dowiem się, jakie ma względy u Liz i Emmy, nie należy sprowadzać go do domu. Doszedłem do wniosku, że umówię się z nim w jednym z moich podległych klubów, w Random.

Pomyślałem, że należy pomówić na temat Ricka z Liz. Wyobraziłem sobie, jak siedzimy przy kuchennym stole, przy którym przeżyliśmy tyle dobrego i tyle kłótni.

Dziwny był ten pobyt w hotelu! Siadywałem na balkonie, patrząc na miasto koloru łajna, miasto trochę młodsze niż wieczność, i usiłowałem dojść, dlaczego mój sen był czymś więcej niż snem i czymś więcej niż jawą. Potem rozmyślałem nad książką, którą miałem do napisania, wyłuskując fabułę z zamętu. Brałem pod uwagę odbiorcę i myślałem o tym, jak przestaną mnie boleć stopy i ręce, kiedy ją skończę. Potem wracałem do wanny z butelką na tacy. Zdarzało się, że siedział tam właśnie na klozecie jakiś szewc z kieliszkiem w ręku i snuł fascynujące opowieści o swoich klientach, a ja włączałem je do swojego banku informacji, zapominając, że na nic się już nie przydadzą. Mój umysł wciąż zawracał i żył we śnie. Zacząłem trochę wychodzić i postarałem się o wyjaśnienie tego snu w kategoriach, że tak powiem, naukowych, psychiatrycznych, religijnych oraz w kategoriach jakjestności (to ostatnie od krawca), które się wzajemnie wykluczają albo tak z pozoru wygląda. Przede wszystkim rozpamiętywałem jakjestność. Spytacie, dlaczego się tak czepiasz tej jakjestności? Czyżbyś się znalazł w sytuacji bez wyjścia? Czy nie wystarczy ci, cytuję, rzeczywistość, koniec cytatu? Otóż odpowiedź leży w geniuszu języka. To nie rzeczywistość, która jest pojęciem filozoficznym, lecz, cytuję, jakjestność, koniec cytatu, zwrot wzięty z lewej strony mowy dla wyrażenia mimowolnego aktu

**świadomości. Wymyśliłem to sam, bo ten sen nie przydarzył się filozofowi, lecz mnie.  
Religijne, naukowe, psychiatryczne, filozoficzne - wszystko to o kant dupy...**

*Eh voila! Non, wici.*

## ROZDZIAŁ XIV

Na koniec wreszcie wyekwipowany, wciąż jednak nie wsiadałem do samolotu. I to nie dlatego, że nie mogłem się ruszyć, bo mogłem się poruszać, chociaż jak starzec. To znaczy, jak człowiek naprawdę stary, a nie zaledwie dobiegający siedemdziesiątki. To z powodu strachu. Chciałem jechać, cytuję, do domu, koniec cytatu... o, bardzo chciałem! pragnąłem! Ale bałem się Anglii i wiosny. Wyobrażałem sobie, że rozplaczę się jak panienka, a to byłoby nieciekawe. Ogarnęła mnie słabość. Uznałem więc, że najlepiej zrobię załatwiając najpierw korespondencję, co zajmie mi kilka dni. Jednak po przeczytaniu paru listów doszedłem do wniosku, że to zbyt wiele. Dopilnowałem wobec tego zniszczenia reszty moich listów w hotelowym piecu i zaraz poczułem się lżej. Ilekroć zwracałem się do kogoś z obsługi hotelu z pytaniem, czy pomoże mi całkowite odstawienie alkoholu, zawsze odpowiadali, że pomoże. Nie wiem, czy wiedzieli, co to znaczy "pomoże", ale zapewne chcieli powiedzieć, że po prostu byłoby to wskazane. Ale przecież każdy zapytany zawsze będzie uważał odstawienie alkoholu za wskazane, każdy, oprócz tych, którzy tego nie potrafią i muszą szukać różnych usprawiedliwień. Jeśli o mnie chodzi, to mogę nie pić, kiedy zechcę, chociaż potrzeba odzywa się raz po raz, nieregularnie - takie przejściowe niepowodzenia w realizacji wielkiego planu porzucenia alkoholu na dobre. Plan jest doskonały i trzymam się go od ponad ćwierćwiecza. A jednak... tym razem! Tak, rzuciłem alkohol na dobre i życie stało się nudne. Byłem trzeźwy i szczęśliwy, a szczęście na dłuższą metę okazało się nudne, ale nie wolno narzekać na chleb powszedni; trzeba go jeść i czekać na ciastko. Miałem tyle czasu! Pod wieczór czas zaczynał się dłużyć, z każdym dniem stawał się coraz dłuższy, bo całymi godzinami leżałem bezsennie, a rano budziłem się wcześniej. Nie miałem żadnych snów.

Podróży do domu nie ma co opisywać. Warto tylko odnotować, że po wylądowaniu na Heathrow bałem się jechać prosto do domu, więc postanowiłem zajrzeć do paru moich klubów. Wstąpiłem do Ateneum i natychmiast wyszedłem. Przypomniało mi się to miejsce na wyspie, chociaż oczywiście w Ateneum jest mnóstwo okien. Prosto stamtąd udałem się do Random, gdzie zastałem wszystko mniej więcej w porządku, i jak to w życiu bywa, pierwszą napotkaną osobą okazał się Johnny. Prezentował się szalenie elegancko i nosił swój tupecik. Na mój widok aż krzyknął.

- Wilf! Dostrzegłeś chyba światelko w oknie!

- Ha et cetera. No, no, nieźle ci się musi powodzić? - A tobie? Pozwolisz?

Pomacał klapę mojego garnituru.

- Boże drogi! W głowie się kręci! Ile dałeś?

- Nie wiem. Daj spokój, Johnny. Barmanka patrzy.

- Tak, napiję się, Wilf. Tak, wiem, że regulamin zabrania członkom stawiania sobie nawzajem alkoholu. Dwa razy campari, proszę.

- Dla mnie sok limonowy i piwo imbirowe. - Wilf! Co z tobą?

- Przestałem na jakiś czas. Co u ciebie, Johnny? Umarł ci ten wujek, tak?

- Wilf, nie uwierzysz. Jestem postacią powszechnie znaną!

- Nie wygłupiaj się.

- Jestem, naprawdę! Zaraz się zdziwisz! - Co tym razem?

- Posłuchaj. Pamiętasz mojego przyjaciela, który robi w tej dziwce telewizji?

- Którego?

- No wiesz, tego, co tam prawie wszystkim trzęsie. - Ha!

- Otóż to. Myślałem, że rozstaliśmy się na dobre, ale on musiał chyba powiedzieć komu trzeba...

- Chodziliście do jednej szkoły.

- Tak, może to też pomogło. Więc, jak już powiedziałem, brali mnie na próbę tu i tam, wiesz, takie raczej elitarne programy, aż w końcu, przez czysty przypadek, dali mnie do gry panelowej! Kochany, jestem wspaniały! Gdy tylko nasza opinia zmiękła i okazała się dla nas, wiotkich stworzeń, łaskawa, jestem do usług, chętny, gotowy... przysięgam, że dostaję więcej listów niż ty. I nigdy mi nie uwierzysz, jak ci powiem, ile mi proponowali za reklamę sherry! Chociaż to dość podchwytliwe pytanie.

- Co to za program?

Po raz pierwszy widziałem, jak Johnny się zawstydził. Nawet się trochę zaczerwienił. Wytrzymał jednak moje spojrzenie i zachichotał.

- "Widzę coś na literę"...

Ja też zachichotałem i przez jakiś czas nie byliśmy w stanie robić nic innego. Barmanka przyglądała nam się stanowczo, jakby próbowała ocenić, jak bardzo świński musiał być ten kawał. Wreszcie odepchnąłem go, ocierając łzy.

- Nic dziwnego, że wyglądasz, jak świeżo ostrzyżony pudel. Jak to, ty, Johnny? Co się stało z twoim gustem?

- Jak mawiał Wilfred Barclay, nieźle płacą, koniec cytatu. - A jak poszło z "Pałę Safo"?

- Całkowita klęska. - Nie mów!

Johnny przysunął się bliżej. - A nie rozpaplasz?

- No pewnie, że nie.

- Poszła, suka, na wyprzedaż praktycznie jeszcze przed wydaniem. O, pośpiech nieprzystojny, by gnać tak przemyślnie...

- Szkoda.

- Skoro mówimy o psach... - Jak to, mówimy?

- No, świeżo ostrzyżony pudel. - Ach, tak.

- Znalazłeś go?

- Jaśniej, proszę, Johnny.

- A o czym to rozmawialiśmy ostatnio w tym, jako żywo, antycznym hotelu?

- No, o czym?

- Powiedziałem ci, że powinieneś spróbować kogoś polubić i że powinieneś zacząć od psa.

- Aaa.

- No i co, znalazłeś sobie psa? Bo widzisz, jesteś jakiś odmieniony. Ciekawe. No,

Wilf!

- Aaa.

- Nie bądź taki tajemniczy, nie chowaj się za brodą! - Hau, hau.

- Wilfred Barclay na spacerku z pudlem! - Tak. Znalazłem.

Twarz Johnny'ego zbliżyła się do mojej, ożywiona zaciekawieniem. Jakaś smakowita plotka.

- No i...?

- Zabiłem go.

Johnny pociągnął swojego drinka i zamyślił się nade mną. Jego wzrok powędrował za okno, do ogródka jaśniejącego żonkilami i jakimiś fioletowymi kwiatkami... być może fiołkami. Spojrzał na mnie z powagą.

- To niedobrze. To bardzo, bardzo, bardzo źle. Gdzieś ktoś uderzył w gong, wzywając na kolację.

- No, pójde już do miski - powiedziałem. - Hau, hau. Johnny nie odezwał się.

Poszedłem na górę, automatycznie kierując się do stolika, który kiedyś uważałem za swój. Moje miejsce pod figurą Psyche, gdzie siadywałem już to z agentem, już to z wydawcą, a raz z Capstone'em Bowersem, było wolne. Psyche też stała naturalnie na swoim miejscu. Ta rzeźba - wczesnowiktoriański biały marmur na malachitowej kolumnie - stanowi jedyny wartościowy eksponat w tym klubie i jest rzeczywiście całkiem niezła. Powinna spoglądać na Kupidyna, oświetlając lampą jego twarz, ale zawsze miałem wrażenie, że studiuje raczej kartę dań i win, zastanawiając się, co do czego pasuje. Pomyślałem, że to będzie odpowiednie miejsce na spotkanie z Rickiem. Tym razem Psyche zdawała się szeptać mi do ucha, że nie zaszkodzi mi karafka wina, i z niemałym trudem zdołałem odeprzeć pokusę. Zwyciężyła jednak cnota.

Wynajmowanie samochodów stało się dla mnie czynnością tak naturalną, że wykonałem ją niemal bezwiednie. Potem zatelefonowałem do domu. Odebrała Emmy. Odezwała się takim tonem, jak zawsze, kiedy zapominałem o jej urodzinach. Nie, nie mogę rozmawiać z Liz. Liz leży w łóżku i nie trzeba jej przeszkadzać.

No tak, pomyślałem, trudno czekać na powrót eks-męża bez pewnego zdenerwowania. Wystarczy wspomnieć, jak sam się wahałem przed ponownym spotkaniem. Bądź mężczyzną, synu!

Pojechałem zatem nową autostradą, która tak zmienia krajobraz czy raczej to, co z niego mogłem dojrzeć, że z trudem go rozpoznawałem. Tam, gdzie nie sięgał beton, Anglia hodowała same żonkile; były dosłownie wszędzie. Jakież był ze mnie szczęśliwy i spostrzegawczy piesek, hau, hau, kiedy tak przemierzałem Anglię, ledwo dotykając palcami kierownicy. Stopy już mnie nie bolały, więc pomyślałem sobie, no tak, to zrozumiałe... jadę do domu!

Otworzyła mi Emmy. Była jeszcze grubsza i jeszcze bardziej ponura niż Emmy, którą zapamiętałem. Pocałowałem ją w bierny policzek i spostrzegłem, że płakała.

- Gdzie ona jest? - W długim pokoju.

Poszedłem sam; Emmy została, dając w ten sposób do zrozumienia, że nie ma nic wspólnego z tą sprawą, którą uważa za niesłuszną i skazaną na niepowodzenie.

Długi pokój to faktycznie dwa połączone pokoje. Liz stała pod najdalszą ścianą, w najciemniejszym kącie, dokąd uciekła zapewne na odgłos samochodu. Rękami zasłaniała twarz. Ruszyłem ku niej, ale ona powstrzymała mnie szorstko.

- Nie! Obruszyłem się.



- Chciałem ci tylko pokazać mój nowy garnitur. St. John John o mało nie zemdlął.

- Nic się nie zmieniłeś. Niezniszczalny. To niesprawiedliwe.

- Zaraz, do cholery! A ty co chciałaś z powrotem? Wrak? - Co chciałam? Dobrze. No to patrz.

Opuściła ręce i podeszła bliżej.

Liz już nie żyła. To znaczy, gdyby nie ten głos i ten ostry ton, byłbym jej nie poznał. Stała przede mną stara, koścista wiedźma. Umarły jej słynne włosy, zostały nijakie kosmyki. Tak często marszczyła czoło, że nawet teraz, bez powodu, było poorane bruzdami. W zapadniętych policzkach zalegał cień mrocznego kąta pokoju. Najbardziej przerażające wrażenie sprawiały jednak ciemnobrązowe, głębokie oczodoły, i które nadawały całej głowie wygląd trupiej czaszki przeciętej makabryczną krechą wścieklej szminki. Podniosła znowu rękę i dotknęła pustego prawego policzka, jakby chciała się upewnić co do najgorszego, i zauważyłem, że nawet teraz malowała paznokcie lakierem dobranym do jaskrawej purpurowej krechy.

- A czego się spodziewałaś, Wilf? Na miłość boską. Może Mary Lou?

- A więc on utrzymuje z wami kontakt.

- Zdaje się, że on jest najgorszy ze wszystkiego. Traktuje cię z taką okropną powagą. Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu.

- Tak, tak. No, myślę.

- Czy wiedziałaś, nie, nie wiedziałaś, że on i Humph, że obaj przystawiali się do Emmy. Humph dlatego, że był, że jest, jaki jest, a Rick przez ciebie. Chryste Panie! Nigdy bym nie uwierzyła, przenigdy, że życie może tak wyglądać. Próbowalam Humpha wyrzucić, ale wyniósł się tylko do pokoju gościnnego. Wiedział, że trafia mu się gratka. Teraz pokój jest wolny, do twojej dyspozycji.

- Naprawdę oszedł?

- Ulotnił się. Nie do wiary, prawda? - wskazała na siebie złożonymi dłońmi. - Natychmiast, jak tylko to zaczęło się rozwijać w galopującym tempie. Wszystko rzucił i uciekł, zostawił nawet swoją ukochaną strzelbę, swojego Bisleya, i literaturę myśliwską. Kiedy przyjdzie kolej na ciebie, Wilf, nie proś lekarzy, żeby powiedzieli ci prawdę. Bo wtedy oni mówią prawdę.

- Nie wiedziałem.

- Nie jesteś dojrzały ani o jeden dzień. Alkohol, dziwki, beztroskie życie...

- Tylko alkohol. A i to...

- Och, zamknij się. Przecież i tak zaczniesz od nowa. Ja po prostu kogoś potrzebuję. Taka jest prawda, a nie zamierzam obarczać tym Emmy, już wystarczy. Rozumiesz? No tak, nie rozumiesz.

- Niezupełnie.

- I przyszedł mi do głowy wspańiały pomysł. Skontaktowałam się z Thomasem i wydarłam mu twój adres na poste restante. Postanowiłam, że ściągnę sobie do domu Wilfa, jeżeli będzie to w ludzkiej mocy. On nie ma wprawdzie pojęcia, co to znaczy opiekować się kimś, ale jest za słaby, żeby uciec. Po prostu szantaż.

- Dotarliśmy do punktu wyjścia, tylko od końca. Mniej więcej. Jest może trochę gorzej.

- Masz rację.

Potem znowu zamilkliśmy. Słychać było ptaki w sadzie i dobiegające z oddali rżenie konia. Wreszcie Elizabeth odezwała się naturalnym, salonowym tonem, absurdalnie konwencjonalnym.

- Może usiądziesz? - Tak. Jeśli można.

Usiedliśmy oboje, nasze stopy spoczywały na ciepłej podłodze po obu stronach wygasłego kominka.

- Przepraszam, Wilf, nie chciałam, żeby to tak... Nie wiem, jak to sobie wyobrażałam.

- Kiedy znów poczujesz się lepiej...

- Ha et cetera, jak mawiałeś. Wilfred Barclay, wybitny doradca.

- Przecież musi być jakiś...

- Znajdziesz wszystko co trzeba w pokoju gościnnym. Możesz korzystać z tej łazienki. Ja używam tamtej, tam mam swoje rzeczy. Pani Wilson będzie gotować. Jeśli chcesz, możesz jadać poza domem. Dzisiaj można nieźle zjeść w każdym pubie. Ja nie znoszę gotowania.

- A ty?

- Nie jadam. - Powinnaś.

- Nic nie wiesz? Nic nie zauważyłeś? - Wojna...

- Boże, co za niesprawiedliwość! Ty pijesz i łajdaczysz się, i kłamiesz, i oszukujesz, i wyzyskujesz innych, i pozujesz, jak... zanosłam cię do łóżka, kłamałam za

ciebie, osłaniałam cię... i to ja mam raka, jakbym to ja przepiła wszystkie lata mojego życia!

Nie miałem nic do powiedzenia. Do pokoju wpełzał zmierzch. Widziałem przed sobą zamazaną, brunatną plamę czaszki z czarnymi oczodołami.

- Ty, Wilf, zawsze byłeś dobry w milczeniu.

- To raczej ty nie dawałaś mi szansy, żebym się odezwał.

- Dobrze sobie! Powraca mi wiara w twoją podłość. Świetnie. Niedługo już będziesz miał okazję mówić i nikt nie będzie ci przerywał.

Nie odezwałem się, ani nie ruszyłem. Jak to często bywa, nie sposób było powiedzieć prawdy. Bo ja naprawdę byłem szczęśliwy... uczucie szczęścia nie opuszczało mnie od czasu tamtego snu. Nic nie mogło zmienić tego stanu, nawet biedna Liz. Prawda była wstydliva; nie miałem już czasu, aby nauczyć się współczucia albo znaleźć innego psa.

Milczenie zaczynało mi ciążyć. Przerwałem je. - Zostaję, to wszystko.

- Musisz przecież mieć jakąś religię. Odwiedzanie chorych. Nie możesz odejść, prawda? Co powiedzieliby twoi biografowie? Umierająca kobieta, która dała ci dziecko. Musisz tu zostać, Wilf, i doprowadzić to do końca. Taka jest kolej rodzinnego życia. Żaden pisarz nie może się bez tego obejść.

- W porządku.

- Wie o tym Robert Farquharson, ten od "Przez dziurkę od klucza". Wie także Rick Tucker.

- Hau, hau.

- Parę dni temu bez przerwy to powtarzał. Pomyślałam, że to jakieś nowe modne słowo, ale ostatnio nie jestem *au fair*, nie oglądam nawet telewizji.

Wygrzebała papierosa z pudełka na stole przy fotelu, zapaliła i od razu zaniósła się kaszlem. Cisnęła papierosa do kominka, ale gdy atak kaszlu minął, zaraz sięgnęła po następnego.

- Nadal nie palisz, Will? Ach, ci mężczyźni! Nawet Humph bał się tej, tej...

- Dolegliwości. Choroby. - ...tego raka.

- Posłuchaj, Lizzie, spróbuję ci wytłumaczyć. Jestem zaskoczony. Ale chcę ci pomóc. Nie jestem przyzwyczajony do pomagania.

- No pewnie! Chryste! Co się stało? Doznałeś jakiegoś olśnienia? Jesteś nawiedzony? Tobie potrzebna jest całkowita przemiana.

- Długo czekałaś na tę okazję. Nie krępuj się. Pozbądź się tych rzygowin. Jak skończysz, spróbuję powiedzieć...

- ...i to ci się uda. Trzeba przyznać, Wilfredzie Barclay, że jak już przerwiesz ciszę, to nie po to, by powiedzieć coś istotnego czy głębokiego, ale dla samego gadania...

- Chcesz mnie wysłuchać czy nie? Po prostu powiedz. Jak nie, to się zamknę.

Zakasłała i wrzuciła drugiego papierosa do paleniska. - Dobrze.

Więc opowiedziałem jej albo przynajmniej starałem się opowiedzieć. Przedstawiłem wszystko, od tego, jak budziłem się pijany, choć nie pijany, aż w końcu poznałem, co to znaczy być szczęśliwym. Usiłowałem wyjaśnić bezpośredniość mojego snu, który sprawił, że wszystko inne jawiło się jak miraż. Im dłużej starałem się opisać to, co nieopisywalne, tym głupiej to brzmiało.

- ...to mnie zawróciło, zrozum. Krzyczałem i kurczowo czepiałem się czasu, jakbym mógł w ten sposób powstrzymać cały ten proces. Ale sen mnie zawrócił i zrozumiałem, że droga, którą kroczyłem, ku śmierci, jest drogą wszystkich ludzi, że to jest... zdrowe, słuszne i harmonijne... zaraz, co ci jest?

Zorientowałem się, że nad nią stoję. Myślałem, że dostała jakiegoś napadu czy ataku, ale po chwili spostrzegłem, że tylko się śmieje.

- Ty potworny, potworny sukinsynu! Ty błaznie! Ty, ty...

- Liz, posłuchaj...

- Mówisz o szczęściu, na całe lata przed własną śmiercią...

- Nie o tym mówię! Chciałem ci powiedzieć, że tak ma być!

Śmiech przeszedł w kaszel.

- To jakaś dziwna religia... Podniosłem głos.

- Odkryłem, że jestem częścią wszechświata, nic więcej! Zaniósła się gwałtownym kaszlem.

- Ty nie jesteś jego częścią, sukinsynu! Sam jesteś całym tym cholernym...! Tymczasem ja...

Wybuchnęła płaczem.

Wtedy wszedł nasz lekarz. Może spodziewała się jego wizyty, nie wiem. Henry był mistrzem dobrych manier. Przywitał się ze mną... prawdopodobnie wiadomość o moim przyjeździe już rozeszła się po okolicy... Tak jakbym powrócił z weekendu w

Londynie, a nie po wieloletniej nieobecności. Natomiast z Liz przywitał się tak, jakby wcale nie słyszał jej napadu wściekłości i nie dostrzegł wilgoci w zagłębieniach jej policzków. Właściwie Henry... wydzielał... coś w rodzaju radosnego optymizmu, jakby wiedział, że wbrew obciążającym dowodom, jakie może zgromadzić oskarżyciel, wbrew cierpieniu, ciemności i śmierci to tylko zabawa, że w pewnej chwili przestaniemy grać tę tragikomedię i powrócimy do niezmiennej rozsądnej świadomości.

Wniosłem swoje rzeczy do pokoju gościnnego i obejrzałem go sobie dokładnie. Kiedyś, dawno temu, nocował tu sam Rick, potem z Mary Lou, a teraz znowu sam. Sypiało tu także wiele innych osób. Pokój był w stylu wiejskim, z nadal działającym kominkiem i niewielkim oknem wychodzącym na rzekę i Lisią Wyspę. Kiedy na drzewach nie ma liści, albo kiedy są pączki, jak teraz, widać zakręt rzeki i jaz. Nawet gdyby mi nie powiedziała, wiedziałbym, że spał tu Capstone Bowers... albo od czasu zaostrzenia się choroby Liz, albo od ostatniej rundy kłótni. Jego książki stały nad kominkiem: "Ludojady Dekanu", "Polowanie na słonie", "Broń palna", "Amunicja i strzelanie z karabinu", "Broń palna firmy Bisley. Historia i relacje". Nieco powyżej pozioma linia nie wyblakłej tapety wskazywała miejsce, w którym powiesił swojego Bisleya. Czekaając na wyjście doktora zacząłem przeglądać książki. Znalazłem wspaniałe rysunki, na przykład jak strzelać do tygrysa: za łopatkę albo w zad, nigdy w głowę, jeżeli ma być wypchany. Przysłowia. Jak tropić zranione zwierzę. Strzelanie dla przyjemności. Mój Boże, biedna Liz, tyle lat z takim potworem!

Zostawiłem walizki i zszedłem na dół. Po odgłosach, jakie dochodziły z kuchni, wywnioskowałem, że Henry już wyszedł, ~y przeciwnym razie pani Wilson chodziłaby na palcach i szcęk naczyń byłby przytłumiony. Szukałem Liz, ale nie mogłem jej znaleźć. W długim pokoju zastałem Emmy.

- A więc wróciłeś, żeby zostać z mamą. Co za głupiec z ciebie.

- A ty? Też tu przecież jesteś. - To co innego.

Wyszła do kuchni. Stałem na środku pokoju, jakbym czekał na pojawienie się pani domu. Trudno. Byłem. Nic bardziej odległego od pogodzenia się czy choćby przystosowania... gdzież jest ta wielka, przepojona serdecznością i ostateczna Księga Barclaya, która od czasu tego snu stawała mi raz po raz przed oczami. Mieliliśmy w sobie tyle serdeczności co skorpiony.

Liz wróciła ze swojego pokoju, spokojna i przygaszona. Henry coś jej zaaplikował.

- Przepraszam. Nie, nie mówię o nim. O sobie. Może usiądziesz?

- Muszę znowu wyjechać. - Tak.

- Ale, nie, wróć. Chodzi o Ricka Tuckera. Obiecałem... - Tak.

- Mam się z nim spotkać w Randomie. Nie dostanie tych papierów, na pewno nie te.

- Słuchaj, on jest szalony. - Tak.

- Więc mu się to nie spodoba. - Trudno.

Przez chwilę milczeliśmy. Liz wyjęła papierosa, rozmyśliła się, wykonała taki gest, jakby chciała schować go z powrotem do pudełka, a potem wrzuciła do paleniska jak poprzednie.

- To dziwne, Wilf.

- Tak. Nie powinniśmy się byli pobierać. Powinniśmy być krewnymi, bratem i siostrą, to było właśnie coś w tym rodzaju, na całe życie, zawsze związani ze sobą, cokolwiek i

i się stanie.

- Nie nas miałam na myśli. Chodziło mi o ciebie i o niego. Czytałam kiedyś biografię, w której pani Hemingway stwierdza: "Stan Aldousa uległ poprawie. Stan Ernesta pogorszył się".

~ Kiedy to przeczytałam, pomyślałam o tobie. Nie mówiła nic o krytykach ani o harówce. Wiesz co? Wy z Rickiem zniszczyliście się nawzajem.

## ROZDZIAŁ XV

Pojechałem do Londynu na trzy dni. Zostałbym dłużej, gdyby nie to, że w klubie przestrzegano teraz limitu noclegów z jeszcze większą surowością. Nie miałem jakoś odwagi zamieszkać w Ateneum, wśród tych wszystkich biskupów i wicekanclerzy. Mówcie, co chcecie, o Randomie, ale biskupów tam nie ma. A właściwie dzisiaj trudno też nawet o pisarza. ! Pierwszego wieczoru nie zjawił się nikt ze znajomych, więc zadzwoniłem do agenta, ale oczywiście wyszedł już do domu. Mieszka na wsi i uświadomiłem sobie, że nie znam nawet jego adresu... chytry facet! Pomyślałem o jakiejś dziewczynie, ale albo mi się nie chciało, albo jestem za stary, albo się boję, albo jestem zbyt rozsądny. Przejrzałem program kin i doszedłem do wniosku, że po prostu nie obchodzą mnie kina ani filmy. Stałem na chodniku na Piccadilly, patrzyłem, jak rodzaj ludzki ciągnie na wieczorną rozrywkę, i pomyślałem sobie, że Liz ma rację. Zostałem zniszczony w tym sensie, że już nie należę do tego rodzaju, ale do duchów i wspomnień. Miałem już swój sen, wobec którego ten twardy, namacalny chodnik był nieistotny. Struna skrzypiec albo rozciągnęła się, albo pękła. Nietolerancja się wycofała i, mimo że wciąż obecna, miała dla mnie nie większe znaczenie niż wystrój kościelny. To był ten sen ze śpiewem, który nie był śpiewem. A ponieważ śpiew zaczyna się tam, gdzie nie staje i słów, to gdzie jesteśmy? Twarzą w twarz z nieopisanym, niewyjaśnionym, z jakjestnością, czyli tam, gdzie zaczęliśmy.

Wróciłem do klubu i zamówiłem drinka dla zabicia czasu. Siedziało mi się tak spokojnie (nie było nikogo oprócz dwóch nieznajomych zajętych rozmową przy barze), że -namówiłem jeszcze jednego, potem jeszcze jednego i tak dalej. Nieco się obsunąłem.

Następnego dnia spotkałem się z agentem w jego biurze i dużo potakiwałem. Chciał wiedzieć, czy piszę coś nowego, a ja powiedziałem, że tak, ale wolałbym o tym nie rozmawiać, bo taka rozmowa potraci usztywnić szkic... jak zwykle... on także potakiwał i zauważyłem, jak bardzo chciał się mnie pozbyć. Wie pan, Wilfred Barclay już niewiele zrobi. Wypstrykał się i żyje z obcinania kuponów. Zupełnie zobojętniał. Może powinniśmy się zastanowić nad wydaniem dzieł zebranych. Wróciłem do klubu i resztę dnia spędziłem w łóżku, śpiąc... słodko, jak dziecko, tak się przecież mówi, oczywiście niewłaściwie. Wstałem około piątej i zasiadłem, przycajony, w gnieździe węża. Podeszła Jonquil i powiedziała, że czeka profesor Tucker. Zdziwiłem się, że nie skierowała go do mnie od razu, .ale wszystko się wyjaśniło, gdy wyszedłem do holu. Siedział przykucnięty

na podłodze, opierając się plecami o wielki zegar. Koszulę miał rozpiętą aż do pępka, którego i tak nie było widać wśród tych jego kędziorów, ale w zaroślach spoczywał gruby złoty naszyjnik, z którego zwisały rozmaite talizmany: krzyż lotaryński, oko Ozyrysa, egipski klucz żucia ANKH, swastyka o promieniach załamanych we właściwą stronę, Pieczęć Salomonowa i mnóstwo innych, których nie potrafiłem nazwać. Gdy pojawiłem się w holu, Rick wystawił język, uśmiechnął się i zawarczał. "Trochę się przestraszyłem, że rzeczywiście dostał fioła, co wprawdzie mogłoby w końcu rozwiązać sprawę, ale na razie przysporzyłoby tylko kłopotów. On jednak po wstępnym warknięciu podniósł się i strzepnął z siedzenia pył klubu Random.

- Wilf, wyglądasz wspaniale! - Opowiedz, jak wspaniale. - Po prostu wspaniale!

Roześmiał się radośnie jak dziecko, któremu obiecano, że tak, dzisiaj już naprawdę pojedziemy na piknik. Był taki młody. Tak młodo wyglądał. Czterdziestka. .Może czterdzieści pięć.

- Ty też wyglądasz wspaniale, Rick, po prostu wspaniale. Wejźmy.

Skierowałem się do baru, Rick za mną, podzwaniając delikatnie, jak wysokiej klasy zegarek.

- Najpierw kieliszek lub dwa, a potem kolacja. Nie masz nic przeciwko kolacji, co? Dają tu jeść całkiem nieźle, alkohole też pierwsza klasa.

Rozglądał się dokoła, odnotowując w pamięci wszystkie twarze należące do przedstawicieli literatury angielskiej rozwieszono na ścianach. Rozpoznawał je kolejno, wydając za każdym razem ciche okrzyki triumfu.

- Ale ciebie tu nie ma, Wilf!

- Jeszcze nie umarłem. Daj mi trochę czasu. Zanieśliśmy nasze drinki z powrotem do gniazda węży. - A papier, Wilf? Mowa...

- Po kolacji, Rick, cierpliwości, stary.

- To już tyle czasu... czy można stąd zadzwonić? - Oczywiście.

- Bardzo bym chciał podzielić się dobrą nowiną z panem Hallidayem. Będzie zachwycony. Jak ci się podoba mój naszyjnik? To jemu właśnie przypisuję zachodzące we mnie ostatnio, jak by to powiedzieć, zmiany na lepsze.

- Mój drogi, mówisz zupełnie jak Anglik! Tak, podoba mi się twój naszyjnik. Czy nigdy nie wpada ci do zupy?



- Miałem go wtedy w torbie, Wilf, chciałem cię serdecznie przeprosić. Nie byłem sobą. Wszystko przez to, że się tak przejmuję, bo ja naprawdę uważam, że dziełem mego życia, czy może ujmując to inaczej, moim obowiązkiem jest rzetelne badanie...

- Wiem, wiem. Po kolacji.

- ...i chciałem przeprosić za to, co powiedziałem. - Za to, że nazwałeś mnie jebanym skurwysynem?

Od drzwi dobiegł nas pełen zachwytu okrzyk. Do sali wchodzili Johnny St. John John i Gabriel Clayton.

- Rick Tucker! Coś, podobnego!

- Jak się macie, panowie.

- Gabriel, Johnny, Rick. Wszyscy się znają?

Przy kościstym Johnnym, Gabriel wydawał się niski, ale wcale taki nie był. Był wzrostu średniego, szeroki w barach, jak przystało na rzeźbiarza. Chodził lekko przygarbiony, co w połączeniu z pochyleniem głowy upodabniało go trochę do byka. Wiedział o tym i nie sprawiało mu to przykrości. Przyłożył pięść do czoła w geście, który uważał za powitanie artysty z artystą, po czym odwrócił się do pozostałych.

- Jebany skurwysyn - powiedział. - Widzę to jako grupę. Brąz. Można by ją ustawić w drugiej alkwie na wprost Psyche. Wilf zapłaci. To większe wyróżnienie niż wisieć na ścianie wśród tych wszystkich ponurych literatów pięknych.

- Gabrielu, mój drogi, od razu zrób szkic wstępny! Wilf będzie pozował.

- Nie będzie, do cholery!

- Nie widziałem cię, Wilf, od ostatniego spotkania w Portugalii.

- Nie spotykaliśmy się w żadnej Portugalii! - On tak zawsze, Rick.

- Tak, wiem. To znamienne.

- Zaniósłem cię do łóżka, Wilf. Jesteś mi winien obiad. Odbiorę to dzisiaj.

- O, Boże!

- Ja też, kochanie. W związku z głęboką penetrującą analizą twojego charakteru, jaką cię zaszczyliłem na tym czy innym brzegu...

- Johnny St. John John zaszczyca nas teraz przykładem swojej penetracji.

- Kolejna grupa, Gabrielu. Białe marmur, dla oddania czystości.

- Ha et cetera.

- Można cię spenetrować na wylot, Wilfredrie. Byłbyś zupełnie szczęśliwy, gdyby m w moich skromnych kazaniach nazywał cię *cher maitre* zamiast Potworem. Wszyscy mamy swoje ambicje... Co, Wilf? Nie? Wygasły już wszystkie namiętności?

- Jesteś dwa razy za bystry.

Gabriel wracał już z baru z dwiema odkorkowanymi butelkami czerwonego wina, które sprytnie trzymał za szyjki.

- Co za hojność, Wilf. - Właśnie widzę.

- Kieliszki, Johnny!

- Idę, idę. Szybszy od et cetera. - A więc ty jesteś Rick?

- Tak, sir.

- Czy jesteś zamożny? - Nie, sir.

- Obawiam się, że epoka bogatych Amerykanów należy już do przeszłości.

- Nie, sir, nie należy!

- Szukam bogatego Amerykanina. Arabowie nie palą się do rzeźby, chyba że dostrzegą w niej dobrą lokatę kapitału, - On nie jest zamożny, Gabrielu. To taki sam biały biedak jak my.

- Ten człowiek uważa się za biednego, Rick. Od trzydziestu lat nie żałuje sobie, nie mówiąc o kumplach, trunków i podróży, że o innych atrakcjach nie wspomnę. Wystarczy, żeby powiedział, że ma coś do sprzedania, a już idą w ruch drukarnie, stają otworem banki, krytycy ostrzą ołówki...

- Noże. Na miły Bóg, zostawcie mnie w spokoju. To jest spotkanie służbowe. Mamy z Rickiem coś do omówienia po kolacji.

- Ależ, kochany, nie możesz omawiać interesów w Randomie, bo to niezgodne z regulaminem, o czym dobrze wiesz. Regulamin zezwala na uwodzenie, przebieranki, narkotyki, moi kochani, bodmeria, barateria, od czasu do czasu balanga...

- Nie rób z siebie durnia, Johnny.

- ...poza tym "po kolacji" będzie dopiero za parę godzin. Nigdy nie słyszałem, żeby alkohol przeszkodził w załatwieniu interesu... jeżeli to rzeczywiście interes, a nie jakiś eufemizm... o, tak, należałoby interes nazwać eufe...

- Johnny, włóż się. Załatwmy te butelki od razu. To bardzo, bardzo ładnie z twojej strony, Wilf.

Poczułem zmęczenie i powiedziałem im o tym, ale bez żadnego skutku. Zauważyłem, że Rick zaczął robić coś, czego przedtem u niego nie widziałem. Pił, nie tak ostro jak Gabriel, ale gorączkowo. W końcu ruszyliśmy na kolację, ale Rick mówił już trochę chaotycznie. Jego akcent stał się na powrót bezbarwny i przybrał tony właściwe dla środkowego zachodu czy czegoś tam, skąd pochodził. Cała trójka bawiła się coraz lepiej. Padały całkiem niezłe kwestie, zwłaszcza to, co mówił Gabriel. Ja natomiast byłem drętwy. Czułem się dziwnie jako jedyny trzeźwy z całej czwórki! Punkt zwrotny nastąpił w chwili, gdy zacząłem tłumaczyć Rickowi, że jeżeli upije się jeszcze bardziej, nie będzie w stanie pojąć tego, co zamierzam mu powiedzieć. No a Rick, raczej płaczliwie niż wojowniczo, dał wszystkim do zrozumienia, że żadne wyjaśnienia go nie obchodzą. Interesuje go tylko umowa. Chcąc przygotować go łagodnie na przyjęcie prawdy, zanim ją wyjawię, powiedziałem, że nasza umowa nigdy nie była niczym więcej, jak tylko umową dżentelmeńską, na co Johnny zaniósł się niepohamowanym śmiechem. Trochę mnie to rozzłościło. Gabriel, z właściwą mu skłonnością do rozróby, zaproponował, że razem z Johnnym powinni być świadkami podpisywania. Zanim pozbierałem myśli, Rick już opowiadał im o całej sprawie, o Mary Lou i tak dalej.

Wobec tego musiałem mu brutalnie przerwać. - Nie będzie żadnej umowy.

Usta Ricka otworzyły się, zamknęły i nie wydostało się z nich nic, prócz wina, które akurat pił.

- Przykro mi, Rick, ale tak to wygląda.

- Tak nie można,.. - Łyknął wina, otrząsnął się i powrócił do tonów właściwych grzbietowi środkowoatlantyckiemu. - Tak nie wolno. Przecież mi obiecałeś, tam, w Weisswaldzie, po tym, jak... Nie wolno nawet tobie. Nie możesz.

- Posłuchaj, Rick, przyjacielu...

- Mówię ci, że tak nie wolno. Ty sobie nie zdajesz sprawy, co to znaczy. Postawiłem wszystko na jedną kartę. Ale ty nie mówisz poważnie, Wilf, co? Ja się znam na żartach... - A ja nie żartuję.

- Ostrzegam cię, Wilfredzie Barclay. Napiszę ją bez względu... Słuchaj. Pójdę z torbami. Poświęciłem wszystko.

- Panie St. John John, panie Clayton, panowie, jesteście świadkami...

- Rick, opowiedz coś więcej, masz przed sobą jego starych kumpli.

- Już mówiłem, zrezygnowałem z kariery. Uratowałem mu życie...

- Nieprawda!

- Prawda! Tam, we mgle...

- Podkładałeś mi swoją żonę, deptałeś mi po piętach, szpiegowałeś mnie. Nie wyprowadzaj mnie z równowagi.

- Ciebie nie wyprowadzać z równowagi? Boże! Czy wiecie, panowie, do czego ten człowiek mnie zmusił? Nigdy nie deptałem ci po piętach... a jeśli nawet, to co z tego? To wolny kraj, a ty nieźle się bawiłeś, tu złapałeś taksówkę, tam przesiadłeś się na statek na Renie, a do tego wszystkiego szczerzyłeś się do mnie w Marakeszu. Jeżeli zamierzasz nadal tak postępować..., chciałem spełnić twoje warunki...

- Wysłuchasz mnie czy nie?

- Ostrzegam cię! Nie jestem tak zupełnie bezradny! - Och, na miły Bóg!

- Wykorzystam materiały, które mam od pani Barclay. I od panny Barclay!

- Jakie materiały?

- Opowiadały mi różne rzeczy.

- No, moi kochani! Prawdziwe rozwiązanie intrygi!

- Posłuchaj uważnie, Rick. Jesteś trochę pijany i być może... Zresztą nieważne, posłuchaj. Tej biografii nie napiszesz. Ja sam ją napiszę...

Rick zawył. Nigdy nie słyszałem czegoś podobnego. Tak wyje zapewne wilk albo kojot, albo jakieś inne nieznane dzikie zwierzę. Zaraz potem sytuacja bardzo się zagmatwała. To znaczy Rick klęknął, a właściwie rzucił się na kalana.

Ponadto ugryzł mnie w kostkę. Przez chwilę, w trakcie zamieszania, myślałem, że zaraz ponownie doświadczę tej potężnej samczej siły, ale on znalazł się nagle mniej więcej na moich kolanach i próbował sięgnąć rękami do mojej, głowy. Dosięgnął prawego ucha i lewego policzka, usiłując, jak się zdaje, wrazić mi wszystkie palce w oczy. Johnny chciał nas

rozdzielić, zaś Gabriel, próbując... jak podejrzewam, odsunąć stolik, żeby ratować szkło, zderzył się z dwoma mężczyznami od sąsiedniego stolika, którzy żwawo przystąpili do akcji. Z późniejszych relacji wynika, że przez salę wypełnioną biesiadnikami przetoczyła się fala hysterii i większość z tych szacownie ubranych przedstawicieli wolnych zawodów przyłączyła się do ogólnego zamieszania. Przewracano stoły, coś się darło, ludzie padali, w powietrzu fruwały i opadały jak płatki śniegu karty dań, win, rachunki, księgi zamówień, kartki maszynopisów. Parę osób pokaleczyło się szkłem, ale ogólnie rzecz biorąc, poważniejszych obrażeń nie było. Nawet kiedy się staramy, wcale nie jesteśmy w tym dobrzy. Podobnie jak Mary Lou, choć nie tylko w ten sposób, nie jesteśmy cielesni. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że oprócz zadrapań i

ugryzienia wydarzyło się niewiele. Ja sam straciłem kawałek brody i piekło mnie ucho, to wszystko. Nawet nie zauważyłem, co stała się z moim "gościem". Spałem bardzo dobrze.

Kiedy nazajutrz zszedłem na dół, zastałem w holu sekretarza klubu. Wyraz twarzy miał surowy, co zdaje się było zrozumiałe. Postawił znaczek przy moim nazwisku na liście, którą trzymał w ręce.

- Panie Barclay, jestem zmuszony prosić pana o wyjaśnienie wczorajszego zajścia w jadalni.

- Nie mam zamiaru, Przepraszam.

- Muszę o tym zakomunikować zarządowi klubu.

- Jeżeli zechcą, żebym zrezygnował z członkostwa, proszę im powiedzieć, że odejdę bez słowa.

- Nie wiem jeszcze, jakie koszty pociągnie za sobą naprawa naszej Psyche.

- Bardzo zgrabnie powiedziane, pułkowniku, bardzo. Zmarszczki na czole pułkownika pogłębiły się.

- Czy przyznaje się pan do odpowiedzialności? Jeżeli tak...

- A niech to diabli! Owszem, w pewnym sensie tak. Poszedłem do kawiarni, gdzie nie było nikogo, oprócz kelnerki i pani Stoney, która siedziała w kasie nieruchomo jak kamienny posąg. Wziąłem tylko kawę. Kiedy podszedłem, żeby zapłacić, pani Stoney nadęła się jednak nieznacznie.

- No i co pani sądzi o tym wszystkim?

- Nie jestem upoważniona do komentarzy, sir.

- Ależ pani Stoney. Nie będziemy się już widywać, bo wszystko wskazuje na to, że mnie wyrzucą. No, śmiało, niech pani mówi, co pani o tym myśli.

- Tu jest pańska reszta, sir. Dziękuję.

- Trzeba być wyrozumiałym dla chłopców, pani Stoney. Do widzenia.

No i poszedłem. Pomyślałem, że mam teraz za sobą nowy cień, jeszcze jeden fragment przeszłości, którego należy unikać. Bo nawet ja, choć pełen cichego szczęścia, czułem się lekko upokorzony tą bezowocną bójką w knajpie. W książkach przesadzają z tym, co można wyczytać z twarzy... Duża przesada. Ale pani Stoney wolałem nie pamiętać. Są wyrazy twarzy, które czyta się, jakby były zapisane dużymi literami, najbardziej wyróżniają się wśród nich pogarda i niechęć.

## ROZDZIAŁ XVI

Nie byłem pewien, czy zniosę powrót do domu, ale szosa rozwijała się przede mną tak, jakby zupełnie nic się nie stało. Była to ironia, o czym wkrótce miałem się przekonać. Rozpamiętywałem opryskliwe powitanie, jakie zgotowała mi biedna II Liz. Przecież z prawnego punktu widzenia nie miała podstaw do pretensji, a Emmy już od dawna była pełnoletnia. Tak naprawdę to ciągnął mnie do "domu" ten maszynopis, który czytacie, zadanie, które miałem do wykonania, żeby w miarę możliwości wykorzystać jeszcze te papierzyska poupychane w pudłach, zanim się z nimi ostatecznie rozprawię. Mimo to musiałem zebrać wszystkie siły.

A potem w drzwiach stanęła Emmy. Miała zaczerwienione oczy.

- Odeszła.

- Kto?

- Mamusia.

- Dokąd odeszła?

- Ty... ty... Umarła, do jasnej cholery, nie rozumiesz? - Kiedy?

- Przed chwilą. Rano. Masz szczęście. Udało ci się. Wielkie łzy spłynęły do opuszczonych kącików jej ust. - To już tyle lat, Emmy, tyle lat.

- Och, Boże!

Myślę, że każdy ojciec objąłby ją czy nawet dał się wypłakać na własnym ramieniu. Ale ja nie byłem ojcem, tylko obcym, który z obrzydzeniem patrzył na to, co kapało z jej oczu i nosa. Chciała coś powiedzieć, ale niewiele z tego wyszło. - Nie... nie... nie mogę...

Jej usta otwarły się i natura wykonała przede mną rozdzierający krzyk na ludzką twarz i ciało. Wyciągnąłem do niej rękę, ale ona albo jej nie zauważyła, albo nie chciała. Odwróciła się i odeszła, niepewnym krokiem, brzydka, gruba młoda kobieta, nad rzekę, tam gdzie uciekała w dzieciństwie, żeby się schować, przed światem, który stawał się dla niej nie do zniesienia. Wyszedłem do holu, postawiłem swoją jedyną torbę i ruszyłem po schodach na górę.

Drzwi do "naszej" sypialni były otwarte, okno też. Zaslony poruszyły się lekko, a od wazonika z pierwiosnkami doszła mnie słodkawa woń, jakby przypomnienie uniwersalnej obojętności. Błogosławiona niech będzie obojętność! Z rogu pokoju

wynurzył się Henry, wnosząc pogodę ducha mniej niż zwykle dyskretną, w każdym razie znacznie mniej niż jego głos, który zabrzmiał niewiele głośniejszy od szeptu.

- Nie cierpiała. Wiesz, to wątroba.

Szczęśliwa, szczęśliwa Elizabeth! Z niezliczonej ilości wyjść obdarzona takim właśnie!

Zrobiono już wszystko, co trzeba. Pielęgniarka czy sam Henry, a może oboje, działali szybko i sprawnie. Zegarek Liz i pierścionek jej matki leżały na stoliku przy łóżku. Wyglądała pomnikowo pod białym prześcieradłem. Henry podszedł do łóżka. Obrócił się do mnie i przywołał mnie gestem. Zniewolony tym gestem, który widocznie należał do rytuałów śmierci, zbliżyłem się i stanąłem przy nim. Zsunął prześcieradło aż do jej piersi i tak przytrzymał.

Zupełnie niespodziewanie i deprymująco Elizabeth wyglądała tak jak zawsze. Ktoś stał szkarłatną blizną szminki i jej nie upiększona twarz stała się groźna. Przyłapałem się na tym, że nie wiem, dlaczego zbierałem odwagę w oczekiwaniu jakichś zmian. Przecież nic się nie stało, opadł tylko liść.

Nagle jej powieki podniosły się, odsłaniając wpatrzone we mnie oczy. Świat wokół mnie zawirował i zaszedł mgłą. Henry cmoknął. Pochylił się nad nią i coś tam zaczął wyczyniać - zawodowe sztuczki. Podciągnął prześcieradło. Odzyskałem głos.

- Pensa. Drachmy. Obole.

Henry wziął mnie pod ramię i odwrócił. Wymaszerowaliśmy razem z pokoju i zeszedliśmy na dół. Udałem się do właściwej szafki i wyjąłem stamtąd nie wino, lecz whisky. Bezmyślnie poczęstowałem Henry'ego, ale on uśmiechnął się i potrząsnął głową. Pociągnąłem spory łyk whisky i zakrzusilem się. Wstrząs i kaszel sprawiły, że zebrało mi się na wymioty. Henry uderzył mnie w plecy. Skarbnica wiedzy.

Wyprostowałem się wreszcie, a on się rozpromienił. - Lepiej?

Wsluchiwałem się w siebie. Nie było mowy o żadnym "lepiej".

- Chyba tak.

Uśmiechnął się uszczęśliwiony. - Zajmę się wszystkim... Wilf.

- Tak. Chyba tak. Dziękuję, Henry. - Wobec tego już pójdę.

I wyszedł, wciąż rozpromieniony.

Poszedłem do ogrodu, przedarłem się przez krzewy. Emmy siedziała na kamiennej ławce zapatrzona w las na drugim brzegu rzeki. Stanąłem za nią.

- Czy mógłbym w czymś pomóc?

- Nie wiem. Trochę za późno, nie uważasz? Nie. Raczej nie.

- Trzeba będzie zawiadomić ludzi. Rodzinę.

- I pastora. Od czasu do czasu podkreślała swoją przynależność do kościoła anglikańskiego.

- Czy to ten młody w dżinsach, w dziurawym swetrze i z resztkami koloratki?

- Tak, Douglas. On jest w porządku. W zeszłym tygodniu a użalała się komuś na mnie. Potem Douglas powiedział mi na boku: "Cierpienie nie zawsze uszlachetnia". Rozsądny facet.

- Czy... to znaczy, czy mogę ci w czymś pomóc? - Już mówiłeś przed chwilą. Po tylu latach.

- Ja też to tak czuję. No tak. Jeżeli to może stanowić jakąś pociechę, to czeka na ciebie dużo pieniędzy. Najpierw po niej, potem po mnie.

Rick powiedział kiedyś, że śmialiśmy się dużo z Liz. Teraz mógłby dodać do tego Emmy.

Wszystko odbyło się zgodnie z planem. Na pogrzeb przybył tłum krewnych, którzy grupowali się raczej wokół Emmy, mnie pozostawiając na uboczu. Nie tylko z nieśmiałości. Rick przybył na nabożeństwo, na które nalegała Emmy, i na uroczystość kremacji. Siedział z tyłu, głośno płakał i wybiegł przed końcem. Później, już w domu, pozostawiono mnie samemu sobie w sposób jeszcze bardziej znaczący, podczas gdy inni przepychali się uprzejmię do łososa i wina mozelskiego. Raz tylko oderwał się od nich jakiś mężczyzna, być może krewny Liz, chociaż nie mam pewności. Mógł to być też kumpel Capstone'a Bowersa, występujący w roli wysłannika, bo wyglądał na wojskowego w każdym calu: wysoki, potężny, -r. czerwoną twarzą. Przygotowałem się na rozmowę i gotów byłem nawet zaproponować mu kieliszek, ale on patrzył na mnie przez chwilę spode łba, otwierając i zamykając usta jak złota rybka, a potem rozmyślił się i przyłączył do tłumu. Przypomniałem sobie moją włoską przyjaciółkę i nauczkę, jaką mi kiedyś dała. Tu dostałem nauczkę w angielskim stylu. Utwierdziło mnie to w na nowo odkrytym przekonaniu, że są na świecie przyjemniejsze miejsca.

- "Myśli o kraju na obczyźnie" , zaiste! – Poczulem złość. Młody człowiek, Douglas, wyłonił się pośpiesznie z tłu' mu, jakby chciał załagodzić sytuację i naprawić towarzyską niezręczność. Miał czarny jedwabny gors i nieco więcej koloratki niż



zazwyczaj. Podeszedł do mnie z pochyloną głową i pełen powagi, co przywiodło mi na myśl Ricka Tuckera z czasów, kiedy bardzo mu brakowało pewności siebie. Ciągle byłem zły.

- Eee... Douglas... jeśli się nie mylę. Jak się miewa kościół w dzisiejszej dobie?

- Walczy, panie Barclay. Potrzebuje pomocy. - Pieniądzy, ma się rozumieć.

Zaprzeczył stanowczym ruchem głowy.

- Nie. Albo raczej: nie przede wszystkim.

- Jeżeli potrzebujecie pomocy duchowej, to trafił pan na właściwą osobę.

- Naprawdę?

- Będzie panu trudno uwierzyć, ale ja cierpię na stygmaty. Tak. Cztery z pięciu ran Chrystusa. Cztery już są, brakuje jeszcze jednej. Nie. Nie widać ich jak u biednego Padre Pio. Zapewniam jednak, że stopy i ręce bolą mnie piekielnie... czy może raczej powinienem powiedzieć: niebiańsko?

- Nie sądzę...

- Nie sądzi pan, żeby osoby mojego pokroju mogły szczyć się takim wyróżnieniem?

Rozglądał się z zakłopotaniem, zupełnie jakby szukał jakiegoś dobrego psychoanalityka, którego mógłby mi polecić. A może da mi adres i nazwisko swojego.

- No, niech pan powie, pastorze, czy to nie znamienne? - Pan mówi poważnie?

- W przeciwnym razie odszedłby pan do tych celników i grzeszników?

- Ależ nie! Chociaż właściwie... Pan jednak mówi poważnie?

- Jakby inaczej? Czasami bolą mnie jak diabli!

- Zajrzał mi głęboko w oczy.

- Musi pan być z nich bardzo dumny.

Zaskoczył mnie. I zaraz potem, ukazując w uśmiechu zupełnie nieksiężę zęby, dodał:

- W końcu były trzy krzyże.

Stałem, patrząc na pokój tak, jakbym go oglądał na ekranie: rząd krewnych przesuający się obok Emmy, żegnają młody Douglas, uściski dłoni, powszechna zgodność co do tego, że ludzie spotykają się dzisiaj tylko na pogrzebach.

Zostałem wyłączony, ale za cenę jakiego wybawienia! Trzy I krzyże... cała gama... Nie moja więc rzecz być dobrym, nie mnie przypisany poniżający strach przed własną świętością! Mnie pisana bezpieczna samoświadomość łotrostwa! Stałem w

milczeniu i beczynnie, podczas gdy goście się rozchodzili. Podeszła Emmy i coś do mnie mówiła, ale nie wiem co. Musiałem chyba w końcu usiąść, chociaż nie pamiętam, jak to się stało. Pani Wilson musiała też posprzątać cały ten bałagan, ale w ogóle jej nie zauważyłem. Był to stan zbliżony do i katatonii.

Nazajutrz Emmy oświadczyła, że sprzeda dom, zaraz jak tylko się stąd "odpierdołę", tak właśnie to ujęła. Potem wyszła, by oddawać się pracy społecznej na rzecz dołów klasy średniej czy gdzieś tam, a ja zostałem sam i mogłem się zająć oczyszczaniem domu ze swoich rzeczy. Okazuje się, że oprócz papierów, które tak drażniły Liz i Capstone'a Bowersa, zostało po mnie niewiele. Pamiętam, jak przyszło mi do głowy, że bezwiednie chciałem chyba, żeby ich drażniły. Tak mało przecież wiemy o swoim bieżącym ja, prawda?

Przyszedł Rick i skamlał, przeklinał mnie, ujadał. 7. akazałem mu wstępu do domu i jeśli się nad tym zastanowić, jest to dość zabawne. Ale on kręcił się wciąż w pobliżu, śpiąc Bóg wie gdzie i szpiegując mnie raz po raz. zza węgła. Od czasu tego snu, jak każdy poczytalny człowiek orientuję się bezbłędnie, kiedy ludzie są naprawdę, a kiedy nie. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Rick jest naprawdę i że mnie podgląda, nie mając zielonego pojęcia o tym, że uzdrowienie go jest w mojej mocy, co więcej, jest moim zamiarem. Spełnię jego marzenie. Wilfred Barclay, wybitny doradca.

Zadzwoił Capstone Bowers. Na pogrzeb nie przyszedł, ale miał czelność zająć zwrotu swoich książek i strzelby. Odłożyłem słuchawkę. Zapomniałem dodać, że opróżnił to, co składało się kiedyś na moją naprawdę doskonale zaopatrzoną piwniczkę, i nie uzupełnił jej.

Od wyjścia Emmy zajmuję się przekopywaniem niektórych zwałów papieru ze skrzynek po herbacie, ale przede wszystkim rozmyślam i piszę na maszynie tę krótką relację. Wczoraj za jednym zamachem przeczytałem całość na nowo, od Ricka przy śmietniku do Douglasa na pogrzebie. Stypa. Ha et cetera.

Pomijając powtórzenia, dosłowności, żargon i luki, jest to całkiem rzetelny zapis różnych okoliczności, w których kłown gubi spodnie. W moim wieku nie należy się już spodziewać, że będzie ich wiele więcej. Naprawdę myślę, że najlepszy ze wszystkich, prawdziwie teologicznie dowcipny numer z całej jego błazenady to z pewnością stygmaty przyznane za tchórzostwo w obliczu wroga! Ale św. Franciszek i różne inne przekonujące postacie nie dostawały stygmatów tylko na rękach i na stopach, mieli też ranę w boku, która wykończyła Chrystusa, albo w każdym razie stanowiła świadectwo

jego śmierci. Tej rany jeszcze mi brakuje; i prawdę mówiąc, niewiele już mam czasu i okazji, żeby wpakować się w kabałę, która mogłaby mi ją zapewnić. Bo znowu zamierzam zniknąć. Może samochód, w którym można spać? Mikrobus? Przyczepa? Miska żebracza pod jakimś hinduskim drzewem? Nie te lata, Wilf! Na to już za późno. Ucieknę w wygodę i bezpieczeństwo!

I w ten oto sposób docieramy do dnia dzisiejszego. Wyrzuciłem wszystkie papiery ze skrzynek i ułożyłem je w stertę nad rzeką. Siedzę teraz przy biurku i podnosząc głowę znad maszyny do pisania widzę ten stos, prawdziwą górę w większości białego papieru, który tam czeka... zaskakująco biały na tle ciemnego lasu po przeciwnej stronie rzeki. Kiedy skończę ten maszynopis, pójdę tam z puszką nafty, obleję stos i podpalę... rytuał przemijania utworzony z osadu, obciętych paznokci, obciętych włosów, zużytego czasu, bezużytecznej korespondencji, recenzji, studiów, oświadczeń o dochodach, maszynopisów, międzywierszy, odbitek korektorskich - przycisk z papieru całego żywota.

A potem odszukam Ricka i dam mu tę garść kartek, wszystko co trzeba, wszystko co pozostanie, wszystko co może stanowić przeciwwagę dla kłamliwych opowieści, stronicznych dzienników i całej reszty. Będzie to rodzaj umierania. Wolność zaiste, doprawdy wolność.

Jestem szczęśliwy cichym szczęściem. Jak mogę być szczęśliwy? Czasem to doznanie jest jak klejnot, przepiękny, roziskrzony, nie do opisanego. A czasem jest to poczucie spokoju o doskonałości przerastającej moje normalne doznania. Jestem szczęśliwy. Nie wyrażam w ten sposób żadnej wyrozumowanej postawy, lecz fakt. Albo ja się wyrwałem nietolerancji, co jest niemożliwe, albo nietolerancja wypuściła mnie ze swojego uścisku, co też jest niemożliwe.

Jak mógłbym się zmienić? Ależ ja już się przecież zmieniłem. Na przykład picie. Próbowałem rzucić picie przez ponad ćwierć wieku, a teraz rzuciłem na dobre, zupełnie się nie starając. Może niebezpiecznie jest pisać pamiętając, ile razy błazen gubił spodnie, ale mam absolutną wewnętrzną pewność, że wypilem już swój ostatni kieliszek.

Kto wie? Skoro nietolerancja usunęła się w cień, może jest miejsce dla nigdzie nie uzgodnionej litości, która skłania mnie, bym oddał Rickowi te papiery; litości, dzięki której nieudane twory - Wilfred Townsend Barclay i Richard Linbergh Tucker - mogą ulec wieczystej zagładzie. Czy to z tego powodu jestem taki szczęśliwy?

**Rick jest sto jardów stąd, na drugim brzegu rzeki, skacze od drzewa do drzewa, jakby się bawił w Indian. Będzie więc widownia dla mojego rytuału. Teraz oparł się o drzewo i obserwuje mnie przez jakiś przyrząd.**

**Jak, u diabła, Rickowi L. Tuckerowi udało się zdobyć strzel...**